

Wołoka

pamięci Redaktora

Moja tropa kapryśnie się pisze:

to zygzakiem kluczy, jakby od kuli bieżała,

to krąży-kołuje wytrwale z nosem przy ziemi,

to w esach-floresach się gmatwa

(jak w czasie zaprzeszłym),

to blaknie i zanika w jakimś trzęsawisku,

by po chwili się wynurzyć z drugiej strony,

to zastyga w błocie twardniejącym od mrozu,

aby wiosną rozpuścić się w roztopię,

to w słowach się odciska,

to w odciskach palców,

na papierze lub na piachu.

Moja tropa omija ludzkie skupiska

i wyświechtane frazy,

czmycha zarówno od wrzawy nagonki,

jak i od zgiełku podbijanego bębenka,

unika miejsc zbiorowych kultów

i masowej rozrywki,

szybkiego jadła,

głośnych kurortów,

modnych zabytków

i pustych gestów,

nie znosi światła wielkiego świata

i z dala obchodzi watahy fanów —

czy to Małysza, czy Wielkiego Brata —
na ich widok jeży się i skręca w bok.

Moja tropa często mnie zawodzi na bezludzie:

to w głąb tundry saamskiej, gdzie się można spotkać z samym sobą raczej

-

niż z kimś innym,

to do wymarłej wsi karelskiej,

gdzie tylko duchy opowiadają o tamtym życiu -

jeśli ich posłuchać,

to na stronice dawno nie czytanych książek, których autorzy opisują nie
istniejący już świat -

rodem z ruskich bylin,

to na koniec na manowiec,

na którym różne dziwy tudzież dziwożony

harce wyprawiają,

mamiąc.

Zapiski

sołowi ecki e

1998-1999

...i pisać tylko rano, gdy uwaga jest niezmacona, umysł czysty,

odświeżony snem. Później, w ciągu dnia, uwaga się rozprasza — bo woda
w kiblu zamarzła, ktoś przyszedł, ktoś zadzwonił i w gazecie jakaś

bzdura... Rano, kiedy w piecu cicho potrzaskują drwa, sącząc żywiczne
aromaty, a słońce wyświeśla świat za oknem: dobywa Babią Ludę¹ z

mroźnego tumanu, odsłania Wilczą Stopkę na skraju pola widzenia i rzuca
cienie Cypla Śledzia na lód Zatoki Pomyślności.

W takie rano świat się staje na moich oczach.

' Dzień czysty jak oczy przemyte dobrym snem.

bazi mi *po głowie ż a n r dziennika z glosami — boja wiem — może typu Słownika-dzienni-ka Jamesa?

Richard James — angielski filolog i poeta — przybył do Chołmogorów 16 lipca 1618 roku ze swiątą poselską od króla Jakuba I. Ma wieść o „szaj-i luda podwodnej.

niewielka, bezleśna wysepka albo rodzaj skaty

kach Polaków, grasujących po kraju" poseł Diggs zawrócił do Anglii, reszta zasię świty dotarła do Moskwy, gdzie została przyjęta przez cara Michała Fiodorowicza. W drodze powrotnej Richard James zimował w Chołmogorach, bo Morze Białe zamarzło. Plonem jego pobytu na Północy był plik rękopisów, przywiezionych do Anglii, niestety, większość z nich zaginęła — w tym opis drogi do Moskwy. Wśród zachowanej spuścizny po Jamesie znaleziono notes, samodzielnie zrobiony i oprawiony w czarną skórę ze srebrnymi skuwkami — ni to diariusz, ni glosariusz — w nim James notował ruskie słowa, niektóre opatrując uczonym komentarzem, inne obrazkami ze swego doświadczenia, a dzisiejsi uczeni znajdują tam bezcenny materiał do badań bytu oraz obyczajów ruskiej Północy z początku XVII wieku*.

Gdy Richard James przybił do brzegów Mos-covii, to nie Archangielsk (wtedy była to niewielka twierdza przy klasztorze Michała Archanioła), lecz Chołmogory pełniły funkcję węzła targowego, gdzie krzyżowały się szlaki handlowe z Dalekiej Północy. Stamtąd do Moskwy wieziono sól, rybę i futra, focze skóry, kły morsów i tran, ptaki łowne, dziczyznę i puch. Tam zawożono konopie i wełny ze Smoleńska i Briańska, juchty z Tuły,

wosk z Kazania, klej rybi z Astrachania, rogożę z Rżewa, len znad Donu, potaż z Kaługi, dziegieć z Kostromy i mydło z Suzdała, słoninę z Władymi-

* Słownik-dziennik Jamesa odnalazł w roku 1847 doktor Hamel w Bodleian Library w Oksfordzie. Pod koniec XIX stulecia manuskrytem zainteresował się rosyjski uczony Pawieł Simoni, lecz kopię przezeń zamówioną wykonano tak niechlujnie, że publikowanie notesu nie miało sensu. Dopiero fotokopia rękopisu, otrzymana z Oksfordu w 1935 roku, pozwoliła akademikowi Bo-risowi Łarinowi na odczytanie i wydanie notesu Richarda Jamesa w 1959 roku w Leningradzie.

10

ra, świńską szczec z Muromu oraz ziarno i sukno z Moscovii — istna mozaika mów i narzeczy, ślady ich widać w notesie Anglika.

Wśród ruskich słów z różnych gwar (nowogrodzkiej, moskiewskiej, górnowołżańskiej) można w Słowniku-dzienniku Jamesa znaleźć także wyrazy polskie, karelskie i samojezdkie, saamskie tudzież korni. James notował nazwy roślin, potraw, świąt i zwierząt, wiatrów, monet, miar i broni, środków transportu i narzędzi pracy, części odzieży świeckiej i stroju monachów, gier w karty i gier w kości, gatunków wódki i rodzajów miodu. Spisywał powiedzonka, idiomy i obscena, przysłowia morskie i terminy rybackie, i formułki cerkiewne, i przekleństwa karczemne, i kurewski szept... Utrwalał byt Pomorców w przepisach kulinarnych, w receptach zielarskich i zaklinaniach, w pozdrowieniach, w wyrazach miłości i lży. Pomiędzy odmianą słówka lublu („ja lublu, ty lubisz, on lubłt, ja lubiła...” — tu forma czasu przeszłego wskazuje, że wyraz ten usłyszał z ust kobiety), od której rozpoczął swój Słownik-dziennik, a porzekadłem

Christos woskries, Mikula Oawrilowicz wyruczaj (Chrystus
zmartwychwstał, Mikoło Gawriłowiczu, poratuj), którym go kończy,
James zawarł nie tylko obraz życia Pomorców, ale i swoją ruską przygodę.

.
Dważna"lektura notesu Jamesa bowiem pozwala w nim znaleźć więcej
aniżeli tylko słówka czy wyrażonka — tam cień rzeczywistości pada od
stów. (Ot, choćby polonizm bizabi, czyli „Bij! Zabij!" — ślad rodaków w
narzeczu Pomorców). Zapiski idą w porządku chronologicznym, nie
alfabetycznym, to znaczy, iż Richard James notował nowe słowa dzień po
dniu (niekiedy je powtarzał z innym komentarzem), w miarę jak mu się
jawiły z chaosu

11

żywej mowy dookoła. Odczytywane po kolei, tworzą łańcuch wydarzeń i
obrazów Roku Pańskiego: przeszły morozy krieszczenski², był
„Jordan”³ na Dwinie, była maslenica⁴, były Wielki Post i niedziela
Palmowa (zwana tutaj Wierbnoj, od witek wierzbowych), rozgowiny
(zakończenie postu) i paschalny tryzwon (wielki dzwon na Wielkanoc), i
już wiosenne wody podmywają zaspę śniegu, ożywa iwina, osina, olcha,
oracze szykują sochy na pole, baby rozsady dla ogrodu, zakukała kukułka,
do-gulali⁵ noc Kupały i pora się żegnać, mitają moja sudarynia⁶...

Podczas lektury widać, jak rodzi się żanr: z początku Richard James
ogranicza się do skąpych, jednowyrazowych angielskich odpowiedników
ruskich słów, potem zaczyna wprowadzać coraz obszerniejsze noty o
charakterze encyklopedycznym, często po łacinie (zwłaszcza w miejscach
nieprzy-stojnych). Styl tych zapisków bywa różny, w zależności od
tematu: to sucho naukowy i dokładny, to soczysty i obrazowy, to znów

ironiczny, ba, złośli-

2 morozy krieszczenskijsie—przysłowiowo srogie mrozy, wypadające zwykle na Krieszczenije, czyli okoto święta Chrztu Pańskiego, 19 stycznia.

3 Jordan — przeręb, w którym na Krieszczenije trzeba się trzykrotnie pogrążyć. Ten dawny obrzęd, opisywany przez cudzoziemców, podziwiających hart Ruskich, wraca tu ostatnio do mody, między innymi dzięki TV. Sam pamiętam, jak pewien „nowy Ruski” przylatywał z Archangielska na Solówki helikopterem tylko po to, aby się pogrążyć w „Jordanie”.

* maslenica — mięsopust. Ostatni, „maślany” tydzień przed Wielkim Postem. W tym czasie prawosławni już nie jedzą mięsa, za to objadają się blinami z omastą. Pora hucznych zabaw i kuligów. Dla wielu pretekst do wypitki. Maslenica nazywają też kukłę zimy, którą w tym czasie rytualnie się spala. Cerkiew prawosławna niechętnym okiem patrzy na te praktyki, widząc w nich przeżytki pogaństwa.

5 dogulali — dohulali, od słowa gulat', czyli hulać.

6 milaja moja sudarynia — moja droga pani.

12

wy, gdy dotyczy obyczajów lub sądów nie budzących sympatii autora.

Weźmy słówko wiera: „...tak nazywają i religię, i obrzędy, i wszelkie obyczaje, i gdy się pytasz, dla przykładu, dlaczego kradną, to mówią, że taka ich wiara, że tak przywykli”. Lub schima: „...to specjalna odzież z sukna z naszytym krzyżem, w jaką odziewają człowieka poważnie chorego. Odzież taką sprzedają na rynku. Tych zaś, co w niej chodzą, nazywają schimnikami”, i dalej po łacinie: „Mówił mi człowiek, który sam

dowiedział się o wszystkim od dziewczki w schimie, co mu się oddała łacniej, niżli na to pozwalała świętość jej odzieży. Kto zakłada schimę, ten nawet po postrzyżynach w mnichy bywa wtórnie strzyżony na krzyż, z czterech stron: od czoła do potylicy i od skroni do skroni. Oni tej schimy nie zdejmują tutaj nigdy, w niej chodzą i śpią, żyją i umierają, i w niej są pogrzebani". Albo kanun: „...tak nazywają dni poprzedzające wielkie święta, na przykład Krieszczenije (Chrzest Pański), wtedy dużo się modlą, jedzą jeno chleb raz dziennie, a wielu z nich w ogóle nic nie jada. W owe dni mają prawo warzyć bragę⁷, od której będą pijani przez gałę święto. W 1619 roku od urodzenia Chrystusa na Krieszczenije w Chołmogorach oczyścili duży kwadrat na lodzie, pośrodku wybili niewielki przerębel, nad którym się modlili, śpiewali i wokół któ-

7 braga — niskoprocentowy napój alkoholowy, wyrabiany domowym sposobem przez fermentację owoców, jagód lub ziarna z drożdżami i cukrem. Do najlepszych z tych, które próbowałem, zaliczyłbym bragę z moroszeki, jagody rosnącej w tundrze na bagnach — piliśmy ją na Kanin Mosie pod kręgiem polarnym, oraz wyśmienitą bragę z łochyni, zwanej także pijanicą — częstowała mnie nią baba Nastia we wsi Zagubie w Zaonieżu. niestety, zwyczaj warzenia bragi powoli zanika na północy Rosji. Coraz częściej zastępowana jest przez sklepowe piwo lub płyny zawierające spirytus przemysłowy.

13

regu chodzili ze świecami, kadzidłem, ikonami, potem rozbili skorupę lodu i woda od razu się podniosła. W wodę tę pogrążali się trzykroć z głową i uszami, miejsce nazwali «Jordan» na pamiątkę Chrztu Pana.

Kiedyśmy po zakończeniu obrzędu podeszli, by z bliska popatrzeć, jeden z

popów powiedział, iż nasza wiara była do ichniej podobna i chociaż ją zostawiliśmy, to jeszcze do niej wrócimy".

W ten sposób podróży słownik Jamesa przekształcił się w rodzaj krótkich szkiców, wyrastających ze słów.

19 stycznia

Skończyłem dziś 45 lat... Piszac, zamykam się w sobie. Coraz głębiej i głębiej... Świat zewnętrzny przestaje mnie zajmować, ludzie — frapować. Jak dom wypełniony duchami, zamieszkały jestem przez motywy i fabuły, postacie wycięte z życia — niby z papier mache, fakty na pozór prawdziwe i minione zmyślenia. Skoncentrowany na sobie, niemal autystyczny, jedynie alkoholem mogę wydobyć się z siebie i zbliżyć do innych, zaciekać ich światem.

Nad sołowieckim monastylem wisi ciężka, granatowa tuczą⁸, purpurą oblamowana, jak wielki krwiał — pod okiem Opatrzności.

8 tuczą — chmura burzowa. Stówo do niedawna jeszcze żywe w polszczyźnie. Ostatnie wydanie Słownika języka polskiego pod redakcją Witolda Doroszewskiego (1997) odnotowuje tuczę jako wyraz przestarzały, ale jednak... Przykład tuczy dobrze

14

Dziś Krieszczenie — święto Chrztu Pańskiego, zwane też Bogojawleniem. Wczoraj rano na Świętym Jeziorze, z dala od posiołka, monastyrscypa słusznicy⁹ wyrznęli Jordan — przerębel w kształcie prawosławnego krzyża. Z bloków lodu ustawili ołtarz tudzież stół pod Ewangelię. W przerębel opuścili drabinę dla tych, co nie będą mogli się wydobyć z toni o własnych siłach. Około południa, po długiej liturgii świętego Bazylego, poszli procesją nad przerębel i oświecili wodę w

jeziorze. Czerpali ją później i nosili w butelkach, w garnkach, w kanistrach i wiadrach, w beczkach — do samego wieczoru. A z Archangielska po wodę przyleciał helikopter. Chodzą ploty, że sklepikarz Fie-dotow będzie ją tam na litry sprzedawał.

O północy na dziedzińcu klasztoru zebrali się mężczyźni: mnisi, posłusznicy, pątnicy i muzyki¹⁰ z posiołka — skupieni, podekscytowani. Sformowali pochód: posłusznik z latarnią na czele, za nim inni z chorągwiami, z ikonami, inok¹¹ Filip z kadzidłem, namiestnik Josif z braćmi i reszta. I ruszyli, śpiewając:

ilustruje mój zamiar „rozszerzania” współczesnego leksykonu polszczyzny o słowa, które kiedyś w niej istniały, ale z biegiem lat zostały zapomniane. Przy dominującej obecnie modzie na wprowadzanie do języka polskiego anglicyzmów, od których roi się w mowie telewizyjnej tudzież w tak zwanej „młodej prozie”, reanimacja przestarzałych polskich słów i używanie sławizmów idzie wprawdzie na przekór ogólnej tendencji, niemniej są równouprawnione.

9 posłusznik - nowicjusz w klasztorze. Posłuszeństwo jest tam najważniejszą cnotą!

10 muzyki — chłopci. W dzisiejszej ruszczyźnie słowem muzyk określa się „prawdziwego chłopca”. Fala tej „poprawności politycznej”, która jak tsunami prze od Zachodu, być może rzeczywiście sprawi, że wkrótce „prawdziwego chłopca” będzie można znaleźć tylko w odległych rejonach, czyli ruskiej gubince.

11 inok — mnich, samotnik. Od starosłowiańskiego słowa in? —jeden, sam.

I

Wieliczajem Tia, Żywodawcze Christle, nas radi nynie płotiju
krestiwszagosja ot Ioanna w wodach lordanskich¹².

Zadzwoniły dzwony.

Mróz tymczasem zdążył pokryć szybką lodu krzyż przerębla. Było 30 stopni poniżej zera. Jeden z posłuszników rozbił szybkę. Z przerębla parowało. Po krótkiej modlitwie, po kolei, poczynając od namiestnika Josifa, każdy rozbierał się, stojąc twarzą na zachód (co symbolizuje — według Gri-gorija Pałamy — zdjęcie z siebie grzechu), odwracał się na wschód (czyli wyrzekał się Zła, którego zachód jest siedzibą...) i wskakiwał do Jordanu, trzykroć się pogrążając z głową (co Pałama interpretuje trojako: jako pamięć o trzech dniach pobytu Chrystusa w grobie, pokłon dla Trójcy Świętej i zmartwychwstanie nas samych, to jest naszej duszy, umysłu i ciała), po czym jedni o własnych siłach wypełzali na lód, innych trzeba było wyciągać. Czujesz powietrze, które żga jak ogień, i lód, co stopy parzy? Nim podniesiesz ręcznik do głowy, ona w soplach.

Po muzykach poszły do Jordanu baby.

„Trzymaj się rzeczy, słowa pójdą za tym” — klasyczna rzymska formuła zwięzłości w literaturze.

¹² Wieliczajem Tia, Żywodawcze Christle... — słowa pieśni wielokrotnie śpiewanej w dniu Chrztu Pańskiego podczas nabożeństwa oraz procesji:

„Wystawiamy Cię, Życiodajny Chrystusie, że dla nas oto przyjąłeś chrzest od Jana w wodach Jordanu”.

Dzień św. Filipa, igumena sołowieckiego, Metropolity Moskiewskiego i
Całej Rusi, cudotwórcy. Ot, żywot!

Filip Sołowiecki pochodził z rodu Kołyczewów, którzy z rodem Kalitów,
Szeremietiewów i Roma-nowów tworzyli zrab moskiewskiego państwa...

Urodził się 5 czerwca 1507 roku. Nazwali go: Fio-dor.

O pierwszych trzydziestu latach jego życia wiemy niewiele. Jak każdy syn
bojarski, umiał czytać, fechtować się i jeździć konno. Służył przy dworze
regentki Jeleny Glińskiej, rządzącej w imieniu swojego syna, małoletniego
Iwana. Wielkoksiążęcy dwór, przepyszny i skorumpowany, był miejscem,
skąd młody Fiodor oglądał kulisy politycznego teatru, jego aktorów i
artystów, ich namiętności i intrygi, przyoblekane w kostiumy przeróżnych
idei — dobra narodu, potęgi państwa... Fabułę tam plotły knowania i
zdrady, rekwizytami były: mamona, miecz i jad. Krwawe właśnie wygubiły
całe rody bojarów, w tym wielu Kołyczewów na tamten świat wysłano. 5
lipca 1537 roku, w chramie, Fiodor usłyszał słowa Ewangelii: „Nikt nie
może dwóm panom służyć; albo jednego będzie nienawidził, a drugiego
miłował; albo przy jednym stać będzie, a drugim wzgardzi". Po mszy
zbiegł z Moskwy.

Poszedł na północ, w starym kaftanie i łapciach, dla niepoznaki. Pośród
błot i lasów jego tropa zawiodła nad Jezioro Oniego. Tam, u smerda¹³
Sub-boty, pasł owce za chleb i polewkę. Po jakimś czasie nie sposób było
rozpoznać w ubogim pastuchu bogatego dworaka. Rodzice tymczasem, po
dłu-

¹³ smerd — wolny rolnik, czyli to samo co polski „smard".

17

gich poszukiwaniach, uznali go za zmarłego. Jesienią Fiodor ruszył dalej

na północ i pod koniec nawigacji dotarł na Wyspy Sołowieckie. Tutaj go przyjęli do nowicjatu: rąbał drwa, kopał ziemię w ogrodzie, taszczył kamienie, ciągał sieci, nosił gnój na swoich plecach, czasem cierpiał obelgi i cięgi... Półtora roku później Fiodora postrzygli w monachy — pod imieniem Filip. Służył w celi u starca Jony, pracował w klasztornej kuźni, gdzie sam „...widok ognia przywodził mu na myśl Gehennę”, oraz w piekarni, tam „mu się Matka Boska jawiła”. Potem się odosobnił w pustelni w głębi wyspy i żył w milczeniu i poście. W końcu został przełożonym klasztoru.

Igumen Filip, nazywany „powtórny założycielem monastynu”, przewodził braciom osiemnaście lat. Zbudowano w owym czasie dwa sobory — sobór Uspienski (Zaśnięcia Matki Boskiej) i sobór Przemienienia Pańskiego — kamienne cele dla braci i szpital, skit¹⁴ oraz przystań na Zajęczej Wyspie, pustelnie w lasach tudzież domy zakonne w Nowogrodzie i Wołogdzie, usypano kopce sygnalizacyjne wokół Zatoki Pomyślności i odlano trzy ogromne dzwony. Za igumena Filipa rozszerzono hodowlę bydła na Muksałmie (z dala od klasztoru, szanując wolę św. Zosimy, bo ten nie chciał, aby bydło się płodziło na oczach braci...) i puszczono renifery w sołowieckie lasy, zwiększono ilość warzelni soli i cegielni, wytyczano drogi, osuszano błota. Sam igumen wymyślił niezwykły system hydrotechniczny — sieć kanałów, którymi połączył ponad sześćdziesiąt jezior, uzyskując tym samym drogę wodną dla spławiania drewna, energię dla młyna oraz sztuczny zbiornik, zwany Świętym Je-

14 skit — rodzaj pustelni.

ziorem. Igumen Filip był także autorem szeregu surowych reguł (między

innymi zabraniały picia alkoholu i gry w kości w siołach monastyrskich), określających ogólną zasadę sołowieckiego klasztoru: „Kto nie chce pracować, niechaj też nie je”.

W 1565 roku Iwan Groźny wezwał Filipa do Moskwy na tron Metropolity Moskiewskiego i Całej Rusi. Wkrótce pomiędzy carem a nowym metropolitą doszło do sporu o opryczninę. Filip napominał cara, zrazu po cichu, potem głośno, publicznie, że władcy nie godzi się folgować namiętnościom, bo prawdziwym samodzierżcą jest ten, kto sam siebie potrafi dzierżyć w karbach, nie zaś rab własnych chuci i gorszyciel poddanych. Car szalał z gniewu, judzony przez oprychników, i szukał pretekstu, by ukarać śmiałka. Na metropolitę posypały się donosy. Knuli przeciw niemu i duchowni, i świeccy — archijepiskop nowogrodzki Pimen i archijepi-skop suzdalski Pafnutij, carski spowiednik Jew-stafij i książę Wasilij Tiomkin, lecz szalę przeważyli sołowieccy mnisi, którzy oskarżyli Filipa o czary. 8 listopada 1567 roku w Uspienskim soborze podczas liturgii tłuszcza oprychników z orężem napadła na metropolitę i wywlokła go z chramu, lżąc i bijąc. Potem była męka i ciemnica, do której Filipowi podrzucono odciętą głowę jednego z Koły-czewów. potem sąd i kazamaty twerskiego klasztoru,* gdzie flwa lata później — 23 grudnia 1569 roku — oprychnik Maluta Skuratow udusił Filipa ręcznikiem.

W 1590 roku ojciec Jaków, igumen sołowieckiego monastynu, uzyskał zgodę cara Fiodora Iwa-nowicza na przeniesienie zwłok Filipa na Wyspy. Po rozkopaniu mogiły ciało, nie tknięte rozkładem, roztaczało cudowny aromat. Szczątki świętego triumfalnie przewieziono na Sołowki i pogrzebano

pod kruchtą chramu świętych Zosimy i Sawwatija. Zaczęły się cudowne ozdrowienia. Kalecy i chorzy z całego Pomorza pociągęli na Wyspy. Aż sława sołowieckiego cudotwórcy dotarła na dwór cara Aleksieja Michajłowicza. W 1652 roku szczątki św. Filipa przeniesiono do Moskwy. Inicjatorem i mistrzem ceremonii był Nikon, metropolita nowogrodzki, niegdyś posłusznik starca Jeleazara z An-zera, a wkrótce patriarcha. Nikon przywiózł na Sołowki carskie pismo, w którym Aleksiej Michajłowicz prosił cudotwórcę o wybaczenie i modły za Iwana Groźnego. Pismo włożono do dłoni świętego i po uroczystej mszy, przy dzwonach i płaczu braci, szczątki z orszakiem ruszyły do stolicy. Za Zajęczymi Wyspami sztorm ich złapał, że ledwie dotarli do ujścia Oniegi. Do Kargopola płynęli rzeką, dalej lądem do monastynu Świętego Kiriła, potem rzeką Szeksną do sioła Rybnego, skąd Wołgą do Jarosławia i wielką północną drogą przez Pere-jasław. Ławrę Troicko-Siergijewską do Moskwy. Wszędzie po drodze wylęgał tłum i biły dzwony. W Moskwie na spotkanie szczątków z Uspienskie-go soboru wyszła procesja — na czele car, w złotym kaftanie i czapie usianej drogimi kamieniami, z indyjskim pastorałem z kości słoniowej w ręku, za nim metropolita Warłaam i duchowni, i możni, i motłoch. Szczątki św. Filipa wniesiono do soboru i ustawiono w miejscu, gdzie zaczynała się jego męka. „Po dziesięciu dniach modłów i cudów złożono je w srebrnym grobowcu po prawej stronie ikonostasu, tam do dzisiaj leżą, czczone przez ruski naród” — kończy się Żywot św. Filipa. Słowo moszczi (czyli „relikwie”) w staroruskim języku oznaczało kości, moszczi nietlennyje — kości nietknięte rozkładem. Niekiedy się zdarza, w niektórych gruntach (na

przykład na pustyniach, w wiecznej zmarzlinie Syberii, na cmentarzach Kaukazu), że zwłoki zmarłego nie gniją, lecz ulegają naturalnej mumifikacji, co wcale ze świętością się nie wiąże. Cerkiew w dawnej Rusi uznawała naturalną mumifikację ciała świętego za szczególny dar Boży, aczkolwiek niekonieczny do kanonizacji. Dopiero później przyjęło się mniemanie, jakoby zwłoki świętych nie rozkładały się. Ani kanonizacja św. Serafima z Sarowa, którego ciało zgniło do szczytu, ani opinia synodu nie obaliły tego przesądu, starczy wspomnieć szok w narodzie, wywołany widokiem rozłożonych ciał świętych w grobach odkrytych przez bolszewików. Ba, sami bolszewicy z zwłok swojego wodza zabalsamowali i czczą jego moszczy do dzisiaj...

Z obfitej literatury o Filipie Sołowieckim warto wyróżnić książkę Święty Filip, metropolita moskiewski Gieorgija Fiedotowa, jednego z najwybitniejszych myślicieli rosyjskiej emigracji, którego — słowami o Aleksandra Mienia — można nazwać „teologiem kultury”, bo jej korzeni szukał w wierze, w intuicyjnym postrzeganiu Realności. Sam Fiedotow tak objaśnił swoje zainteresowanie żywotami świętych: „W nich nie tylko czcimy niebiańskich opiekunów świętej i grzesznej Rusi, lecz poszukujemy też własnej drogi duchowej, jeśli bowiem całą kulturę narodu, w ostatecznym rozrachunku, określa jego religia, to w obrazach ruskiej świętości odnajdziemy klucz tłumaczący wiele zjawisk w naszej obecnej zsekularyzowanej kulturze”.

W książce o Filipie Fiedotow rysuje epokę — koniec udzielnej Rusi i krach idei prawosławnego

teokratyzmu, narodziny opryczniny i samodzierżawia — ukazując, jak historia wplata się w życie świętego. Filip uchodzi od świata, zamierza się skryć, lecz świat go dopada, najpierw w monasterze, dając mu pastorał igumena, potem w Moskwie, sadzając go na metropolitalnym tronie. Fiedotow mówi o Filipie bieglec, czyli zbieg, nie boriec — wojownik. Tym większy jest jego podwíg (to znaczy: wyczyn), nie tyle męczeństwa, ile odpowiedzialności. „Dla zdobycia tego zaszczytu — mówi Filip do Iwana Groźnego — nie używałem ni modłów, ni układów, ni przekupstwa. Sam pozbawiłem mnie pustelni i braci. Lecz jeśli podnosisz rękę na prawo, dla mnie nastaje czas wyczynu". A gdzie indziej dodaje: „Moje milczenie kładłoby grzech na twoją duszę, a ludziom niesłoby śmierć". Filip nie uchylał się od brzemienia odpowiedzialności — im większy ciężar nań spadał, tym donośniej brzmiał jego głos: „Pamiętaj, Najjaśniejszy Panie, wszystko, co zbierzesz na ziemi, tu się ostatecznie, a na niebiosach dasz słowo o swoim żywocie".

Spór między metropolitą a carem dotyczył — w istocie rzeczy — koncepcji ruskiego państwa. Filip był rzecznikiem tak zwanej „symfonii", to jest współwładzy cara i Cerkwi, a Iwan Groźny dążył do jedynowładztwa... To konflikt na Rusi nienowoczesny, starczy przypomnieć zatarg Wasyla III z metropolitą Warłaamem, zakończony kazamatą Kamiennego monasteru dla tego drugiego. A i później obie strony nieraz się ścierały, nie przypadkiem Gieorgij Fiedotow sięgnął po żywot Filipa Sołowieckiego niebawem po męczeńskiej śmierci patriarchy Ti-chona, gdy Stalin przymierzał się do roli Iwana Groźnego. Trudno więc zgodzić się z tymi, co mówią o ruskiej Cerkwi, jakoby zawsze i do końca

była zależna od władzy świeckiej. To jeszcze jeden stereotyp.

W rozprawie *Russkij wopros* pod koniec XX wieku Sołżenicyn najpierw obalił mit nowogrodzkiej demokracji XV-XVI wieku, powtarzając za Siergiejem Płatonowem, że w Nowogrodzie Wielkim rządziła oligarchia paru rodów bojarskich, a dalej napisał, że krajem prawdziwych swobód demokratycznych była ruska Północ, gdzie „...ruski charakter rozwijał się niezależnie, nie cieśniony moskiewskimi porządkami i bez skłonności do rozbojów, tak znamiennych dla kozactwa południowych rzek”.

Tam, na północ — według Sołżenicyna — winna Rosja skierować swój wzrok w XXI wieku.

Ruska Północ — obszar na północ od linii, która biegnie od Jeziora Czudzkiego, przecina rzekę Wołchow powyżej Nowogrodu, skręca za rzeką Mstą na południowy wschód do zlewiska Wołgi i Oki, dalej wzdłuż Wyczegdy i Miezieni wpada do Morza Białego (linię można przedłużyć do Uralu prawym brzegiem Oki i Wołgi i dolnym biegiem Karny, Białej, Ufy) — jako odrębny etnograficzno--kulturowy region formowała się od XII do XVII wieksi... I do samej rewolucji (niektórzy twierdzą, że do dzisiaj) przetrwały tu w postaci czystszej niż-li gdzie indziej w Imperium resztki starego bytu Ruskich — okruchy ruskiego świata.

Jednakże ruska Północ nie zawsze była ruska. Kiedyś zamieszkiwały tutaj plemiona niewielkich ludzi o płaskich twarzach i kruczoczarnych włosach, życiem i obyczajami przypominających Indian. Gocki historyk Jordanes (urodzony około pięćset-

23

nego roku) pierwszy nazywa — w dziele *O pochodzeniu i czynach Gotów* — niektóre z nich: Thiu-dos, Vas, Mordens... Później pojawiają się w

innych źródłach — niewyraźnie jak twarz odbita w poruszonej wodzie — u pisarzy bizantyjskich, w traktatach arabskich, w kronikach zachodnioeuropejskich, w sagach skandynawskich, w rachunkach kupców i w relacjach podróżników. Dopiero jednak Powieść minionych lat odnotowuje — w miarę dokładnie — nazwy szczepów tudzież miejsca ich przebywania. Do naszych czasów w większości przetrwały zaledwie puste nazwy — Czudź, Mu-romcy, Pieczorcy, Czudź Zawołocka — a ci nieliczni, co się ostali — Łopary czy Samojedzi — błakają się po tundrze niczym cienie dawnych nazw.

Powieść minionych lat opowiada, że ze słowiańskich plemion najdalej na północ sięgali Kry-wicze, Wiatycze i Słowienie; ci ostatni osiedli nad jeziorem Ilmeń, bo dalej ich nie puścili wikingowie.

Skąd się tam wzięli wikingowie? Spory między uczonymi trwają do dziś, choć nie ulega wątpliwości, że w VIII wieku wikingowie siedzieli już na lewym brzegu Wołchowa, dwanaście wiorst od Jeziora Ładoskiego, tam bowiem znaleziono ich ślady — drewnianą pałkę z magicznymi runami, mogiły ludzi grzebanych w łodziach, rogaty szyszak... Według latopisów to właśnie stamtąd, na prośbę Czudzi, Słowienów i Krywiczy, Ru-ryk z wikingami, zwanymi Ruś, rozpoczął w 862 roku porządkowanie wśród północnych plemion, czyli dał początek tworzeniu ruskiego państwa. Sama Ła-doga w IX wieku była sporą osadą na skrzyżowaniu wodnych dróg ze Skandynawii i Bałtyku do Kijowa, na Powołże i dalej do krajów arabskich. Jak w tyglu mieszały się tam szczepy i geny — normańskie,

24

słowiańskie i ugrofińskie — dając w efekcie ów niezwykły ruski a l i a ż (etniczny).

Stamtąd zaczęła się także ruska kolonizacja Północy. Ma Jeziorze Ładożskim można bowiem było i ludzi, i łodzie wypróbować przed trudną drogą (wikingowie nawigacji nauczyli), wiatru pokosz-tować. Daleka Północ kusiła daniną — rybą, futrem sobola, kłębem morsa. Tubylcze plemiona, rozproszone po tundrze, rzadko stawiały opór. Ciągnęły więc watahy Ładożan i Nowogrodzów rzecznyimi tropami, taszcząc swoje uszkujki (rodzaj dłubanych łódek) z rzeki do rzeki przez mchy i trzęsawiska — Świrem do Jeziora Onieżskiego, dalej zaś rzeką Wyg (obecnie wiedzie tamtędy Biełomorka-nał). Sumą lub Niuchczą, albo Oniegą lub Jemcą i Dwina Północną do Morza Białego, tudzież Pine-gą, Piezą i Cylmą lub Suchoną i Wyczegdą do Kamienia — tak zwano wtedy Ural.

Pod datą 1096 Nikon w Powieści przytacza Opowieść niejakiego Guriaty z Nowogrodu Wielkiego: „Posłałem swojego chłopaka do Peczory, do ludzi, którzy nam ^gją daninę. i dotarł chłopak mój do nich", i poszedł dalej do ziemi jugorskiej. Jugra to ludzie o niezrozumiałym języku i sąsiadują z Samojedami z północnych stron. I powiedziała Jugra chłopakowi memu: nowe i dziwne znaleźliśmy dziwo, o jakim wcześniej nie słyszeliśmy, a zaczęło się to trzy lata temu. Są góry dochodzące do zatoki morskiej, wysokie do nieba, w górach tych słyszać krzyk wielki i głosy, i ciosają te góry, chcąc się z nich wyciosać, i wyciosali otwór, i stamtąd gadają. Ich języka nie znamy, lecz pokazują żelazo i machają rękami, prosząc o nie; i jeśli ktoś da im żelazo — nóż lub siekierę — to w zamian oddają futra. Droga do gór tych jest trudna do przebycia — śniegi i las — dlatego nie zawsze

tam dochodzimy. — Powiedziałem Guriacie, że to lud uwięziony w górach przez Aleksandra cara macedońskiego, który dotart na wschodzie do morza zwanego «miejszem Sfonecznym» i ujrzał tam ludzi z plemienia Jafeta, i oglądał ich nieczystość — zjadali wszelką ohydę, komary i muchy, koty, żmije, i trupów nie grzebali, lecz pojadali, i poronione płody kobiece jedli. Ujrzawszy to, Aleksander przestraszył się, czy aby się nie rozmnożą i ziemi nie zanieczyszczą, i zagnał ich na Północ, w góry wysokie, i góry te zamknęły się za nimi...".

Pierwsze stałe osiedla Rusi nowogrodzkiej nad Morzem Białym pojawiły się pod koniec XIII wieku. Bogaci bojarzy, żądni wciąż nowych włości, ekwi-powali drużyny swych chłopów, tak zwanych ukszuj-ników. Ci docierali do Morza Białego, szli wzdłuż brzegów, szukając dogodnych miejsc na osady, zwykle u ujścia rzeki, nią podchodzili do pierwszych progów, tamże osiadali i łowili ryby, bili sobole lub warzyli sól dla swego bojara, „przymę-czając” do pracy okoliczne „karelskie dzieci” oraz „dzicz łoparską”, potem podążali dalej i dalej w głąb lądu, nowe osady zakładając, aby w końcu przyłączyć całą połąć kraju do ojcowizny rodu pana. Za drużynami chłopów ciągnęły na Daleką Północ zastępy inoków w poszukiwaniu pustelni, „...gdzie każdy mógł siebie odnaleźć i innym dać przystań dla surowego odosobnienia”. Z biegiem czasu owe pustelnie stawały się dużymi klasztorami — Sołowieckim, Pieczenskim, Nikoło-Karelskim, Archangielskim — przejmując trud kolonizacji ruskiej Północy. Takim sposobem Ruś nowogrodzka zajęła Ujście Dwiny i Brzeg lerski, potem Brzeg Karelski, Pomorski i Letni, wypierając stamtąd bądź „przymęczając” do rabskiej pracy tubylców.

Oprócz Rusi Nowogrodzkiej na północ ciągnęła także Ruś Rostowsko-Suzdalska (potem Moskiewska) — z międzyrzecza Oki i Wołgi, najpierw na Zimowy Brzeg i do Kraju Peczorskiego za sokołami, później zaś, pod naciskiem Tatarów — w Zawołocze na wschód od Dwiny. Tam osiadała wzdłuż Piniegi, Miezieni i Wygi. Aż doszło do wojny pomiędzy nowogrodem a Moskwą o ziemię dwińską. I żał, że polski król Kazimierz Jagiellończyk nie wspomógł wtedy nowogrodzkich bojarów, gotowych przejść na katolicyzm i przyłączyć swoje włości do Rzeczypospolitej w zamian za pomoc przeciw Iwanowi III. Jedną tylko Marfa Borecka władała ujściem Dwiny, Letnim Brzegiem i całą Zatoką Onieżską z Wyspami Sołowieckimi. Gdyby polski król wysłuchał jej prośb o wsparcie, któż wie, może ruska Północ byłaby dzisiaj Polską Północną? Niestety, Rzplita się nie wmieszała. Iwan Wasiljewicz bojarów pobił i głów ich pozbawił, włości Boreckiej oidał sołowieckim mnichom, a bojarskich chłopów i tubylców przez nich „przymęczonych” poprzemieniał w tak zwane „sieroty Wielkiego Gosudara Moskiewskiego”, czyli w wieśniaków, siedzących na ziemi gosudarskiej, ale w swoim użytkowaniu. Zresztą tubylcy rychło się zruszczali, albowiem „z nową wiarą i z ruskimi imionami przyjmowali obyczaje Ruskich, osiadali wokół cerkwi lub czasowni¹⁵ i zaczęli żyć po rusku do tego stopnia,

¹⁵ czasownia — aczkolwiek Wielki słownik rosyjsko-polski objaśnia, że to kaplica, w rzeczywistości to nie to samo. Kaplica bowiem to „maty kościółek; boczna część kościoła, mająca ołtarz i tworząca oddzielną całość; oddzielny pokój z ołtarzem do odprawiania nabożeństwa”, natomiast w czasowni nie ma ołtarza i w związku z tym nabożeństwa się nie odprawia. Ot, kolejny przykład, jak tłumaczenie niektórych wyrazów,

oznaczających specyficzne dla danej kultury rzeczy, pojęcia lub zjawiska (w tym przypadku chodzi o budynek), sprawia, iż tekst wprowadzie staje się

27

P

że — według starych gramot — niepodobna ich było odróżnić od rodowitych Nowogrodców lub Ro-stowców". Rzecz jasna, proces przebiegał i w drugą stronę — Ruscy przyjmowali obyczaje tubylców, ich sposoby życia na Północy wiekami odpolerowane —jadło, odzież, rodzaj zajęć, kształt narzędzi, profil łodzi. Z biegiem czasu na ruskiej Północy uformował się etniczny typ Pomorzan — śmiałych i przedsiębiorczych ludzi przywykłych do swobody, jako że Północ nie znała ni pańszczyzny, ni jarzma tatarskiego. Surowy klimat ich zahartował, wiatry wytrawiły, kompas nazywali „matką”, morze — „drogą”, i mierzyli je dniami, nie wiorstami, chodząc naprzeciw słońcu aż do Obu — rzeki Wielkiej, i do Mangazei. Na odległych łowiskach Murmana, Szpic-bergu oraz Nowej Ziemi pracowali artelami, w siołach żyli mirem¹⁶, wierzyli po staremu, tworzyli cuda drewnianej architektury, ułożyli setki bylin...

W XVI wieku na ruskiej Północy pojawili się cudzoziemcy — najpierw Anglicy, za nimi Holendrzy — płynęli z Europy, omijając półwyspy Skandynawski i Kolski, do Chołmogorów, stamtąd Dwina i Su-choną przez Wielki Ustiug do Wołogdy, dalej lądem do Moskwy wieźli sukna angielskie, koronki bra-banckie, sól hiszpańską, wina reńskie, porcelanę i lustra (aczkolwiek Ruś nade wszystko przedkładała armaty, kule i proch), a z powrotem zabierali czarny kawior i ruską naftę, futra, ziarno, puch. Niebawem północny trakt stał się nerwem kraju, życie tam tętniło jak na jarmarku: ludzie bogacili się, zamorscy kupcy kupowali domy, budowali

składy, krążyły towary i wieści ze świata, mody, bardziej rozumiały w czytaniu, lecz mówi nie o tej rzeczywistości, o której zamierzał opowiedzieć.

16 mir — tu chodzi o zgromadzenie gminne, czyli znamioną dla dawnej północnej Rosji formę samorządu wiejskiego.

ploty i złoto. Tym bardziej że Moskwa utraciła dostęp do Bałtyku, ustępując Szwedom Narwę, więc tylko przez Morze Białe mogła prowadzić handel, jak i snuć dyplomatyczne intrygi. Cudzoziemscy posłowie, kupcy i awanturnicy nieraz pisali z zachwytem o ruskiej Północy — o miastach bogatych i bardziej europejskich niż Moskwa, o ziemiach obfitych w płody, o dobrobycie wsi... Nie dziw, że niejednemu przychodziło do głowy, by kraj ów — tak drogocenny — zaanektować (już w 1617 roku projekt angielskiego protektoratu nad ruską Północą przygotował dla królowej Elżbiety agent handlowy John Merrick). Ale i Ruscy, nie w ciemę bici, cenili północne rubieże.

— Ruś na północ twarzą się zwróciła — powie akademik Płatonow.

Dopiero Piotr Wielki obrócił ją na zachód. Odtąd życie na ruskiej Północy zamiera, nie bez pomocy cara, który udusił tamtejszy handel zakazem wywozu przez port archangielski całego szeregu towarów, kierując ich potok przez odzyskaną Narwę i Rygę oraz Petersburg.

Kolejni carowie czerpali z Północy na podboje

— jak z własnej szkatułki, stopniowo ją opróżniając, aż bogata, morzem i handlem żyjąca kraina przekształciła się w głuchy ostęp raskolników¹⁷, zesłańców i zbiegów...

W końcu Imperium Rosyjskie zapomniało o Północy, rozpierając się i na wschód, i na zachód, i na południe —jednocześnie.

Wieki XVIII i XIX zakonserwowały ruską Północ

— i w mowie, i w obyczaju. Na przykład pewne słowa, które można znaleźć tylko w zabytkach literackich dawnej Rusi, tutaj są żywe do dzisiaj. TU

17 raskolnicy — staroobrzędowcy, schizmatycy.

28

29

przetrwały, choć w zwyrodniałej postaci, tradycje ruskiego miru i wiara starego obrzędu, tu się ostały dawne sposoby wiązania sieci i strofy niegdysiejszych bylin staruchy tutaj pamiętają. Bo wiek XX — rzekomo postępowy — w rzeczy samej zamknął ruską Północ. Jak żonę.

Akademik Dmitrij Lichaczow nazywa dzisiaj ruską Północ— esencją ruskości.

Dni ciemnoszare, jakby światło padało przez szczelinę uchylonego wieka — do trumny.

Redaktor Giedroyc zadziwia mnie intuicją. Niedawno zaproponował mi krótkie omówienie książki Stefana Bratkowskiego Pan Wielki Nowogród i dodał/ że jeszcze jej nie widział, ale się obawia, iż jest to książka bałamutna. I rzeczywiście.

Na jednej z tytułowych stron widnieje: „Prawdziwa historia Rusi”. Czyli —jeśli dobrze rozumiem — wszystko, co dotąd napisano na ten temat — jest nieprawdą! Od razu rodzi się pytanie, co autor czytał? Niestety, ni bibliografii, ni przypisów. W po-słowie Bratkowski wyjaśnia:

„Czytelnikowi niniejszego studium oszczędziłem aparatu przypisów; kilkunastu osobom na świecie, kompetentnym w tematyce tej książki, są one niepotrzebne, bo źródła, na które się powołuję w tekście, i cytowane

poglądy uczonych nie wykraczają poza listę lektur dobrze znanych". Ba! Jest za to indeks osobowy, ale budzi zdziwienie, bo w książce, która dotyczy prawdziwej historii Rusi, ani razu nie padają nazwiska największych rosyjskich historyków: Kluczewskiego, Sołowiowa, Płatonowa. Autor piszący o początkach Rusi, czyli

I

pracujący, jak miemam, z literaturą staroruską — w tym z latopisami... — ani razu nie wspomina nazwiska Szachmatowa czy Lichaczowa. To zaledwie parę jaskrawych przykładów, lista nieobecności jest dłuższa. Gwoli wyjaśnienia... Nie jestem historykiem i wątpię, żeby Bratkowski zaliczył mnie do owych kilkunastu osób na świecie kompetentnych w tematyce jego książki. Dziejami Nowogrodu oraz dawnej Rusi interesuję się po amatorsku, czytam nieco (między innymi teksty staroruskie) i wałęsam się tropami nowogrodzkich uszkujników. Latem pobywałem i w Kienozierze, i w Pudożu, i w Kargo-polu... — czyli w tych miejscowościach, o których Stefan Bratkowski twierdzi, że ich nazwy nie nikomu nie mówią.

Książka Stefana Bratkowskiego jest bałamutna w obu znaczeniach tego słowa — zawraca w głowach i wprowadza w błąd. Chcecie przykładu? Proszę: w roku 860 święty Cyryl posłował do Chazarów i po drodze w Chersonesie natknął się na rus'sky pismieny. Pochodzenie owych „ruskich pism” od lat budzi spory uczonych, i do dziś pozostaje niejasne, co autor Żytija Konstantina-Kiritła (z którego pochodzi wieść o nich) miał na myśli? A dla Bratkowskiego problemu nie ma: „Odgadnąć autentyczne «pismo ruskie» nietrudno: pismem Ru-sów ze Skandynawii były naturalnie — skandynawskie runy, których ślady rozsiane są gdzieniegdzie

po starej Rusi". Cóż za pewność siebie!

A przy okazji jakaż erupcja erudycji...! Oto w akapicie poprzedzającym swoją teorię o pochodzeniu „ruskiego pisma” Bratkowski wylicza uczonych naszych czasów, którzy „walczyli zaciekle, snując domysły, niekiedy zgoła fantastyczne”. Jest wśród nich David M. Lang, „profesor Oksfor-

30

31

du, znakomity historyk świata kaukaskiego (mamy odeń historię nowoczesnej Gruzji i starożytnej Armenii)", i David Diringer z Cambridge, „wielki znawca epigrafiki, historyk alfabetu i twórca niezwykłego Muzeum Alfabetu", jest też historyk rosyjskiego pochodzenia Qeorg Vernadsky,patriota praratu moskiewskiego z tysiącletnim wyprzedzeniem", (notabene: nazwisko ostatniego pojawia się tylko raz w Panu Wielkim Nowogrodzie, choć byt to bez wątpienia jeden z najwybitniejszych historyków rosyjskich XX wieku; znajomość choćby pierwszego tomu jego Istorii Rossii uchroniłaby Bratkowskiego przed odkrywaniem lądów dawno już odkrytych). Ów popis erudycyjny, niby zasłona dymna, mąci w głowie i odwraca uwagę od zasadniczego faktu — że autor Pana... nie zna tekstu źródłowego!

Przeczytałby Bratkowski Żytije Konstantina-Ki-rilta i nie pisałby baliwierni o runach. Po słowiań-sku ustęp brzmi tak: „Obńetie że tu Jewangelije i Psatty'r, rus'sky pismieny pisano". Zali święte Ewangelie na runy przekładano? Według akademika Lichaczowa najbardziej prawdopodobna z wersji tłumaczących to zdanie mówi, że chodzi o pismo

surskoje (to jest: syryjskie!), inne wspominają o przekładzie Biblii na język gocki, jeszcze inni bąkają o jakimś piśmie starożytnych Rusów...
O runach skandynawskich akademik Lichaczow w ogóle nie wspomina.

Nie jestem zwolennikiem czepiania się gościa

1 wyszukiwania dziury w całym — co praktykuje większość krytykantów, zazwyczaj nie mając zielonego pojęcia, w czym rzecz — na własnych łydkach nieraz poczułem zęby papierowych pitbulów. Jeśli więc daję przykład bałamutni Pana..., to po to, żeby pokazać samą metodę bałamuctwa, która polega na mówieniu horrendalnych bzdur z pewnością siebie tudzież epatowaniu erudycją — czę-

32

sto z drugiej ręki. Przykłady można by mnożyć, książka bowiem roi się od błędów, lapsusów i ekstrawagancji, tam zwłaszcza, gdzie autor bryluje lingwistyką i Ładogę kojarzy z „ładowaniem”, a wo-^{lok}18 od wołu wywodzi, że niby woły taszczyły łodzie. Wystarczyłoby, by Bratkowski sam się przez parę wołoków przewłóczył — po grząskich trzęsawiskach i zdradliwych bagnach — by pojął nonsen-sowność swojego pomysłu: woły w tych błotach to niedorzeczność. Równie zabawnie brzmią różne banialuki na temat północnego bytu —jakoby ludzie z głodu jedli korę lip i liście wiązów, które tu nie rosną (jedli korę sosnową!), a ruska bania¹⁹ to ¹⁸ w o tok — droga przeciągania łodzi lądem. Zarówno w Tbtkowym stowarzu Władimira Dala, jak i w nowych etymologicznych słownikach języka rosyjskiego, na przykład w Istoriko--etimotogiczeskom stowarzu sowriemlennogo russkogo jazyka Pawła Czernycha wołok pochodzi od wotoczW — czyli włóczyć (warto porównać z włókiem u naszego Aleksandra Briicknera). Natomiast Stefan Bratkowski, nie wiedzieć

czemu, wywodzi wołok od... wołu i strasznie się na mnie obruszył, że śmiałem mu zwrócić uwagę na niestosowność takich etymologicznych fantazji. Bratkowski uważa, że gdybym czytał rosyjskich historyków, to dowiedziałbym się, że „...słynnymi wołokami Północy, suchymi przeprawami lądowymi na* swoistych rolkach z okorowanych drągów, to woły ciągnęły potężne «jednodrewki», łodzie wydłubane i wypalone z jednego grubego pnia — i że nie ma dla wołoka etymologii naturalniejszej niż «wół»". W odróżnieniu od Stefana Bratkowskiego, który swoją wiedzę na temat wotoka opiera na rosyjskich historykach (bez podawania źródeł!), ja niejeden wołok przełaziłem sam. I zapewniam, że w takich grzędzawiskach ciężkie woły nie mają szans. Nie wykluczam, że tam, gdzie pozwalały warunki i niewielkie odległości od ludzkich osiedli, rzeczywiście woły taszczyły łodzie w suchych miejscach. Lecz przecież Nowogrodzianie chadzali na swoich jednodrewkach" aż do Morza Białego i Peczory, czyli robili tysiące wiorst po nieznanych rzekach, jeziorach i błotach, pokonując przy tym dziesiątki wołoków, więc trudno sobie wyobrazić, że w takie podróże, trwające niekiedy dwa-trzy lata, zabierali do łódek woły.

19 bania — niby łaźnia, ale... Znowuż ruska specyfika! W odróżnieniu od fińskiej „suchej" sauny, z którą często bywa mylona, w ruskiej bani wyparzamy się w kłębach gorącej pary wodnej.

analog fińskiej sauny... Ale dosyć, przejdźmy do zasadniczego wątku.

Chodzi o Nowogród Wielki — warto o tym pamiętać, czytając książkę, bo sam autor raz po raz ubiega na stronę, jakby chciaf przy okazji opowiedzieć wszystko, o czym przeczyta! u innych, i czasem doprawdy nie wiadomo, o co idzie: o dzieje Rusów, Nowogrodców czy wikingów

(wiem, że dzieje tutaj wikłają się i plotą jak tropy w błocie, tym bardziej więc należałoby zadbać o dukt pisma) — otóż wątek Nowogrodu chciałbym rozpatrzyć w trzech aspektach.

Po pierwsze — według Stefana Bratkowskiego wokół Nowogrodu Wielkiego od stuleci panuje zmowa milczenia. Co najmniej od Iwana Groźnego, który zasądził miasto „na wymazanie z historii i pamięci Rosji. Egzekucji wyroku pilnowali następcy. A razem z nimi — historycy. Cyniczne lizusy dworskie na równi z patriotami". Oj, cóż za ferwor, takim jadem felieton się uprawia, a nie studium historyczne pisze. Autor potępia w czambuł wszystkich dziejopisów (nawet Nestorowi się dostaje!) za rzekome przemilczanie samego faktu istnienia Nowogrodu Wielkiego do dziś, bo przecież na XX Zjeździe KPZR w 1956 roku „Chruszczow nie mówił nic w swym tajnym referacie o zbrodniach Iwana Groźnego", więc tylko — zacytuję raz jeszcze — „Być może jutro wychyną z przepastnych piwnic po byłej bezpiece czy zablokowanych archiwów jakieś latopisy skonfiskowane po klasztorach...".

Ot, tak — tajny referat, piwnice безпеiki, zablokowane archiwa, skonfiskowane latopisy — toż to rekwizyty boju o lustrację! Ależ się w tych polskich głowach porobiło... A przecież wystarczyłoby chociażby Kluczewskiego poczytać, Sołowiowa tudzież

34

Wernadskiego, wszyscy oni poświęcili Nowogrodowi Wielkiemu w różnych latach całe rozdziały swoich wielotomowych historii Rosji. Albo obszerna praca Bieiajewa Istoria Tiowgoroda Wielikogo ot driewniejszych wriemion do jego padienija, wydana w Moskwie w 1864 r. Albo solidne dzieło Ni-kitskiego Istoriija ekonomiczeskogo byta Wielikogo Nowgoroda,

też wydane w Moskwie w 1864 roku. Nie zamierzam Cię, Czytelniku, nużyć bibliografią, więc odnotuję jeszcze tylko pomnikową edycję Potnogo sobranija russkich letopisiej, która bynajmniej nie została przerwana w czasach sowieckich, jak by można wnioskować ze słów Stefana Bratkowskiego o piwnicach bezpieki i zablokowanych archiwach, lecz na odwrót, dzięki pracom Szachmatowa i Nasonowa zyskała większy rozmach. Ba, to właśnie wtedy opublikowano latopisy nowogrodzkie pod redakcją Nasonowa. Niestety, rzeczonych nazwisk w ogóle nie ma w książce Bratkowskiego, albo — jak w przypadku Bieiajewa — pojawiają się w niej półgębkiem.

Po drugie — dzięki Bratkowskiemu mity o wiecowej demoRracji Nowogrodu Wielkiego odżywają z nową werwą (to właśnie ideały demokratyczne dawnej Rusi, uosobione w republice nowogrodzkiej, jakoby przemilczeli historycy-patrioci samo-dzierżawia moskiewskiego oraz ich sowieccy po-grobowcy — bałwochwalcy sowieckiego imperium, aliści zabawne, że sam Stefan Bratkowski najczęściej się powołuje na sowieckich metrów historii, Rybakowa i Griekowa), a samo pojęcie wiecza²⁰ nabiera nowego znaczenia — autor Pana Wielkiego Nowogrodu wiąże je z tymi, co wiedzą, autor zaś Etymologicznego słownika języka rosyjskie-

20 wiecze — zgromadzenie ludowe, wiec.

35

go — z tymi, co gadają. Wystarczy posłuchać obrad polskiego Sejmu czy rosyjskiej Dumy (zwanej w narodzie goworilnią), aby się przekonać, że więcej tam gadają, aniżeli wiedzą. Możemy więc sobie wyobrazić, jak wyglądało to wiecze półdzikiej Rusi na głuchej Północy.

Zresztą, po co trudzić wyobraźnię, wszak są latopisy — obrazy nowogrodzkich wieców utrwalone w nich, jak na starych fotografiach, niewiele mają wspólnego z kliszami Pana Wielkiego Nowogrodu. I tak: przyłaził na wiec każdy, kto się nie lenił, często podpity, i wrzawy tam było co niemiara (Kluczewski śmiał się, że „decyzje na wiecu zapadały na oko, ściślej mówiąc, na ucho, dzięki sile krzyków raczej niżli liczbie głosów”), nierzadko dochodziło do kułaków, bywało też, że dwa wiece jednocześnie na dwóch końcach miasta się odbywały, po czym jedni na drugich ciżbą ruszali — z kamieniami, z pałkami...

„Znów naród się rozjuszył — podaje Nowgo-rodskaja pierwaja letopis mładszego izwoda — i wszyscy, jak pijani, poszli na drugiego bojarzyna, na Iwana Jewlicza z Czudincewoj ulicy, i wraz z jego domem wiele innych domów bojarskich grabili, i monastyr św. Nikoły na Polu rozgrabili, krzycząc: tu są spichrze bojarskie! I jeszcze w ten sam dzień na ulicy Ludogoszczej pograbili mnóstwo domostw, pokrzykując: oni są nam wrogami! Wrogość ogromna zaczęła się szerzyć, zatem przybiegli na swoją Targową stronę i zakrzyknęli: Sofijska strona idzie przeciw nam, by nasze domy pograbić! I jęli dzwonić na całe miasto, ludzie zbiegali się z obu stron, jak na bitwę, w pełnym rynsztunku, i na Wielki Most ruszyli, wielu z nich zginęło: jedni od strzał, inni od miecza i martwi byli jak na wojnie. I padł strach na całe miasto”.

36

Wydarzenia te miały miejsce w 1418 roku, a więc nie w zaraniu republiki nowogrodzkiej, kiedy można byłoby je tłumaczyć brakiem demokratycznych tradycji, lecz pod sam koniec jej istnienia.

Historyk Sołowiow na podstawie latopisów naliczył w Nowogrodzie 12

smut od śmierci Jarosława I do najazdu Tatarów i 20 smut od najazdu Tatarów do Iwana III. Wasilij Kluczewski nazwał ustrój Nowogrodu „podrabianą demokracją” — w niej kluczową rolę grały kliki bojarskie, manipulując czernią wedle swoich interesów. Słowem, nowogrodzka ochlokracja w istocie przykrywała rządy oligarchii. Podobnego zdania byli i inni historycy — Płatonow, Wernadski czy Heller — uczeni z różnych szkół historycznych, więc trudno uwierzyć, że wszyscy hołdowali marksistowskim stereotypom.

Nie miejsce tutaj na szczegółową analizę ustroju nowogrodzkiego, dodam więc tylko, że nie wszyscy tak negatywnie go oceniali, na przykład Fiedotow w świetnym szkicu *Riespublika Swiatoj Sofii*, opublikowanym w Nowym Jorku w 1950 roku, wyrażał myśli, pod którymi i Bratkowski mógłby się podpisać — gdyby je znał... I szkoda, że ów testament duchowy wybitnego rosyjskiego myśliciela nie został zauważony w książce polskiego autora.

Po trzecie — jak chce Bratkowski, Ruś zjednoczyli Tatarzy, a mogliby Nowogrodzcy lub... my, Polacy. Polaków zostawiam na stronie, wszak nawet swoich ziem długośmy nie utrzymali, a Rzeczpospolita pod koniec XVIII stulecia jako żywo przypominała republikę nowogrodzką pierwszej połowy XV wieku. Co do Nowogrodzów zaś, to warto się przyjrzeć, jak Bratkowski ich widzi i jak tam było w rzeczy samej.

37

Otóż Bratkowski pisze: „Nowogród Wielki przez całe stulecia panował nad obszarem znacznie większym niż jakiekolwiek królestwo czy księstwo europejskie, sięgał swymi faktoriami aż po Syberię, wciągał w obręb swojego państwa i zruszczaf ugrofińską północ dzisiejszej Rosji, nie krwią

i żelazem, lecz swoją wyższą kulturą i swoimi wolnościami". A w latopisach czytamy, że gdy w 1169 roku ziemia dwińska nie chciała płacić dani Nowogrod-com, bo wołała Andrieja Suzdalskiego, to spór zakończył się rzezią. Potem jeszcze kilka razy ziemia dwińska próbowała wywinąć się z objąć Pana Wielkiego Nowogrodu, aż w 1397 roku zadała się z moskiewskim Wasylem i nawet krzyż mu całowała. I tym razem Nowogrodcy zwyciężyli, większość wyrznęli, na resztę haracz nałożyli, a gród Orlec dla przykładu zrównali z ziemią. Nic dziwnego, że kiedy syn Wasyla, Iwan III, pociągnął na Nowogród, to ziemia dwińska poszła za nim. Ktoś powie, że ziemia dwińska to wyjątek. A każń Rżewa i Wielkich Łuków w 1437 za odmowę dani? Że nie wspomnę o losie aborygenów Północy.

Na koniec przytoczę słowa nieodżałowanego Michaiła Hellera (Adama Kruczka z „Kultury”), który pisał, że badanie dziejów dawnej Rusi, aczkolwiek nie przynosi ostatecznych odpowiedzi na pytania o odległą przeszłość, bo i nie może ich przynieść, za to rozszerza naszą wiedzę, jeśli tylko nie będziemy nastawać na oczywistości tejże.

Czy doskonała może być tylko nieobecność?

Adam Zagajewski

Już od dwóch miesięcy nie rozstaję się z Pragnieniem Adama Zagajewskiego. Wieczorem zabie-

38

I

ram je ze sobą na górę, do sypialni — do snu, rano na dół znoszę, do kuchni — do zielonego cza-ju, od którego zaczynam powitanie słońca.

Często także sięgam do niego w ciągu dnia... A przy okazji przejrzałem raz

jeszcze — po kolei — wszystkie tomy poety. Wszystkie, które mam. I prozę, i wiersze.

Mój dom stoi na samym brzegu morza... „O morzu nic się nie da powiedzieć — pisze poeta w utworze W cudzym pięknie — tylko plaża jest elokwentna”. Patrzę w okno... „Ten, kto mówi, kto ma do czynienia z ekspresją, zdradza byt; byt jest milczący i pełny, niewysłowiony, każda wypowiedź może go tylko zubożyć”. Ba.

Czytuję Pragnienie, jakbym wodził palcem po śladach fali na piachu, soli na kamieniach.

Choćby wiersz Z pamięci, otwierający tom. Jakże długo to musiało się klarować — w milczeniu — by tak czysty rys uzyskać? Zdawałoby się, nic prostszego, okruchy pamięci: wąska ulica, dym nad koksownią, sąsiedzi, śnieg na dachach, łakomy ksiądz. Ale przecież każdy z tych starannie odebranych kamyków wyszedł przez „krtąń tego wiersza” — wąską jak ulica. I nieprzypadkowo przymiotnik „wąski” aż trzykroć pojawia się w tekście. Można się tylko domyślać, o czym nie mówią wąskie wargi starych panien, które przeżyły Syberię i Stalina, i o czym nie może powiedzieć wąski żargon zwykłości i podłości... W wierszu Z pamięci wyłaniają się zaledwie wierzchołki gór lodowych, na przykład śnieg leżący na dachach „czujnie jak Indianin” przynosi zapachy z wigwamów dzieciństwa... Nie do końca natomiast zgadzam się z poetą, że każda wypowiedź zuboża byt. Tylko ta wypowiedź zuboża byt, która ma ambicje wypo-

wiedzieć go do końca, ta zaś, co jeno sugeruje, na odwrót, wzbogaca go. Jak wiersz Z pamięci.

Albo Pokój, nieco inny niż mój. Przez okno zamiast morza i monastynu widać tam: „...kilka chudych drzew, / cienkie obłoki i dzieci z przedszkola, / zawsze zadowolone, głośnie. / Czasem w oddali błysnie szyba samochodu / albo, wyżej, srebrna łuska samolotu". Za to wewnątrz wygląda tak samo — „jest sześcianem jak kostka do gry". Nawet czajniczek do herbaty, zwanej tutaj czajem, ma podobnie „wydętą habsburską wargę". Poeta marzy o absolutnym skupieniu (o którym Si-mone Weil mówiła, że jest modlitwą) i dodaje, że gdyby je znalazł, zapewne przestałby oddychać... Jego praca to „dużo nieruchomego czekania, / przewracania kartek, cierpliwej medy-tacji, / bierności".

Pytanie: czy poeta trwoni czas, którego inni nie tracą, szukając przygód na ziemi i w przestworzach, czy też czas ten kontempluje, w czym Weil widziała klucz do ludzkiego życia? Odpowiedź znajduję w Pokoju.

Wreszcie Autoportret, zamykający tom. Kilkoma kreskami, niewyraźny, jak na ciemnym monitorze. „Między komputerem, ołówkiem i maszyną do pisania schodzi mi pół dnia". Na pierwszy rzut oka uderza obcość:

„Mieszkam w obcych miastach i niekiedy rozmawiam / z obcymi ludźmi o rzeczach, które są mi obce". Znowu trzykrotne powtórzenie jednego słowa, i to w jednym zdaniu. Poeta zakochał się w obcości dawno temu — pisał o tym w utworze W cudzym pięknie — w Pradze, gdzie po raz pierwszy poczuł to ekscytujące uczucie bycia obcym, a przez to jakby realniejszym. (Nie sposób nie wspomnieć Gombrowicza: „Jestem sam. Dlatego bardziej jestem"). Stąd osob-

40

na perspektywa, z której poeta patrzy na bliźnich, ożywionych zazdrością, pożądaniem lub gniewem, i na monety, wytarte przechodzeniem z rąk do

rąk, na drzewa, nie wyrażające nic, i na ptaki... Stąd też samotność, dzięki której życie „na razie należy do mnie” —jak Autoportret.

Czytam Pragnienie, jakbym wodził palcem po śladach fali na piachu, soli na kamieniach...

Wyobcować się — to znaleźć się w sobie. Być bardziej, realniej niż w rozrzedzonej przestrzeni układów, wzajemności, sieci powiązań, zobowiązań, wiązań rzekomej rzeczywistości. Ba, nawet własny język, jeżeli używamy go odświeżnie — pozostając na co dzień w obcym — staje się twardszy, konkretniejszy... Odpada zeń łuska potoczności i cała ta wata słowna — chłam słów.

Niegdyś Daniel Beauvois w liście do „Kultury” zwrócił uwagę na niewłaściwe — jego zdaniem — posługiwanie się przeze mnie wyrazem „ruski”, którym rzekomo zastępuję słówko „rosyjski”, i nazwał to „...wypaczeniem językowym, godzącym w wizję Europy Polaków”. Dalej profesor mnie napomniął o obowiązku przestrzegania odwiecznego obyczaju języka polskiego, każącego mówić o Rusi tylko w dwóch wypadkach:

- 1) Kiedy rzecz tyczy Słowiańszczyzny wschodniej do XV wieku
- 2) lub dawnych ziem wschodnich Rzeczypospolitej, to znaczy Ukrainy i Białorusi.

Precyzja językowa — według profesora — szczególnie waży w chwili, gdy niezależność tych krajów każe je ściśle rozróżniać.

41

Hm. Z punktu widzenia odwiecznego obyczaju języka polskiego profesor Beauvois ma być może rację*. Natomiast z pozycji człeka od lat siedzącego w Rosji (choć polonisty z wykształcenia...) sprawa nie jest tak

prosta i kategoryczna jak prawidła gramatyki, na odwrót — gmatwa się i mgli, co sprawiło, że odstąpiłem od reguł poprawności językowej na rzecz słuchu. Wszak słyszę russka-ja pieczka, nie rossijskaja, takóŜ russkaja idleja, russkij duch... Rosyjska za to jest Federacja, rosyjskie są regiony i nawet Czeczenowie ciągle pozostają obywatelami rosyjskimi, chociaż nigdy nie byli ruskimi. Ba — dzisiaj sami Rosjanie się kłóćą, kto z nich naprawdę jest Ruski, a kto — dla przykładu — Żyd.

„Albowiem sam przymiotnik russkij od dawna stał się problemem... — zauwaŜa Fiodor Girie-nok, profesor filozofii Uniwersytetu Moskiewskiego, w swej ostatniej książce pod znamienym tytułem Patologija russkogo urna — ...aŜ dziw bierze, skąd ta nieprzezwyćezona u nas niechęć do słowa russkij i próba zamienienia go jakimś innym wyrazem. Z niewiadomych przyczyn usiłujemy stworzyć językową zasłonkę dla normalnego uczucia identyfikacji z całością, najpierw taką zasłonką było słowo sowietskij, potem, powołując się na Karam-zina, zamieniono je słowem rossijanin". (Podkreślam całość, bo w niej — moim zdaniem — jest pies pogrzebany. Tytułu książki profesora Girienka nie tłumaczę, albowiem przełożony na „rosyjski umysł" zaprzeczyłby intencjom autora, a jako „ru-

* Aczkolwiek Samuel Linde w swoim Słowniku języka polskiego wyrazy „ruski" i „rosyjski" traktuje jako synonimy, a trzyto-mowy Słownik języka polskiego z 1978 roku dopuszcza w potocznym uŜyciu słowo „ruski" zamiast „rosyjski".

42

ski" nie tylko nic nam nie powie o umysłach Ukraińców czy Białorusinów, ale ich może obrazić!

Dodam jeszcze — nie wychodząc z nawiasu — że przekład niektórych ruskich słów na język polski rodzi problemy związane z brakiem gruntu w polszczyźnie — bytowego, mentalnego... — dla owych słów. Co sprawia, że tłumaczenie ich tworzy sytuację, kiedy mamy słowo, a nie mamy rzeczy nim określanej lub doświadczenia, i następuje podmiana, w wyniku której za ruskim słowem w polskim przekładzie stoi jakaś polska rzeczywistość albo zgoła nic. Ot, ruski duch... jak go przełożyć na nasz język, nie gubiąc po drodze albo ducha, albo woni? Według Dala, ruski duch najlepiej się czuje w ruskim języku bynajmniej nie w salonach, gdzie go łacińska gramatyka życia pozbawiła, lecz w głębi kraju — tam słysząc żywą chłopską mowę, „od której z dala niesie dziegciem, siwuchą lub chlebowym kwasem, przepoco-rią baranicą i brzozowymi witkami”).

Całość? Otóż to! Kiedyś Fiedotow (potem Soł-żenicyn.) pisał, że Rosja nie jest częścią Europy, jak Mierricy czy Włochy, lecz całym światem, jak — dajmy na to — Chiny. Osnową tego świata jest ruska kultura (formy bycia) — nie państwo, naród czy wiara. Co prawda Fiedotow mówił o świecie w granicach Imperium Rosyjskiego, które rozpada się na naszych oczach, ale to nie znaczy, że z nim przestają istnieć formy ruskiego bycia. W Europie także cesarstwa się rozpadały i nowe państwa powstawały, i granice się zmieniały, lecz nikt nie powie, że Francja to kraj europejski, a Słowacja — nie, bo gdy kultura europejska się formowała, to państwa słowackiego nie było. Ruski świat tworzyły Ładoga, Nowogród, Kijów i Moskwa, swój wkład wnieśli i Tatarzy, i Czudź, i nie widzę przy-

Hm. Z punktu języka polskiej racji*. Natomiast cego w Rosji sprawa nie jest widza gramaty co sprawiło, że językowej na i ja pieczka, ni russkij duch.

syjskie są reg zostają obywateli byli ruskimi. kto z nich na kładu — Żyd,
„Albowiem stał się protokół, profesorem go, w swej 05 lemm Patologii
skąd ta niep
ruskiej i prół
zem. Z niew
językową za
tyfikacji z c,
słowo sowk
zina, zamie
ślam cało;
pies pogrze
nie tłumac.
umysł" zap

* Aczkolwiek skiego wyraży mowy Stowbił tocznym użyci

Gdyby Rosja była częścią istniał bo mż

problem b

ja była czę

istniał, bo można by się b^^

Niedawno na Solówkach

fetowano Dzień Zwy

wspólnego kodu kulturowego—^odwoływać dcięstwa. Wykorzystując

pretekst, odwiedzałem we-sci — z nim

° PeWnaj^ó

dij j ś

słów, niczym losy ludzi wyrzucone ręką przy-dku... Niedawno na

Solówkach fetowano Dzień Zwy-

— z uinenok

nim mogliby się identyfikować Pe!Wie^^foeranów drugiej wojny światowej,

nazwanej tutaj '•' i profesor Beauvois Lec Wr° •' profeso Wielką
Ojczyźnianą. Notowałem relacje, wspomnienia-zarówno kategorie euron?
LOSJa ^^ oS'adałem fotografie... Chodziłem po do-ez ' .Po'skiej
gramatyki w zastoso8 J.'°siki'Jal "ach, patrzyłem, jak żyją. Czasem
czasem mnie J^ jak kulą w ntnt aniu do niefczestowali.
czasem samononpm. Tiitai na nńlnnr-
J

korytarza

otworzyłem

;ęstowali, czasem samogonem. Tutaj, na północ-lym skraju imperium,
weterani żyją w bojaźni, iż m na własny pogrzeb pieniędzy nie starczy. Ich
rarze, jak ikony, więcej mówiły mi aniżeli słowa. [Często na twarzy
odnajdowałem to, co próbowa-

™,yuirza j ruszyła w dół — rTn«'^ ^Su,nęfa sie do li zatrzeć słowami... I
wtedy właśnie pomyślałem jak sukienka u podlotka JL SChodach'

zwiewna' ^e. Aż wleciał do kuchni ąCe9° b°SO po r°-

ec

irn- Są

o żywocie jako o gatunku, w którym najprościej o nich opowiedzieć. Ot,
dla przykładu Rykusow.

Siemion Fietrowicz urodził się we wsi Nowopie-trowka, w biełgorodzkim
obwodzie, w 1913 roku. Jego ojca wzięli na wojnę „niemiecką" rok
później. Słuch o nim przepadł. Nawet fotografia nie została. Ich wieś
skolektywizowali w 1930. Kołchoz na-

rugim obok latopisów za n r e i-Kt°rego wzięła początek pisana h T
racki

żywoćyświętych. Monach Nestor i t"u RUSi' Są ta" Ich wieś
skolektywizowali w 1930. Kołchoz na-
szy, a jego Żywot Fieodosija Piec? 1, | PiefW" zwali: »Sowietskij
Put". Siemion już wtedy służył za
ruskiego życia zakonnego to arcvri ł ° °JCa ParoBka- Dorobił się
krowy, konia i, najważniejsze
°9raficzneJ' "a wieki wyznacza^ lteratu- _ fury, bo bez fury chłop to
nie gospodarz. Ledwie
' Akademiķ Lichaczow mówił rl | * WZÓr Żan" si^ Pozenili z
Jewdokiją, przyszło oddać i furę...

osiąga

«edy

na

- mistrz

na _ ale także obrazem

^Ż S°Wa Wk° SWOJa

ze splo-

44

dzięki krowie przeżyli głód w 1933. Kołchoz wydawał wtedy po 300
gramów chleba, a i to nie zawsze. W 1935 wzięli Siemiona do armii, na
Daleki Wschód, do generała Bluchera, który w 1938 został rozstrzelany z
grupą generała Tuchaczewskie-go, ale Siemiona to nie dotyczyło. On w
polityce się nie wyznawał. On służył... Wówczas przy samolotach nad
jeziorem Chanka w Mandżurii. Góry, drobny las. Landszaft zupełnie inny
niż w jego stronach. Pełno Koriejców, Kitajców, skośnookich,

45

płaskich — jak z innego świata. Siemion rzadko wychodził z koszar. W tamtych czasach panowała dyscyplina, nie to co dzisiaj. Tam nie widziałeś kropli alkoholu, teraz możesz zobaczyć cały pułk pijany. Siemion wrócił z armii w 1938.

— Trzydzieści jeden dób w bydlęcym wagonie — mówi — pojmujesz, jak daleko byłem?

W kołchozie nic się nie zmieniło: ten sam głód, ta sama bieda. Tylko Wierka podrosła, wszak minęły trzy lata. Dzięki służbie w armii Rykusow dostał sprawkę²¹, a dzięki sprawce — paszport. Mógł więc uciec od kołchozu — jak najdalej. Sprawka dawała swobodę...

Wybrał Północ — kierunek, w którym w Rosji uciekali od jarzma: od niewoli tatarskiej, od samowoli pańskiej. W Karelii, nad brzegiem Morza Białego, pracowali Siemiona ziomkowie. W posiołku Kiem.

W 1938 w Kiemiu mieścił się Zarząd STON-a (czyli Sołowieckoj Tiurny Osobowego Naznaczeni-ja), któremu podlegały tartaki na Karelskim Brzegu oraz więzienie na Wyspach. Siemion przyjechał do Kiemia w zimie. Od razu złożył papiery na służbę. Sprawdzali trzy miesiące. W marcu odprawili Rykusowa na Solówki.

Wochr (to znaczy: wojeniziruwannaja ochrana.) składał się z wolnonajemnych oddziałów wojskowych GPU i błatnych²², starannie dobranych przez naczalstwo. Wolnonajemnym płacili od stu do trzystu rubli miesięcznie. Do tego pąyo/c polarny — spe-

²¹ sprawka — zaświadczenie. O tym, jak magiczną wfađę w Rosji mają wszelkiego rodzaju zaświadczenia na papierze, niechaj świadczy powiedzenie: „Bież bumażki ty kakaszka, a s bu-mażkoj — czetowiek”, co się tłumaczy tak: „Bez papieru jesteś g..”, a z papierem — człowiekiem”.

22 blatni — kryminaliści.

46

cialna racja żywnościowa, zawierająca zwiększone ilości słoniny, konserw i cukru. Błatni, służący w Wochrze, również dostawali pająk, plus piętnaście do dwudziestu rubli. Różnili się też oznaczeniami na czapkach: wolnonajemni nosili na nich czerwoną gwiazdę, a błatni wykonaną z metalu odznakę z napisem „Wochr”.

Siemionowi dali zrazu sto rubli. Latem przyjechała żona. Jesienią 1939 STON zlikwidowali. Ostatnich ze/ca23 wywieźli w listopadzie. Pono na nową Ziemię. A na Wyspy zaczęli przywozić jungów. Tworzono szkołę. Rykusowowie zostali, dobrze im tu było.

W 1942 Siemiona zmobilizowali. Walczył. Wielokroć raniony. W zimie 1944 roku, przy forsowaniu Narwi, ciężko kontuzjowany. Do końca wojny służył w ochronie przewozów towarowych. Zdemobilizowany w październiku 1945. Dnia Zwycięstwa nie pamięta. Wrócił do rodzinnej Nowopietrowki, gdzie czekała na niego Jewdokija z trójką dzieci. Głodna zima 1945/1946. Kołchoz nie dawał im chleba, bo przestali się liczyć za swoich. Swoim Rykusow był na Sdłówkach. Tutaj go znali. Dlatego wrócił, najpierw sam, potem ściągnął rodzinę. Na Wyspach dawali wtedy po osiemset gramów chleba.

Później na świat przychodzą kolejne dzieci: Na-dia, teraz żona niedawnego mera Sołówek, potem bliźniaki Nikołaj i Władimir. Całej szóstce dali wykształcenie. Wołodia i Witia służą dziś w „organach”, Nikołaj jest dyrektorem tartaków nieopodal Kiemia. Córki wyjechały z mężami. Na Wyspach tylko Nadia została, żona Niebożenki.

23 zeka — od z/k, czyli zaktuczonnij kanałostroitel — więziony

budowniczy kanału. Zgodnie z sugestią Szalamowa, który pisał o tym w liście do Sołżenicyna, słowo „zeka” do 1939 roku nie odmieniało się.

47

Na pytanie, kiedy mu było na Sotowkach najlepiej, bez wahania rzucił: za łagru!

— Wtenczas w sklepie miałeś wszystko, mięsa jakich chcesz rodzajów, świeżej i wędzonej ryby w bród, i halibut, i łosoś, i pstrąg, i warzywa z łagiernych inspektów, i ogórki, i pomidory, a resztę przywozili prosto z Leningradu: dynie, arbuzy, pomarańcze, mandarynki, cytryny, morele, granaty, jabłka i gruszki, ale wszyscy najbardziej lubili winogrona, które brali w sołowieckim sklepie całymi skrzynkami...

— To było nie życie, jeno raj — wtrąciła milcząca dotąd Jewdokija Jakowlewna.

— Wtedy wszyscy trud szanowali, dyscyplinę trzymano, nie to co dziś.

21 marca 2000

Z Muzeum Papieru w Dusznikach Zdroju przyszła na Sołowki paczka z papierem ręcznie czerpanym. Zamówiłem go jesienią ubiegłego roku na prośbę Brata. Tutaj takiego nie robią. Długo uzgadnialiśmy z panią Bożeną Makowską, dyrektorką muzeum, format arkuszy, barwę i fakturę — rzecz w tym, żeby czernidło się nie rozlewało — wsiąkając, a pióro porowatości nie czuło i ślad zostawiało, cienki jak włos. Duszniki nie zawiodły, papier przysłali doskonały.

Brat zamierzył pójść na wspak czasom słowa masowego, bełkotu mediów i panoszenia się Internetu, i wrócić do książki ręcznie pisanej, wznawiając dawny kunszt sołowieckich skrybów. Pomysł w Rosji nienowyy, wystarczy wspomnieć manuskrypty Riemizowa, własnoręcznie przezeń ilustrowane i

oprawiane, czy wydawanie książek „prawie na

48

prawach rękopisu" przez Rozanowa i jego złożeczenia pod adresem

Outenberga. Jednakże zamiar Brata sięga dalej niż niby-rękopisy

Rozanowa i manuskrypty Riemizowa. Brat chce nie tylko odtworzyć

średniowieczną technikę pisania książki — od papieru ręcznie czerpanego

do pióra łabędziego i czernidła własnego wyrobu, lecz zarazem wskrzesić

regułę dawnych mistrzów pisma — regułę odosobnienia i milczenia.

— Dziś każdy piszący marzy o sławie, spieszy się, publikuje często rzeczy

niedojrzałe, nie przemyślane, byle co roku nową książkę wydać, na listę

bestsellerów trafić, na antenę, na ekran. To duch demokracji, o której

Rozanow pisał, że jest tendencją naszej epoki, o ile bowiem do XIX

stulecia wszystko zamykało się w korporacji i zatajało się w sobie — w

planach, odkryciach, myśleniu, dążeniach — o tyle od samego początku

XIX wieku wszystko się obnaża, pędzi ku gawiedzi i szuka poklasku. Flikt

dzisiaj nie umie lekce sobie ważyć sukcesu: nie być czytany, nie słyszeć

braw — to jakby nie żyć. Gawiedź, gapie... oni ci narzucają swój gust,*

wystarczy raz dać się złapać. Miejscem pisarza jest Pustelnia — nie

Rynek. Zauważ, że na Rusi XVII wieku „baśniosłowne opowieści", czyli

czytadła wszelkiej maści dla hulastry, były anonimowe i żaden szanujący

się kniżnik²* nie trzymał ich w swojej bibliotece. Albo weźmy ilustracje:

dawni mistrzowie miniatury, niczym alche-

24 kniżnik — miłośnik książek. W dawnej Rusi kniżnicy należeli do ludzi

szczególnie szanowanych, o czym świadczą wzmianki w latopisach. Na

przykład o Harionie, autorze Słowa o zakonie i łasce, najstarszego zabytku

ruskiej literatury, w Powieści minionych lat czytamy, że był to „muż blag i

książek, i postnik". Sądzę, że odpowiednikiem księżnika byłby litteratus Quignarda: „Z jednej strony uczony, litteratus, człowiek piśmienny, z drugiej ktoś, kto stanowi przedmiot stipis: najemnik, człowiek sprostytuowany".

49

Ma pytanie, kiedy mu było na Solówkach najlepiej, bez wahania rzucił: za łagru!

— Wtenczas w sklepie miałeś wszystko, mięsa jakich chcesz rodzajów, świeżej i wędzonej ryby w bród, i halibut, i łosoś, i pstrąg, i warzywa z łagiernych inspektów, i ogórki, i pomidory, a resztę przywozili prosto z Leningradu: dynie, arbuzy, pomarańcze, mandarynki, cytryny, morele, granaty, jabłka i gruszki, ale wszyscy najbardziej lubili winogrona, które brali w sołowieckim sklepie całymi skrzynkami...

— To było nie życie, jeno raj — wtrąciła milcząca dotąd Jewdokija Jakowlewna.

— Wtedy wszyscy trud szanowali, dyscyplinę trzymano, nie to co dziś.

21 marca 2000

Z Muzeum Papieru w Dusznikach Zdroju przyszła na Solówki paczka z papierem ręcznie czerpanym. Zamówiłem go jesienią ubiegłego roku na prośbę Brata. Tutaj takiego nie robią. Długo uzgadnialiśmy z panią Bożeną Makowską, dyrektorką muzeum, format arkuszy, barwę i fakturę — rzecz w tym, żeby czernidło się nie rozlewało — wsiąkając, a pióro porowatości nie czuło i ślad zostawiało, cienki jak włos. Duszniki nie zawiodły, papier przysłali doskonały.

Brat zamierzył pójść na wspak czasom słowa masowego, bełkotu mediów i panoszenia się Internetu, i wrócić do książki ręcznie pisanej, wznawiając

dawny kunszt sołowieckich skrybów. Pomysł w Rosji nienowyy, wystarczy wspomnieć manuskrypty Riemizowa, własnoręcznie przezeń ilustrowane i opraciwane, czy wydawanie książek „prawie na

48

prawach rękopisu" przez Rozanowa i jego złożeczenia pod adresem Gutenberga. Jednakże zamiar Brata sięga dalej niż niby-rękopisy Rozanowa i manuskrypty Riemizowa. Brat chce nie tylko odtworzyć średniowieczną technikę pisania książki — od papieru ręcznie czerpanego do pióra łabędziego i czernidła własnego wyrobu, lecz zarazem wskrzesić regułę dawnych mistrzów pisma — regułę odosobnienia i milczenia.

— Dziś każdy piszący marzy o sławie, spieszy się, publikuje często rzeczy niedojrzałe, nie przemyślane, byle co roku nową książkę wydać, na listę bestsellerów trafić, na antenę, na ekran. To duch demokracji, o której Rozanow pisał, że jest tendencją naszej epoki, o ile bowiem do XIX stulecia wszystko zamykało się w korporacji i zatajało się w sobie — w planach, odkryciach, myśleniu, dążeniach — o tyle od samego początku XIX wieku wszystko się obnaża, pędzi ku gawiedzi i szuka poklasku. Nikt dzisiaj nie umie lekce sobie ważyć sukcesu: nie być czytany, nie słyszeć braw — to jakby nie żyć. Gawiedź, gapie... oni ci narzucają swój gust,* wystarczy raz dać się złapać. Miejscem pisarza jest Pustelnia — nie Rynek. Zauważ, że na Rusi XVII wieku „bańniosłowne opowieści", czyli czytadła wszelkiej maści dla hałastry, były anonimowe i żaden szanujący się kniżnik²⁴ nie trzymał ich w swojej bibliotece. Albo weźmy ilustracje: dawni mistrzowie miniatury, niczym alche-

²⁴ kniżnik — mitośnik książek. W dawnej Rusi kniżnicy należeli do ludzi

szczególnie szanowanych, o czym świadczą wzmianki w latopisach. Na przykład o Ifarionie, autorze Słowa o zakonie i lasce, najstarszego zabytku ruskiej literatury, w Powieści minionych lat czytamy, że był to „muż blag i kniżen, i postnik”. Sądzę, że odpowiednikiem kniżnika byłby litteratus Quignarda: „Z jednej strony uczony, litteratus, człowiek piśmienny, z drugiej ktoś, kto stanowi przedmiot stipis: najemnik, człowiek sprostytuowany”.

49

micy, sami ucierali farby — drobili elementy organicznego świata i mieszały ingredencje, dociekając sekretów substancji — zanim przystąpili do książki, by ów świat odtworzyć w barwach. A dziś nabywa się tubki farb w sklepie, jak hot-dogi. niegdyś złoto malowali złotem, nie żółcią. Brat zamierza zacząć od Żywotu Jelezara z Anzeru. Na razie uciera farby na miniatury.

Pierwsza autobiografia w ruskiej literaturze powstała na Wyspach Sołowieckich! W 1656 roku starzec Jelezar z Anzeru sam napisał własny Żywot... Był to ewenement na owe czasy, albowiem mo-nasza etykieta, stawiając pokorę najwyżej pośród cnót, pisanie o sobie poczytywała za grzech pychy, przez który upadł Lucyfer. Aby uniknąć podejrzenia o pychę, autorzy pierwszych autobiografii na Rusi uciekali się do prostego chwytu: pisali „z błogosławieństwa” ojca duchowego, który polecał im ułożyć własny Żywot w formie spowiedzi. Jelezar często przyznaje swoją grzeszność, niby się kaja, jednakże w tytule podkreśla wyjątkowość: Żywot Jelezara Anzerskiego, napisany przez niego samego. Jelezar Anzerski był ostatnim wielkim starcem z Wysp Sołowieckich do raskołu ruskiej Cerkwi prawosławnej. Raśkoł wynikł ze zmiany pisowni ksiąg

cerkiewnych, którą zarządził patriarcha Nikon, były uczeń Jeleazara. Sołowiecki monastyr opowiedział się wtedy za starym obrzędem. „Z błogosławieństwa” Nikona wojska carskie osiem lat (1668-1676) oblegały klasztor... Dopiero zdrada inoka Fleoktista złamała opór sołowczan. Po upadku twierdzy z braćmi surowo się rozprawiono:

„Wielu powieszono jak złodziei, innych wywleczono za mury, na lód Zatoki Pomyślności, i tam

50

zamrożono. Trupów nie pochowano, tylko zrzucano na kupę na Babiej Ludzie i przywalono kamieniami”.

Jepifanij Sołowiecki, inny uczeń Jeleazara, jeden z duchowych przywódców starowierców, napisał drugą autobiografię w historii ruskiej literatury, by swym Żywotem zaświadczyć, jak było: „I tak za grzechy nasze Pan pozwolił, by tron patriarchy zajął plugawy Nikon, zwiastun Antychrysta. On to, przeklęty, użył do fałszowania świętych ksiąg Arsienija, wroga bożego, żydowina i Greka, heretyka, który siedział u nas, w Sołowieckim monastyrze, w ziemi. Tenże Arsienij, żydowin ohydny i Grek, sam mi powiedział na spowiedzi, że trzykroć wyrzekał się Chrystusa, szukając biesowskiej mądrości”.

Starzec Jepifanij był współwięźniem i spowiednikiem protopopa Awwakuma. Obaj siedzieli w Pu-stoziersku nad Peczorą w „ziemnych tiurmach”, które wedle profesora Gerneta, autora Historii carskich więzień, wymyślono na Sołowkach. „Ziemna tiurma”.to skrzynia z belek, w której zakopywano człeka do ziemi. Na Wyspach zakopywano pod kamienną ścianą kremla²⁵. W pokrywie skrzyni robiono dziurę, przez którą więzień mógł oddychać i dostawał jadło. Często w skrzyni leżały się szczury,

bywało, że odgryzały skazańcom uszy, nos... Zanim Jepifanija zakopali do ziemi, najpierw go publicznie kaźnili. Wyrwano mu język, by nie głosił herezji, i obcięto palce prawej dłoni, aby nie mógł się żegnać po staremu. W „ziemnej tiurmie” spędził dwanaście lat. Tam napisał swój Żywot, robił z niego kopie, tak zwane „spiski”, i potajemnie wy-
25 kreml — gród warowny. Stówo pochodzenia tatarskiego, a bynajmniej nie nazwa wtasna.

51

syfat. Jakby ślad chciał zostawić po sobie, ślad swojej tropy.

„Z błogosławieństwa” Jepifanija protopop Awwakum też ułożył własny Żywot w „ziemnej tiur-mie” nad Peczorą. Żywot Awwakuma zamknął okres staroruskiej literatury i otworzył jej epokę nowożytną.

Protopop Awwakum był pisarzem w pełni świadomym swojego warsztatu. Własny Żywot komponował wedle praw fabuły, epizody dobierał starannie, jak jubiler — kamienie; które nie pasowały, odkładał. Z odłożonych robił potem oddzielne opowiadania. Żywot wielokroć sam przepisywał, za każdym razem coś jeszcze poprawiał, czyścił. Stąd w późniejszych „spiskach” brakuje niektórych zdarzeń, za to pozostałe nabierają większej dynamiki, mocy. Awwakum kończy autobiografię zwrotem do czytelnika — prośbą o modlitwę — jakby wyjaśniał zarazem cel swojej pisaniny: „riiechajże rab boży się cieszy, czytając. Kiedy umrę, może wspomni p mnie przed Panem, a ja pomodłę się do Pana za czytających te słowa”.

Dwieście lat Żywot Awwakuma był zakazany. Wśród starowierców krążył w odpisach. Jak w sa-mizdacie. Dopiero w 1861 roku został wydany. Dziś to uznane arcydzieło, nie tylko w ramach gatunku, ale w ruskiej literaturze

— w ogóle. Warłam Szalamow cenił Żywot Awwakuma więcej niż Dostojewskiego i Tołstoja razem wziętych, nic dziwnego, wszak siedemnastowieczny protopop używał środków, które Szalamow próbował potem w Opowiadaniach kołymskich, jako różne techniki „nowej prozy”. Czasem Awwakum daty przestawia — nieraz o parę lat! — by osiągnąć, dla przykładu, efekt jednoczesności zaćmienia Słońca, wybuchu dzumy i początku reform Nikona, choć w rzeczywistości

52

wydarzenia te zaszły w różnym czasie. Albo cytuje Ojców Świętych — zwłaszcza Dionizego Pseudo--Areopagitę — tak, że wybitniejsi znawcy greki i staro-cerkiewno-słowiańskiego nie potrafią znaleźć odnośnych miejsc.

W XX wieku Warłam Szalamow powtórzył doświadczenie pierwszych ruskich autobiografów — zarówno w życiu, jak i w prozie. W wierszu Awwakum w Pustoziersku, jednym z piękniejszych — moim zdaniem... — w całej rosyjskiej poezji, złożył hołd mistrzowi, swojemu ojcu duchowemu. Sam też pisał własny żywot — do końca życia. Ostatnim, nie dokończonym tekstem, który wyszedł spod jego pióra, była kolejna wersja autobiografii, zatytułowana: Krótki życiorys Wartama Szalamowa, ułożony przez niego samego.

(z listu do Wojciecha Dudy)

Piszesz, że jesteś ciekaw mej opinii na temat rozważań Herlinga-Grudzińskiego o Szalamowie w ostatnim numerze „Przeglądu Politycznego”. To ogromny temat. W rozmowie Piera Sinattiego z Herlingiem poruszono cały szereg wątków, z których każdy wymagałby oddzielnego szkicu. Ma przykład relacja między Szalamowem i

Solżenicynem. Uczestnicząca w tejże rozmowie Anna Raffetto sugeruje, jakoby Warłam Tichonowicz odmówił udziału w pracy nad Archipelagiem GUŁag, bo „był już stary i bał się narazić na szwank tę niewielką przestrzeń wolności, jaką zdołał uzyskać”. Jednak z Za-pisnych kniżek Szałamowa wynika, że przyczyny tej odmowy miały znacznie głębsze podłoże. Ot, choćby ustęp będący swojego rodzaju ostatnią

53

wolą Warłama Szałamowa: „Żadna suka z tak zwanego «progresywnego spoleczeństwa» nie ma prawa dostępu do mojego archiwum. Zabraniam pisarzowi Solżenicynowi i innym o podobnych poglądach zaglądać do niego”. To zapis z 1972 roku. (Notabene suka w polskiej grypserze to — cwel).

Być może znajdę kiedyś chwilę, ażeby szerzej opisać stosunek Szałamowa do Solżenicyna... A co do rozmowy z Herlingiem, to: — nie zgadzam się ze zrównaniem niemieckich kacetów i sowieckich łagrów. Moja niezgoda bynajmniej nie wynika z chęci usprawiedliwienia bolszewików. Herling mówi, że jedyna różnica między Oświęcimiem i Kołymą polegała na sposobach zabijania więźniów. Tymczasem ja zauważam, iż różnica — zasadnicza! — tkwiła w celu. Celem kacetów była eksterminacja więźniów, cele łagrów bywały różne: budowa kanału lub linii kolejowej, dobyte złota, ołowiu, uranu. Ba, same łagry były różne i wrzucanie ich do jednego worka nie ma sensu — na Solówkach istniały dwie trupy teatralne i orkiestra kameralna, muzeum, towarzystwo krajoznawcze, wydawano żurnaly i książki. Nikołaj Winogradow napisał tu fundamentalną pracę o kamiennych labiryntach. Paweł Fłorenski organizował ekspedycje naukowe na okoliczne wyspy (m.in. na Kuzowa) i prowadził laboratoryjne

badania bia-łomorskich wodorostów, a Dmitrij Lichaczow, przyszły akademik, analizował błatny żargon; na Bielo-morkanale był też teatr i orkiestra symfoniczna (grały w niej pierwsze skrzypce Filharmonii Wiedeńskiej), a łagrowa gazeta „Pieriekowka” miała 3750 korespondentów. Zrównanie nazistowskich kacetów z sowieckimi łagrami zaciemnia rosyjski rodowód tych ostatnich, zamieniając go uniwersalnym (i w jakimś sensie oderwanym) pojęciem „totalitaryzmu”.

Weźmy Biełomorkanał. Jego trasa powtarza nieomal dokładnie dukt słynnej „gosudariowej” drogi, którą Piotr I w 1702 roku włókł swoje fregaty z Morza Białego do Jeziora Onieżskiego — po błotach i skałach przez tajbolę²⁶, wykańczając po drodze setki muzyków rabów. Lub budowa Sankt Petersburga — ileż trupów tam leży zamiast kamieni węgielnych? Rabski trud — klucz do zrozumienia fenomenu „gosudariowej” drogi i Biełomorkanatu, Sankt Petersburga, Sachalina czy Workuty... „Doświadczenie Biełomorkanału — pisał Szalamow w jednym z listów do Sołżenicyna — pokazało efektywność pracy niewolniczej, wystarczyło wprowadzić «skale żołądka», czyli uzależnić rację żywnościową od wyrobionej normy, żeby więzień pracował lepiej i szybciej niż człowiek wolny”.

Nie umniejsza to — rzecz jasna — koszmaru sowieckich łagrów, nie usprawiedliwia ich istnienia. Po prostu — śmierć rabów była skutkiem ubocznym, wynikiem niezwykłych warunków pracy i zwykłego sowieckiego bałaganiarstwa. Sołonie-wicz, dla przykładu, wyjaśniał przyczyny ogromnej śmiertelności zeka w Swirlagu bałaganem w administracji obozowej, która nie wydawała na czas więźniom narzędzi pracy, więźniowie zaś, nie mogąc wykonać normy, nie dostawali

odpowiedniej do przeżycia porcji chleba.

Podróżując w ubiegłym roku po Kanale i rozmawiając z wieloma ludźmi, w tym także z dziećmi zesłańców i byłych zeka, zauważyłem ze zdumieniem 26 tajboła — to samo co tajga, tylko w europejskiej części Rosji, w obwodzie archangielskim... Stowo „tajbota” odnotowuje Słownik języka polskiego pod red. W. Doroszewskiego: „rozległa puszcza, ogromny las”.

54

55

niem, że wszyscy oni są dumni z tej budowy — niczym Egipcjanie ze swoich piramid.

Wracając do rozmowy z Herlingiem, to: — zabrakło mi w niej poezji Szalamowa. Rzecz w tym, że jeszcze do niedawna Szalamow był postrzegany przede wszystkim jako świadek Kołymy i dopiero ostatnio, między innymi dzięki Herlingowi, zaczęto w nim dostrzegać także wybitnego prozaika, który pisząc o łagrach, roztrząsa odwieczne sprawy człowieka: miłość, nienawiść i śmierć. Lecz Szalamow był także poetą i jego dorobek poetycki jest nie mniej ważną stroną jego twórczości niż proza. Ba, śmiem twierdzić, że nie sposób tłumaczyć opowiadań Warłama Tichonowicza, nie znając jego wierszy i roli rytmu w nich. Dla Szalamowa granice pomiędzy prozą i poezją były nader umowne, zwłaszcza we własnej duszy. „Proza — pisał — to odpowiedź na zdarzenia, to przyswojenie i przetworzenie widzialnego świata w formułę, to codzienna potrzeba nowej formy, nie znanej jeszcze nikomu. Proza to formuła ciała i jednocześnie wzór duszy. Natomiast poezja to przede wszystkim los, wynik długiego oporu duchowego i sposób oporu zarazem, to ogień, który można wykrzesać tylko w zetknięciu z najtwardszą skałą. Poezja to także

doświadczenie, jak najbardziej osobiste, i własna droga jego wyrażenia, potrzeba utrwalenia czegoś ważnego, być może ważnego tylko dla siebie". Słowem, pomijanie poetyckiego dorobku Szałamowa to nie tylko przemilczenie sześciu tomów Zeszytów kołymskich, za życia autora nie wydanych, oraz paru tomów moskiewskich, pochłasta-nych przez cenzurę, ale także — co wynika z jego własnych słów — przemilczanie jego losu, oporu duchowego. Doświadczenia...

56

Szałamow prozaik to tylko połowa Szałamowa, a proza Szałamowa to zaledwie połowa Kołomy. Brak w niej — na przykład — przyrody. Która jest w jego wierszach.

I na koniec chciałbym zwrócić uwagę na istotną nieścisłość, która od dawien dawna powtarza się w różnych wypowiedziach i tekstach Herlinga. Otóż Jercewo nie leży nad Morzem Białym ani nad Jeziorem Onieżskim... O ile w przypadku pisarza można założyć licencję poetycką, o tyle powtarzanie przez badaczy jego twórczości — Boleckiego i Kudelskiego... — że Jercewo leży nad Morzem Białym, to jakby mówić, że Zakopane leży nad Bałtykiem. To mniej więcej ta sama odległość — spójrz na mapę. Poprawność językowa. Niektórzy zarzucają mi, że używam archaizmów, słów dawno wyszedłszych z użycia, dialektyzmów i tym podobnych. A przecież w słownictwie — twierdzi Aleksander Briickner — wyrażają się dzieje naszej obyczajowości narodowej, wstecz aż do czasów, do których żadne świadectwa pisemne nie docierają. Ograniczanie się więc do słów będących w aktualnym obiegu jest rodzajem kastracji. Dziw bierze, że te zarzuty pojawiają się w czasach postmodernizmu, gdy akurat w modzie są gry z przeszłością i używanie na tradycji — stylizacje, parodie, maski.

Jednakże w moim przypadku nie chodzi ani o grę, ani o pastisz, raczej o świadome przywracanie do życia słów, które niegdyś zostały wyparte lub zapomniane, jak dla przykładu „oksza”, którą wprowadzam miast „topora”, czy też piękne „rzapie” w miejsce wulgarnego „chuja”.

57

Język jest Całością, w której czas jest zaledwie słowem.

Odwilż tu przypomina uśmiech bomża²⁷, obnaża brudy jak przegniłe
dziaśła.

Karelska tropa

1999-2000

27 bomż — skrót od: bież opriedielonnogo mlesta żytlel-stwa. 10 znaczy: człowiek bez określonego miejsca zamieszkania, włóczęga. Coś w rodzaju ruskiego kloszarda.

\

Dalekie podróże mają to do siebie, że przywozi się z nich coś zupełnie innego niż to, po co się pojechało.

rficolas Bouvier

Podróżny opisuje ten świat i w końcu rozpoznaje się w jego lustrze, zupełnie jak ów malarz z opowiadania Borgesa, który maluje pejzaż: góry, morza, rzeki, na koniec zaś spostrzega, że namalował własny portret...

Claudio Magris

Podróż, nawet tysięczmilowa, zaczyna się pod twoimi stopami.

Laozi

O tej podróży myślałem od dawna. Przejść na jachcie od Morza Białego do Jeziora Ładoskiego to jakby przeczytać kraj leżący wzdłuż wodnej tropy — niczym książkę. Pisali ją ruscy kolonizatorzy Północy i angielscy

żeglarze XVI wieku, raby Piotra Wielkiego i zeka Bielomorstroja, a ilustrowała północna przyroda — kamień, woda, las — i karel-ski byt. Problemem był Kanał, krążyły bowiem słuchy o dużych pieniądzach za każdą służę, których tam jest dziewiętnaście. Szukaliśmy sponsorów, niestety," na próżno. Pewna pani z TV powiedziała na moją propozycję sfilmowania Kanału, że ich interesuje świeża krew — a nie zaschnięta... Nawet Redaktor niewiele mógł wskórać.

Dopiero honoraria za Wilczy notes otworzyły nam służę Kanału. Wyjaśniło się zresztą, że słuchy o dużych pieniądzach były przesadzone. A i formalności mniej mi dokuczyły, niż myślałem. Czasy, kiedy cudzoziemców do Kanału nie wpuszczano, minęły, choć nie jest powiedziane, że nie wrócą.

I więc „zrobiliśmy Kanał” w obie strony, przy okazji zaglądając do Miedgory (tak nazywane tu jest w skrócie miasto Miedwieżja Góra), gdzie obecnie mieści się dyrekcja Kanału i muzeum, a daw-

61

niej byty sztab BBL (Bielomorsko-Bałtycki Ispra-witielno Trudowej Łagier²⁸), biura projektowe, szpital, teatr lagrowy i redakcja gazety „Pieriekowka”.

Dalej byty wielkie jeziora Karelii — Oniego i Ła-doga — i kilka monastyrów, w tym Koniewiec-ki, Swirski i Wataam, wyspy Olenie, Kizi i Paleo-strow, gdzie samospalito się parę tysięcy raskolników, Pietrozawodsk, dokąd trafiliśmy na jubileusz miasta, rzeka Świr z resztkami Swirtagu i Kanał Aleksandra II wokoło Jeziora Ładożskiego, Siaś-stroj — zbudowany w latach trzydziestych XX wieku przy pierwszym w Sowietach kombinacie celulozy (dzisiaj go zwą Seksstrojem,

bo leżąc na trasie Petersburg-Murmańsk, jest miejscem uciech dla
szoferów), i Stara Ładoga, najstarsza stolica Rusi, Biesów Nos, gdzie
zachowały się rysunki naskalne sprzed sześciu tysięcy lat, i wyspa Golec z
petrogli-fami XX wieku — rytami epoki Stalina, pozostawionymi przez
zeka, którzy tam granit dobywali, Pig-matka, przystań słynnej Wygorecji,
Powieniec — „świata koniec”, i tak dalej...

Chodziliśmy na „Anturze”. Tym, co nie czytali mojego Kanin Nosa,
wyjaśniam, że „Antur” to pełnomorski jacht, własnoręcznie „uszyty” przez
Wa-się — od miecza do żagli. Ma jedenaście metrów długości, trzy kajuty,
kubryk i kibel. A także silnik o mocy 20 KM.

Chodziliśmy we trzech: Wasyli, Wania i ja.

Podczas podróży robiłem zapiski — notowałem swoje myśli tudzież sny,
przebieg drogi i spotkania z ludźmi, jadło, zapachy i nazwy roślin, barwy
obłoków i kierunki wiatru oraz strzępy historii wyczytanych w zimie.

Słowem, kładłem na papier bieżącą chwilę.

28 Isprawitielno-Trudowej Lagier — poprawczy obóz pracy.

1. Czaga

Czaga to grzyb przypominający skrzepy brzoźowego soku, zapiekłe na
słońcu w brunatne gru-zły. Jeśli zdejmiesz ją delikatnie ostrym nożem i
rozdrobniwszy, zalejesz ciepłą wodą z cukrem i z drożdżami, po dziesięciu
dniach będziesz miał bragę z czagi — napój o barwie bursztynu, chmielny
i rzeźwiący zarazem. Saamscy szamani pili go przed każdą „podróżą”.

* Raskolnicy używali czagi do produkcji srebrnych ikon i rubli. Grudę
grzyba rozcinali na pół, rozmaczali w gorącej wodzie, kładli między te po-
łówki*rubla i ściskali go. Rubel się odciskał. Potem monetę wyjmowano,
połówki na powrót składano i poprzez dziurki w grzybie nalewano do

formy rozplawione srebro. Grzyb nazywano: trut.

2. napososzok!

Brażkę przyniósł Wasilicz napososzok. To znaczy: na strzemiennego. W Polsce podróżowano dawniej na koniach, stąd słychać strzemię w pożegnalnym toaście, w Rosji zaś przed drogą „obmywało się” posoch — kostur wędrowny.

63

Popijamy brażkę na plaży przed domem, siedząc wokół żarzających się węgli, na których dochodzą tuszki dorsza w boćwinie. Krąg z kamieni okalających ognisko ustawiliśmy tak, żeby przypływ morza zagasił ogień. Ma razie morze jest daleko, my blisko.

Potem woda nas uniesieeeeeee. nareszcie pójdziemy na południe, a nie jak zwykle — na północ. Wasyli się śmieje, że w ciepłe kraje leżymy... I rzeczywiście, w porównaniu z Morzem Białym — Karelia to niemal Taszkient.

— Ryba gotowa!

— Zali jadłeś kiedyś świeżutkiego dorsza z rusztu?

Słońce tymczasem się kładzie na falach i morze mży światłem. Powietrze pachnie brzozowymi pączkami.

Wasilicz mówi, że od Iwana Kupaly do świętego Piotra i Pawła wycina się witki brzozowe do bani. Akurat, gdy nas nie będzie.

Syczą węgle. Przypływ.

3. Wyruszamy

Naprzeciw nam pełźnie burza... Niebo nad Zajęczymi drą błyski. Grzmi...

Wyspy Sołowieckie są coraz mniejsze. Wasilicz, Nadieżda Kirillowna, Brat, Wikusza — jak kropki sadzy na szklach lornety. Aż znikli.

Lunęło. Deszczysko dudni grubymi kroplami o pokład „Antura” jak Marylin Mazur z kapeli Jana Garbarka — na bębnach. W okamgnieniu jesteśmy mokrzy. Stajemy pośród Sennych Lud.

— Burza to dobry znak na drogę — mówi Wasia.

64

Cóż, niech mu będzie. Wasyli jest z wyglądu spokojny jak czołg, jednak po gadce poznaję, że się denerwuje. Nigdy jeszcze nie chodził na własnym jachcie w rodzinne strony. Będzie się mógł tam powypinać przed starymi kumplami i z dawną miłością zobaczyć. Odwiedzi matkę.

Co innego Wańka, ten emocji nie skrywa. Pierwszy raz w życiu na jachcie, strzela oczami spod słomianych włosów, wszystkiemu się dziwi. A do tego od armii ucieka.

A ja...? Nigdzie nie wracam, od niczego nie uciekam, po prostu łączę donikąd. Niespiesznie, bez celu, bardziej kontempluję, niżli piszę swą tropę.

4. Jenó Pan Bóg i ja samojeden

Pół godziny i po wszystkim... Burza skończyła sfę tak samo raptownie, jak się zaczęła. Płyniemy dalej.

Po lewej Zajęcze Wyspy. Żyje tam Łysol — sa-mojeden na wyspie. Parę lat temu dał mi dziennik podróży malarza Borisowa na Wajgacz.

Aleksandr Borisow utwierdzał w nim, że nazwa plemienia Sa~ mojedów nie pochodzi wcale od słów „sam siebie je”, jak sądzili niektórzy, lecz od słowa „samojeden”, to znaczy żyjący w odosobnieniu — oddzielnie od wszystkich.

Łysol mieszkał kiedyś w Moskwie, pracował w firmie komputerowej i nieźle zarabiał. Ale po rozejściu się z żoną porzucił stolicę, przyjechał na

Wyspy Sołowieckie i osiadł na Zajęczych jako stróż skitu. Latem oprowadza turystów, zimą pije wódkę i maluje lód Morza Białego — jego odcienie i cienie. Bardzo się zdziwił, kiedy mu pokazałem

65

w jednym z wykładów paryskich Adama Mickiewicza słowa poematu serbskiego w przekładzie polskiego wieszczka:

Jeno Pan Bóg i ja samojeden.

Nieraz rozmyślaliśmy, siedząc u Łysola w izbie, czemu „samojeden” w dzisiejszym słowniku jest słowem dawnym — przestarzałym. Jeśli tak dalej pójdzie, przekonywał mnie Łysol, to formy liczby pojedynczej w ogóle szczepną z języka.

5. Bietomorsk

Za Zajęczymi Wyspami skręcamy na zachód... Teraz, kiedy przepisuję tekst tego dziennika z notesu na ekran komputera, a za oknem luta zawierucha — lepi śniegiem i wyje — to nie muszę na mapę patrzeć.

Morze Białe znam jak własną kieszeń. Sześć lat łążenia na „Anturze” w poprzek niego i wzdłuż jego brzegów — do każdej wioski, do każdej rzeki — robi swoje. (Wystarczy przymknąć oczy, by dowolny farwater odtworzyć, jak z dyskietki).

Masamprzód ukazuje się Wygnawołok, północny cypel Zatoki Sorockiej. Po prawej majaczą szkie-ry Szujostrowa. Później tuman jak woal wypełza od lądu i do Biełomorska podchodzimy o piątej nad ranem w biadoliła mgle. Woda z niebem zlewa się w tonie młodego bzu i tylko gdzieniegdzie falochron czernieje i ramiona dźwigów wystają z mgły.

Biełomorsk powstał w 1938 roku na miejscu starej osady rybackiej, nazywanej Soroką (rzekomo od czterdziestu wysp, utworzonych przez rze-

kę Wyg, wpadającą tutaj do Morza Białego), oraz kilku posiołków, leżących opodal. To stąd inok Saw-watij popłynął w 1429 roku z ojcem Giermanem na bezludne wówczas Sołowki, aby tam zapoczątkować życie pustelnicze, a po paru latach wrócił, aby tu ducha wyzionąć. Podróżujący tędy w 1785 roku Dierżawin pisał w dzienniku podróży, że ludzie tu żyją biednie, bydło karmią mchem z ucha²⁹, stąd mleko oddaje rybą. Dopiero XX wiek przyniósł Soroce przemiany, związane z budową dwóch tartaków, w których pracowali zesłańcy. Oni byli zaczynem rewolucji na tych terenach... Budowa Kanału zamknęła dzieje Soroki i rozpoczęła historię Biełomorska.

Stajemy w pobliżu dziewiętnastej śluzy, o której Solżenicyn pisał, cytując Pól życia Witkowskiego, jakoby w betonie znalazły się kości zeka, mielone ze żwirem w betoniarkach. W żurnale „Znamia”, drukującym swojego czasu Pól życia, wzmianki o kościach nie znalazłem, zatem nie wiem, czy to „klukwa” Isa-jewicza, czy też redakcja żurnała ją wycięła? Dziś*o kościach trudno cośkolwiek powiedzieć, za to z betonu sterczy obnażona armatura: jakieś pręty pordzewiałe, blacha, kątowniki... Przy brzegu żelazny ponton — w szlamie i wodorostach. Paru muzyków łowi z niego ryby. Nierealni, niby zgęstki mgły.

6. A propos „klukwy”

Rosyjska klukwa — to nasza żurawina, czyli krzewinka z rodzaju wrzosowatych, o cienkich, płożą-
²⁹ ucha — bardzo gęsta zupa rybna.

cych się łodyżkach i drobnych liściach, rośnie na błotach, kwitnie różowo i

rodzi kwaśne, czerwone jagody, wyśmienite zarówno do mięs lub ryb, jak i do kwaszonej kapusty, a także na nalewkę, słynną klukowkę.

Możemy więc sobie wyobrazić, jaki śmiech tu wywołał Aleksander Dumas, gdy w opisie swojej podróży po Rosji lapnął o „rozłożystej klukwie, w cieniu której —jak pisał— hasały konie”.

Od tego czasu „klukwa” pisana w cudzysłowie oznacza po rosyjsku —bzdurę, zaś „klukwa rozłożysta” — wierutną bzdurę.

Gdyby Dumas chociaż raz sam wybrał się na rosyjskie błota po klukwę, a potem własnoręcz-n i e zalał ją wódką i poczekał, aż się klukowka ustoi, to nawet jeśli by jej zbyt dużo wypił, tak by nie bzdurzył — to pewne.

Ileż to ja się podobnych bzdurzeń o Rosji naczytałem i nasłuchałem...

Jakżeż się ta nieszczęsna „klukwa” pleni w relacjach korespondentów, którzy poza Moskwę nosa nie wyściubiają, i w opowieściach turystów, którzy pobywali tu dzień, tam dwa, tutaj coś łyknęli i tam coś wypili, a potem klukowkę z brusznicą plątają.

— To cudzoziemcy — słyszę tutaj zewsząd — ichnim rozumem Rosji nie pojąć. Poczytałbyś naszych.

— Ależ czytam i czytam, i co z tego? Że w Rosję można tylko wierzyć!

Ba, tu każdy wierzy w co innego. Wystarczy porównać, co o Kanale wypisywali Górki lub Priszwin, a co o nim pisze Sołżenicyn... I kto mi dokaże, gdzie „rozłożysta klukwa”, a gdzie najzwyczajniejsza toż?

7. Wbrew Sołżenicynowi

Myśl o budowie kanału pomiędzy Morzem Białym i Jeziorem Oniego od dawna poruszała rosyjskie umysły. Oto na chybił trafił wypisuję z notesu nieco danych. I tak:

Już za Piotra Wielkiego przebąkiwano, że lepiej byłoby przerąbać progi

Wyga, niżli taszczyć fregaty po błotach i skałach Karelii (zachowała się ciekawa zapiska na ten temat Nikity Moisiejewicza Zoto-wa do księcia Diemidowa).

W 1800 roku francuski inżynier Sainte-de-Wol-lant, twórca Maryjskiego systemu wodnego, to jest sieci kanałów łączących Bałtyk z Wołgą, penetrował ten teren.

W 1824 roku kupiec Tichon Antonow z Kiemia przedstawił projekt kanału i sporządził szczegółowy spis (po francusku) rzek i jezior tej części Karelii, po której winien on przejść. Reklamując swój projekt, Tichon Antonow trasą przyszłego kanału dostarczył (na łodziach, wołokiem i na telegach³⁰) w sierpniu do Petersburga świeżą rybę, zadziwiając taYnecznych smakoszków, którzy przywykli jadać białomorskiego śledzia dopiero w listopadzie, kiedy go dowożono drogą zimową na saniach.

W latach 1857-1858 pracowała tu ekspedycja naukowa pod kierunkiem inżyniera Lebiediewa. „Połączenie Jeziora Onieżskiego z Morzem Białym — rekapitulował Lebiediew — wymagające wielkich sum, nie przyniesie żądanego efektu i nie opłaci się. Ani konieczności, ani pożytku w kanale tym nie widzimy". Jak się później wyjaśniło, inżynier Lebiediew pomylił na mapie Masielgę Morską

30 te lega —według Słownika języka polskiego pod redakcją W.

Doroszewskiego: „prosty wóz gospodarski na czterech kotach".

68

69

z Masielgą Karelską, stąd projekt kanału wyszedł mu zbyt drogi.

Hie zważając jednakże na opinię inżyniera Le-biediewa, idei budowy kanału nie zarzucono. Na odwrót — zdobywała coraz więcej

zwolenników.

W 1868 roku książę Gagarin, archangielski gubernator, doniósł ministrowi spraw wewnętrznych, że „... mieszkańcy guberni chcieliby zobaczyć urzeczywistnienie tej od dawna zapowiadanej drogi wodnej”. Tak zatem już nie pojedynczy kupiec szukający zysku ani inżynier szukający sławy, lecz cała ludność guberni upominała się o dogodny szlak wodny do stolicy. Rok później grupa bogatych przedsiębiorców założyła Towarzystwo Budowy Kanału. Z ich inicjatywy rozpoczęto już nawet wstępne prace hydrotechniczne pod kierunkiem profesora Inostran-cewa. Niestety, rząd carski nie zatwierdził statutu tego Towarzystwa.

W 1874 roku ziemstwo ołonieckie wystosowało apel do rządu o podjęcie budowy drogi wodnej łączącej Jezioro Onieżskie z Morzem Białym. W apelu owym podkreślano z naciskiem nieodzowność przedsięwzięcia.

W 1885 roku ziemstwo powienieckie wydzieliło trzy tysiące rubli, a ołonieckie dwanaście tysięcy rubli jako „zapomogę dla rządu na niezbędne badania dla projektu oraz budowy Kanału Biełomor-sko-Onieżskiego”.

W 1886 roku projekt budowy kanału rozpatrywano w gabinecie ministrów.

W 1889 roku znany ekonomista Mikołaj Kryłow opublikował pracę Ekonomiczne znaczenie Kanału Biatomorskiego i otrzymał za nią złoty medal od Wszechrosyjskiego Towarzystwa Morskiego.

70

W 1900 roku profesor Wsiewołod Timonow przedstawił na międzynarodowej wystawie w Paryżu projekt kanału, za który otrzymał złoty medal. Profesor Timonow występował też z serią wykładów na kongresach naukowych w Anglii i Stanach Zjednoczonych.

W 1913 roku XV zjazd rosyjskich pracowników dróg wodnych poparł

projekt profesora Timonowa.

W 1914 roku Rosyjskie Towarzystwo Hydrograficzne wysłało ekspedycję pod kierownictwem inżyniera Piotrowskiego do dokonania zdjęć Siegoziera, po którym planowano trasę przyszłego kanału.

W latach 1914-1915 spółka energetyczna „Północny Biały Węgiel” przeprowadziła szczegółową eksplorację rzeki Wyg pod kątem wykorzystania jej energii wodnej.

W 1915 roku z inicjatywy posła Jana Szydlowskiego o budowie kanału dyskutowano w Dumie.

Potem wybuchła rewolucja...

8*. ...i do dzieła wziął się Stalin

Kanał zbudowano z jego rozkazu: tanio i szybko.

Zamiast cementu i stali — drzewo, piasek, kamienie.

Zamiast koparek i dźwigów — łopata, łom i taczka.

Objętość ziemnych oraz skalnych robót: 21 milionów metrów sześciennych.

Aby wysadzić skały, wykuto 2600 kilometrów otworów strzałowych i wykonano 4,5 miliona wybuchów.

(Z wysadzonego kamienia można byłoby wybudować siedem piramid Cheopsa).

71

z Masielgą Karelską, stąd projekt kanału wyszedł mu zbyt drogi.

Nie zważając jednakże na opinię inżyniera Lebediewa, idei budowy kanału nie zarzucono. Na odwrót — zdobywała coraz więcej zwolenników.

W 1868 roku książę Gagarin, archangielski gubernator, doniósł ministrowi

spraw wewnętrznych, że „...mieszkańcy guberni chcieliby zobaczyć urzeczywistnienie tej od dawna zapowiadanej drogi wodnej”. Tak zatem już nie pojedynczy kupiec szukający zysku ani inżynier szukający sławy, lecz cała ludność guberni upominała się o dogodny szlak wodny do stolicy. Rok później grupa bogatych przedsiębiorców założyła Towarzystwo Budowy Kanału. Z ich inicjatywy rozpoczęto już nawet wstępne prace hydrotechniczne pod kierunkiem profesora Inostran-cewa. Niestety, rząd carski nie zatwierdził statutu tego Towarzystwa.

W 1874 roku ziemstwo ołonieckie wystosowało apel do rządu o podjęcie budowy drogi wodnej łączącej Jezioro Onieżskie z Morzem Białym. W apelu owym podkreślano z naciskiem nieodzowność przedsięwzięcia.

W 1885 roku ziemstwo powienieckie wydzieliło trzy tysiące rubli, a ołonieckie dwanaście tysięcy rubli jako „zapomogę dla rządu na niezbędne badania dla projektu oraz budowy Kanału Biełomor-sko-Onieżskiego”.

W 1886 roku projekt budowy kanału rozpatrywano w gabinecie ministrów.

W 1889 roku znany ekonomista Nikołaj Kryłow opublikował pracę Ekonomiczne znaczenie Kanału Biatomorskiego i otrzymał za nią złoty medal od Wszechrosyjskiego Towarzystwa Morskiego.

70

W 1900 roku profesor Wsiewołod Timonow przedstawił na międzynarodowej wystawie w Paryżu projekt kanału, za który otrzymał złoty medal. Profesor Timonow występował też z serią wykładów na kongresach naukowych w Anglii i Stanach Zjednoczonych.

W 1913 roku XV zjazd rosyjskich pracowników dróg wodnych poparł projekt profesora Timonowa.

W 1914 roku Rosyjskie Towarzystwo Hydrograficzne wysłało ekspedycję

pod kierownictwem inżyniera Piotrowskiego do dokonania zdjęć Siegoziera, po którym planowano trasę przyszłego kanału.

W latach 1914-1915 spółka energetyczna „Północny Biały Węgiel” przeprowadziła szczegółową eksplorację rzeki Wyg pod kątem wykorzystania jej energii wodnej.

W 1915 roku z inicjatywy posła Jana Szydłowskiego o budowie kanału dyskutowano w Dumie.

Potem wybuchła rewolucja...

8\ ...i do dzieła wziął się Stalin

Kanał zbudowano z jego rozkazu: tanio i szybko.

Zamiast cementu i stali — drzewo, piasek, kamienie.

Zamiast koparek i dźwigów — łopata, łom i taczka.

Objętość ziemnych oraz skalnych robót: 21 milionów metrów sześciennych.

Aby wysadzić skały, wykuto 2600 kilometrów otworów strzałowych i wykonano 4,5 miliona wybuchów.

(Z wysadzonego kamienia można byłoby wybudować siedem piramid Cheopsa).

71

Objętość kaszyc: 921 tysięcy metrów sześciennych.

(Belek użyto tyle, że opasałyby pół Ziemi).

Dla budowy kanału utworzono zbiorniki wodne o pojemności 7,1 miliarda metrów sześciennych.

(Iłą ilością wody można byłoby poić całą ludność świata tamtych czasów przez siedem lat).

Zatopiono 42 wsie, tysiące hektarów pól uprawnych, łąk i lasów wokół

jeziora Wyg.

Długość kanału wyniosła 227 km.

Postawiono 19 śluz, 15 zapór wodnych i 49 tam.

Budowa trwała 20 miesięcy.

(Dla porównania: Kanał Panamski — 80 km, budowano 28 lat. Kanał Sueski długości 160 km — 10 lat).

9. Rabskim trudem

Kanał zaprojektowali i zbudowali zeka. Ogółem około 280 tysięcy ludzi.

Zginął co trzeci, to jest około 100 tysięcy.

Biełomorsko-Bałtycki Isprawitielno Trudowej Łagier składał się z 9 „węzłów” (po 10-15 tysięcy zeka), odpowiedzialnych za konkretne odcinki trasy.

Każdy „węzeł” miał swój „łaggródek”, to znaczy łagrowe miasteczko, gdzie był zarząd, radiowęzeł, szpital, cmentarz, sztab przodownictwa pracy tudzież RUR (Rota Usilennogo Rieżyma³¹), a także oddzielne łagpunkty i komandirowki³².

³¹ Rota Usilennogo Rleiyima — Oddział Wzmocnionego Rygoru.

³² komandirowka — niewielki, zwykle tymczasowy oddział tagru do wykonania jakiegoś konkretnego zadania; także rodzaj krótkotrwałej delegacji.

72

BBŁ przypominał armię, od głównego sztabu poprzez „węzły”, do falangi, brygady i kolektywu. Brygady, to jest grupy 25-50 zeka do pracy jednego typu (wysadzanie skał, rycie gruntu, wyrąb lasu), oraz falangi, czyli parę brygad na jednym odcinku kanału do wykonywania wszystkich robót tworzone administracyjnie, a kolektywy pracy powstawały samorzutnie, z

inicjatywy więźniów (organizować je mogli wyłącznie zeka „socjalnie bliscy”). Oprócz pracy kolektyw organizował swój byt (Je9° członkowie żyli w osobnym baraku i każdy wносił do wspólnej kasy od 25% do 50% premii) i samowychowanie, to znaczy zapewniał aktywny udział w zajęciach politgramoty⁵³, zwalczał wredne zwyczaje (pijaństwo, grę w karty...) i wdrażał poszanowanie lagrowej własności, w tym narzędzi pracy!

BBŁ był swojego rodzaju poligonem doświadczalnym, tutaj bowiem szlifowano nowy system pracy niewolniczej — wprowadzono tak zwane „kotły”, czyli zależność posiłku od wyrobionej normy, a jednocześnie realizowano eksperyment pierie-kowki — pierwszej na świecie „próby przekuwania charakteru ludzi za pomocą trudu”.

10. Pierwsze śluzowanie

Po paru godzinach snu — szumu morza pod poduszką i zapachów laminarii — ruszamy dalej.

Dziewiętnasta śluza, zielone światło. Do betonowej komory trzeba wejść tak, aby burtą nie otrzeć o beton. Komora jest krótka, a my hamulca nie mamy i siłą bezwładności możemy się nosem

33 politgramota —wychowanie polityczne.

73

werznąć w przeciwną stronę wrota śluzy. Do hamowania używamy starego wiadra na sznurku, wrzucając je do wody po wyłączeniu silnika i ciągnąc za sobą — niby spadochron.

Wasyli steruje, Wańka z pętlą czyha na rym, ja kołem burtę od betonu odpycham, balansując jak ekwilibrysta, by masztem ściany nie zaczepić. Rymy to potężne stalowe haki w pionowych rynnach, przesuwające się z

piekielnym zgrzytem to w górę, to w dół, w zależności od przybywania lub ubywania wody w śluzie. Uczepieni do rymu, nie będziemy się majtali w betonowej komorze. Należy jeno trafić pętlą na hak. Haków jest kilka, ale Wania się denerwuje, raz i drugi pudłuje, a wrota coraz bliżej. Wasyli ryczy matem³⁴, ja nie mogę Wańce pomóc, bo i tak już prawie szorujemy burtą o ścianę...

Hurrra! Udało się. Wrota za nami wolno się zamykają. Puszczają wodę. Zakotłowało się. Szum, wir (oj, nieźle by nas poobijało, gdyby Wania nie trafił pętlą na hak), hop i jesteśmy pięć metrów ponad poziomem Morza Białego. Wrota przed nami się otwierają. Zielone światło.

11. W kapitanacie portu

Wchodzimy do Kanału Morskiego, łączącego rzekę Szyżnię z Morzem Białym. Ryli go w rzadkiej

34 mat — wulgarne przekleństwa, w których język rosyjski nie ma sobie równych na świecie. W roku 2001 w Sankt Petersburgu wyszedł Bolszoj słowar' mata. Tom pierwszy. I"ia prawie czterystu stronicach zamieszczono pięćset dwadzieścia trzy hasta, zawierające ponad tysiąc znaczeń jednego tylko słowa: „chuj”. Ot, bogactwo ruskiego mata!

74

jak mydło glinie, używanej potem przez łagierne praczki.

Przystań białomorskiego portu. Smark w koszulce z Che Quevarą zebrze o rubla na chleb... Gdyby Che to widział — pomyślałem sobie.

Ma niewysokim wzniesieniu, wśród rachitycznych brzóz, drewniany dom z kręconymi schodkami — kapitanat portu. Ma prawo parę mieszkalnych baraków. Pamiętają zapewne budowę Kanału. Między krzywymi płotami kury grzebią w pyle ulicy. W cieniu pies poleguje, na nasz widok machnął

chwostem, nie zaszczekał. Starucha zgarbiona nad grządką w ogrodzie, słysząc głosy, wyprostowała się i podniosła rękę, osłaniając oczy od słońca, aby nas lepiej widzieć. A więc tak wygląda dzisiaj sztab „szyżnińskiego węzła”. Tb gdzieś tu stała sążnista gwiazda na powitanie Stalina.

— Pewien żeglarz z Irlandii też się o nią pytał — Michaił Andriejewicz, naczelnik portu, nie bardzo pamięta — bodaj Jimi miał na imię, a może John? W 1989 roku szedł wtedy na jachcie „Grey Goose”» Można powiedzieć, że to pierwszy u nas cudzoziemiec bez konwoju, he, he. U Michaiła Andriejewicza w gabinecie żar. Sekretarka z zaciekami potu pod pachami jednym palcem wystukuje nasze dane na maszynie.

— No, niezupełnie — oponuję — pierwsi tutaj byli Anglicy, Thomas Southern i John Spark.

— Jacy znów Anglicy? Skąd się tutaj wzięli?

— Ci sami, co 29 czerwca 1566 roku zjawili się na Sołowkach. Dwa dni później z locmanem z monastynu i z listami polecającymi od starców sołowieckich ruszyli dalej, tą samą drogą, co my... — pokazuję na mapie — najpierw do Soroki, tam się przesiedli ze swojego okrętu na miejscowe łódki i poszli w górę rzeki Wyg, z wieloma wysiadkami

75

!' I

na jej progach, aż do Jeziora Woickiego, tam znowu wysiadali i przenosili towary i todzie, omijając wodospad Padun, do jeziora Wyg. Następnie udali się do Fowieńca i po Jeziorze Oniego do rzeki Świr, Świrem do Jeziora Ładożskiego i Ładogą do ujścia Wołchowa, którym doszli do Nowogrodu.

— Ot, zuchy!

— Ba, ich opisanie tej drogi jest pierwszą i jak na razie jedyną cudzoziemską relacją. Po wtóre, praktyczni Anglicy już wtedy zauważyli, że gdyby nie przeszkody w postaci skalnych progów i mielizn na trasie pomiędzy Soroką i Powieńcem, to droga z Archangielska do Nowogrodu przez Obo-neże byłaby najkrótsza i najwygodniejsza.

— Zatem to oni pierwsi wpadli na pomysł kanału?

— Na to by wyglądało.

12. A gdzie gwiazda?

Okazuje się, że ten Irlandczyk pokazywał Mi-chaiłowi Andriejewiczowi angielską edycję księgi zbiorowej pod redakcją Gorkiego flana Bialomorsko-Battycki imienia Stalina z fotografią gwiazdy na dziewiętnastej śluzie. Naczelnik pytał później miejscowych muzyków, gdzie się ta gwiazda podziała, ale nikt nie wiedział.

— Pewnie ukradli na złom — złośliwie burknęła sekretarka. — Dzisiaj tu u nas typy z Kaukazu kolorowy złom na wódkę wymieniają. Muzyki wyłamały tablice pamiątkowe, potem pomniki i gwiazdy, a teraz rwą, co zostało, kable i osprzęt elektryczny. Ostatnio podstację opodal Tungudy próbowali wybebeszyć... Jednego ubiło, więc dali se spokój.

— Taaak! Teraz jedynie w białe noce po Kanale można chodzić nocą — uprzedza Michaił Andriejewicz — później, gdy noce robią się czarne, a boje stoją nieoświetlone, ruch na Kanale po zmroku jest zabroniony. A co do tych typków z Kaukazu, to ja w ogóle się dziwię, że nasza FSB35 ich tutaj puszcza. Przecież wystarczy, aby Czeczeńcy wysadzili parę tam lub śluz i...

W gabinecie zapadła cisza. (— Stary, było tak cicho — powiedział mi

później Wasyli — że słyszałem, jak żużżżżż muchy, jebiąc się na oknie).
— A czy naszej FSB wiadomo, że zamierzacie się przejść po Kanale? —
lico Michaiła Andriejewi-cza stężało.

Ta nagła zmiana tonu nie zbiła mnie z pantały-ku. Od początku naszej rozmowy wyczekiwałem na tego rodzaju pytanie. Zawczasu miałem gotową odpowiedź.

— Przypuszczam, że tak... Już zimą o naszym zamiarze powiadomiłem Amiguda, naczelnika Kanału w Miedgorze. To jego odpowiedź — wręczyłem list. Michaiła Jakowlewicza Michaiłowi Andriejewiczowi. W liście stało czarno na białym, iż nikt nam nie będzie stawiał przeszkód, starczy opłacić śluzy. Na twarz Michaiła Andriejewicza z miejsca powrócił uśmiech... Musimy tylko poczekać na starszego inspektora Baturę. Ten obejrzy jacht, czy wszystko u nas w porządku.

— Każdy przecież z czegoś musi żyć, no nie? Ta ostatnia sentencja niedwuznacznie podpowiadała nam łapówkę dla Batury.

35 FSB — Federalna Służba Bezpieczeństwa. Organizacja kontynuująca tradycje słynnych „organów”, które w Rosji Sowieckiej utworzył Polak Feliks Dzierżyński. W FSB swoją karierę zaczyna! Władimir Putin, obecny prezydent Rosji.

76

77

Oczekując na inspektora, przeglądamy Kanał Białomorsko-Baltycki imienia Stalina, słynną księgę Kanału pod redakcją Gorkiego, z którą warto chodzić po Kanale — jak Victor Berard po Morzu Śródziemnym z Odyseją — aby rozpoznać miejsca i ich tajemnice.

13. Księga Kanału

Historia owej książki jest równie unikatowa jak i sama książka — do niedawna...

17 sierpnia 1933 roku, rychło po zakończeniu budowy Kanału, na przejażdżkę po nim zaproszono stu dwudziestu sowieckich pisarzy, pod wodzą Gorkiego. Podczas przejażdżki pisarze mieli się zapoznać z kolektywnym trudem budowy Kanału, aby następnie — kolektywnym trudem pisarskim — stworzyć książkę owej budowy. Jednakże nie wszyscy zaproszeni na tę przejażdżkę dojrżeli do pracy w twórczym kolektywie. Niektórzy musieli przejść pieriekówkę na stalinowskich budowach. Do brygady Gorkiego wybrano zaledwie trzydziestu sześciu, w tym: Michaiła Zoszczenkę i Wa-lentina Katajewa, Aleksieja Tołstoja i Wiktora Szkwłowskiego — Polaka Brunona Jasieńskiego.

Pół roku później powstała książka. Foliał o ponad sześciuset stronicach, z bareliefem Stalina tłoczonym na okładce — jak cerkiewne Ewangelie...

Książkę poświęcono XVII Zjazdowi Partii Bolszewików.

A trzy lata później naczelnik OGPU (Objedinion-noje Gosudarstwiennojje Politiczeskoje Uprawleni-je)³⁶ Jagoda, jeden z głównych bohaterów książki,

³⁶ Objedinionnoje Gosudarstwiennojje Politiczeskoje Uprawlenije — Zjednoczony Państwowy Zarząd Polityczny.

78

został ogłoszony wrogiem narodu. Książkę wycofywano z bibliotek i niszczone, ludzie pozbywali się jej z prywatnych księgozbiorów, nie chcąc ryzykować. „Tylko pojedyncze egzemplarze przetrwały do naszych dni i nie ma nadziei na jej wznowienie” — żalił się Aleksander Sołżenicyn w Archipelagu GUŁag. Wydawało się, że książka popadła w niepamięć.

Tymczasem ją wznowiono! Całkiem niedawno, bo w 1998 roku, i anonimowo — bez ujawnienia wydawcy. Ale za to sztywnie, w tym samym formacie, w oprawie z imitacji krasnej skóry, z czar-no-złotym szkicem Kanału na okładce. „Księga, którą trzymacie w ręku — wyjaśnia anonimowy Wydawca — nie była wznowiana 60 lat. Przeszłość się mści, jeśli o niej zapominamy. Zatem czytajcie ją i wspominajcie, że posiadamy przeszłość. Nie kłóćmy się — dobrą czy złą, to nasza przeszłość i powinniśmy ją znać. Inaczej cóż z nas za naród — bez przeszłości, a więc — i bez przyszłości”.

. Michaił Heller nazwał księgę Kanału „...encyklopedią sowiecką epoki Wielkiego Przełomu”. Przede wszystkim — to monografia największej stalinpowskiej .budowy pierwszej pięciolatki, gdzie w detalach pokazano warunki pracy, stan techniki i poziom myśli technicznej. Po wtóre — to jedyny oficjalny (to znaczy aprobowany przez OGPU) dokument o strukturze, formie i celach sowieckich łagrów. Po trzecie — dzięki skoncentrowaniu na budowie Kanału przedstawiciele wszystkich warstw społecznych ówczesnych Sowietów otrzymaliśmy zbiorowy rys człeka sowieckiego. Po czwarte — tam sformułowano idee pieriekowki i kolektywizmu, kamienie węgielne ideologii rabstwa XX wieku. I po piąte — pisarze wystawili świadectwo sobie oraz literaturze tamtych czasów. Księga Kanału daje nam panoramiczny obraz wielkiej budowy, pokazując ją z najróżniejszych

79

punktów widzenia: projektanta, inżyniera i kierownika robót, brygadzysty i przodownika pracy, drwala, tragarza, kopacza, wiertacza, koni ucha i obiboka... Możemy prześledzić dzieje projektu, porównać różne jego

warianty, zapoznać się szczegółowo z organizacją ogromnego przedsięwzięcia, jakim było rycie Kanału w kraju skały, błota i tajgi, i z jego buchalterią, z techniką wysadzania karelskiego granitu tudzież kruszenia anabazy, z metodą regulacji jezior i rzek, zrozumieć zasady funkcjonowania zapór i upustów wodnych, pojąć, czemu służy budowano dwukomorowe, dźwigi robiono z drewna i dlaczego rabska siła bardziej się opłacała niż koń.

Jednocześnie zaś mamy okazję zajrzeć w mechanizm funkcjonowania tej „szkoły trudu, jaką był łagier sowiecki” (formuła Dzierżyńskiego), zobaczyć, na czym polegała tam „samoobsługa”, pozwalająca trzydziestu siedmiu czekistom pilnować ponad sto tysięcy zeka, jak wyglądała „samorządność” w kolektywach i „współzawodnictwo” w pracy, i jak wykorzystywano czas wolny.

Na szczególną uwagę zasługują znakomite portrety budowniczych Kanału, czekistów Uspień-skiego, Biermana, naczelnika budowy Frenkla (tureckiego Żyda, który zrobił oszałamiającą karierę w Sowietach, od prostego więźnia do głównego doradcy Stalina do spraw ekonomii rabskiego trudu w budowie socjalizmu w Związku Sowieckim...), złodziejów Abrahama Isaakijewicza Rottenberga, któremu poświęcono w książce oddzielny rozdział, i Aniuty Wyrwij Oko, czy też inżynierów — Wia-ziemskiego, Zubrika lub Żuka... Możemy przeczytać spowiedź wochrowca i kurwy, życiorys kułaka z Ukrainy, muzyka z Powołża lub nacmena³⁷ z Ka-

³⁷ nacmen — skrót od określenia „nacionalnoje mniešzin-stwo”; przedstawiciel mniejszości narodowej.

zachstanu, posłuchać czastuszek w wykonaniu członków agitbrygady,

mów uroczystych i fieni (złodziejskiego slangu). Słowem, otrzymaliśmy be-deker po „łagiernej cywilizacji”.

Kluczem do tej książki jest „filozofia kolektywi-zmu”, przeciwstawiona zachodniemu indywidualizmowi. Księga opowiada o zwycięstwie kolektywnego (zorganizowanego) rozumu nad różnorakimi siłami przyrody oraz o przewadze niewielkiej grupy ludzi, zdyscyplinowanych światłą ideą komunizmu, nad dziesiątkami tysięcy socjalno-wrednych jednostek. O trudkolektywach, w których realizuje się idea pieriekowki, polegająca na wyplenieniu egoistycznego „ja” z na poły dzikich bałwochwalców prywatnej własności pod czujnym okiem OGPU. I o kolektywnej świadomości, która się przy tym rodzi.

Nietrudno zauważyć, że filozofia książki Kanału, choć sformułowana prostacko, w istocie wpisują się w tradycję myśli rosyjskiej, której korzenie uchodzą w średniowiecze — do prawosławnych klasztorów, poprzedników GULagu w kolonizacji ruskiej Północy. Główną cnotą w nich było posłuszeństwo, które często osiągnano absurdalną pracą, na przykład przelewaniem wody z przerębla do przerębla lub sadzeniem trawy do góry korzeniami, ażeby w ten sposób złamać „ja” nowicjusza i podważyć jego wiarę w zdrowy rozsądek. Za Iwana Groźnego powstała doktryna „państwa-klas-toru” Josifa Sanina z Wołokołamska, według której całe Księstwo Moskiewskie to rodzaj wielkiego klasztoru pod wodzą cara-archimandryty. Jednym z głównych zadań klasztorów było trzymanie pod strażą inaczej myślących i sprowadzanie ich na drogę prawdy przez posłuszeństwo oraz trud. Józef Stalin, modyfikując nieco tę ideę, stworzył „pań-stwo-zone” pod bacznym wzrokiem generalissimu-

sa-strażnika. Maksym Górkę we wstępie do książki porównał czekistów do monachów.

W posłowniu zaś objaśnił zasady „kolektywnej metody pisanie”, głosząc, że to pierwsza próba stworzenia nowej literatury, odpowiadającej wyzwaniom nowych czasów. Otóż pisarze, skrajnie różni pod względem talentu, języka i upodobań, zjednoczyli się nad materiałem, rezygnując z własnych, charakterystycznych cech, i wspólnie wnieśli do sowieckiej literatury fakt wyjątkowej wagi. Pracowali z poświęceniem, nie szczędząc jeden drugiego, wykreślali się nawzajem, czasem zostawiając z paruset stron zaledwie pół setki, niekiedy jeden fragment obrabiało kilku autorów, aż do zatarcia indywidualnych cech stylu, i nie sposób już było orzec — czyje co jest... Inaczej mówiąc, zrównali pod jeden strychulec.

Zglajchszaltowali się.

14. Dowcip Batury

Tymczasem pojawił się inspektor, obejrzał jacht i jął kręcić nosem, że czegoś nam tu brakuje — ni to flagi, ni to flaszki. Wasia w lot pojął aluzję, wyjął sztyto³⁸ i czosnek na zakąskę. Batura od razu po-cieplął, wypił pół kubka, zakąsił, powtórzył i zebrało go na wspomnienia z Polski. Był jednym z wyzwolicieli Gdańska. Ot, 1945... Gdańsk... piękna Gretchen... Puścił słozę i raptem zmienił temat:

— A wiecie, jak wygląda miłość u Ruskich?

— Dwa pocałunki w usta i trzeci kontrolny w potylicę, egh, egh — ni to zaśmiał się, ni to zaczął.

³⁸ szyło — szydto. Tli chodzi o spirytus przemysłowy, który powoli wypiera na Pótnocy wszelkie inne napitki alkoholowe.

Jeszcze dwa razy po pół kubka i Batura „wy-miękł”. Z jachtu go wynosiliśmy.

15. Szyżnia

Papiery gotowe... Za Kanał płacimy niecałe trzy dolary. Do tego locman (sto dolarów plus żarcie) i dwadzieścia map po dwanaście baksów każda. Krótkofalówkę dają nam za półtora litra, do zwrotu. Bez niej do każdej służby trzeba by pieszo biegać, aby wrota otworzyli. Możemy iść!

Rzeka Szyżnia, most pontonowy. Musimy poczekać na naftorudowóz. Na otwieranie mostu dla jachtu szkoda im fatygi. Naftorudowozy to tankowce zbudowane specjalnie dla Kanału pod względem i gabarytów, i przeznaczenia. Na Daleką Północ wożą na nich ropę z Morza Kaspijskiego, a z powrotem rudę i apatyty.

* Ruch na Kanale jest duży i gadki o jego zapuszczeniu wkładam między bajki.

Na rnoście podlotki jak motyle.

Wleś Szyżhia. Bezludnie porozrzucane chałupy, szare dachy na tle przezrocznej zieleni, łódki przy brzegu i krzyki dzieciarni w wodzie, jak na kąpielisku. Trudno uwierzyć, że zeka bali się Szyżni niczym śmierci. To skrajnie północny „węzeł” Kanału. Latem noce tu były jeszcze bielsze, zimą —jeszcze ciemniejsze...

Tutaj zsyłano odmawiających pracy.

16. Zapalisz bietomorkanała?

Osiemnasta śluza... siedemnasta śluza... Jedna za drugą, nie ma czasu na rozglądanie. Boje,

nabieżniki... Nabieramy wprawy. Wania bierze rymy bez pudła. Inaczej sobie wyobrażałem ten Kanał. Sądziłem, że to będzie sztuczne koryto, wyryte w błotach i skałach pośród karelskiej tajgi, a tutaj wesoła rzeka, posiołki z dzieciarnią i radosne szczekanie psów, ganiających za kąpiącymi się. W istocie tylko 47 km Kanału wiedzie sztucznymi korytami, reszta to rzeki, na które przypada 97 km, i jeziora — 80 km. Śluzy także wyglądają inaczej niżli w pamiętnikach zeka. Wrota żelazne (a nie drewniane!), otwierane mechanicznie, komory betonowane, dyspozytornie oszklone, sygnalizacja świetlna. TU i ówdzie rabatki. Szesnasta śluza. Stop, czerwone światło. Naprzeciw śluzuje się naftorudowóz. Wystaje z miniaturowej komory niczym słoń z salaterki. Przystajemy z boku na papierosa. Locman Sania bielomorem częstuje. Kiedyś były to najpopularniejsze papierosy w Związku Sowieckim. Dzisiaj używają tu ich tutek głównie do palenia anaszy. To znaczy odpowiednika marihuany.

A swoją drogą zagadkowa jest dusza ruskiego człeka i wszelkie analogie zdadzą się psu pod chwost. Ot, choćby ta porównująca niemieckie kacety i sowieckie łagry. Wyobraź sobie, drogi czytelniku, papierosy o nazwie „Oświęcim” lub „brzezinka”.

— Piękny ten Kanał, co by nie mówić — wzdycha Sania — a że rabskim trudem budowany... Cóż, piramidy w Egipcie także niewolnicy budowali. Jednakże turystom to wcale nie przeszkadza.

Locman Sania całe swe życie na Kanale przepracował. Jego ojca tu zesłali w czterdziestym czwartym...

— Ech, powodzić by tutaj wycieczki zagraniczne!

17. Niżnij Wyg

Za szesnastą służą rozpoczyna się Niżnij Wyg. Jego progi są teraz niegroźne, bo wodę zaporami spiętrzyli i na Niżnim Wygu zrobił się menisk wypukły.

W dole po prawej wioska Wygostrow.

Nieopodał ślady Biesa na skale (ryty sprzed sześciu tysięcy lat) i sam Bies z wielkim rzapiem w stanie wzwodu.

Kiedyś w Wygostrowie żyli staroobrzędowcy. Swoich zmarłych grzebali w piachu na pagórze. Piach przywozili z daleka. Ten piach przydał się do budowy wygostrowskiej zapory Kanału.

Rzeka jak lustro.

Osiny przeglądają się w nurcie. Rozświetlone.

Łódź z rybakim nad wędą pochylonym.

Opar w zakolach. Zapach trzcin.

TU i tam sterczą z wody zatopione pnie.

Wte i wewte ryby się pluszcza.

Na piętnastej służie bzy i porzeczeki... W oknach dyspozytora firanki.

Hamak wśród sosen.

Dbm z zielonym dachem, żywopłot, kuta bramka — jak na jazie we Wrocławiu. Który nieraz mi się śni.

Między piętnastą i czternastą służą kanał w skale, szerokości około czterdziestu metrów. W nim poziom wody wyższy niżli błot wokoło niego. Jakbyśmy szli po szklanym stole.

W dali elektrownia wodna w Sosnowcu³⁹, jedna z pięciu na kaskadach Wyga.

Na czternastej służie krzewy głogu, dzika róża i dyspozytorki. Dziewuchy dorodne. Na schwał. Pod-śmiechujki. Sprzedają nam świeże leszcze.

39 Sosnowiec — osada nad Wygiem.

84

85

Dalej Wyg się przelewa leniwie z boku na bok.

Na wysokości posiołka Letniego ponad wodę wystaje kamienna baszta. W ciemnokrwistej poświacie północnego słońca przypomina kułak wygrażający niebu.

Brzegi skaliste.

18. Pechowa śluza

Trzynasta śluza. Wrota się zacięły z nami w środku... Mamy więc sporo czasu, aby się rozejrzeć. Zeka budowali komory śluz z riaży (drewnianych zrębów wypełnionych gruntem). Profesor Masłow, ich konstruktor, miał powód do dumy, takich wysokich zrębów (do piętnastu metrów) nie stosowano nigdzie na świecie. Jedynie filary, na których osadzano wrota, były z betonu. Wrota otwierano ręcznie — na korbę. W latach pięćdziesiątych XX wieku zamienili wrota na automatyczne. W sześćdziesiątych zaczęli betonować komory. Na dzisiaj do modernizacji pozostały dwie śluzy.

Na ścianach komór (trzynasta jest dwukomorowa...) rysunki, na których dominują narzędzia rodne różnej wielkości (moją uwagę zwrócił Stalin ze stojącym prąciem) oraz napisy: kto i kiedy tędy przechodził: jakiś Saszka z Riazania, Łubka z Wow-ką z Orła, dalej: „Nawiek s toboj”⁴⁰ i „Zdies' byli Kola s Katiej”⁴¹, i jeszcze „Diodor i jeromonach i poslusznik Isidor zdies' byli. Diwny Bożii die-ła”⁴². Z politycznych zapisałem: „Stalin wiernis' —
40 „Na wieki z tobą”.

41 „TU byli Kola z Katią”.

42 „Tutaj byli mnich Diodor i nowicjusz Izydor. Niezbadane są wyroki Boże”.

86

źdiom”⁴³ i „Jelcyn, my s tobój mudakom — sriom”⁴⁴. Dopisujemy się: „Antur '99”. Wrota naprawili, możemy iść dalej.

19. Tunguda

Sto osiemdziesiąty pierwszy kanał. Iście jubilerska robota. Jakby inkrustowany szarym kamieniem.

Czwarta rano, pora pospać. Stajemy za dwunastą śluzą, naprzeciw Tungudy — tam była żeńska żona.

Z lewej na grobli, między śluzą i zaporą wodną, wielki napis z betonowych płyt, odlanych w litery, jakby wczoraj był zrobiony: „BBK — pokaz udar-nych tempow i wysokiego kaczestwa raboty”⁴⁵.

Zbyt duszno, żeby spać. Leżąc w koi, przysłuchuję się rozmowie w kubryku. Chłopaki rzną w pokera i jak zwykle gadają o babach. Zaczęło się od karety dam..

— Wolałbym żywą babę — głos Sani.

— Dziewka na jachcie przynosi pecha — to Wa-sia.

— Ej — znów Sania — a ja bym sobie dupy nie odmówił. Wszystko jedno, małolaty, dojrzałej, byleby ruchliwa była i sokiem podeszła.

43 „Stalinie wracaj — czekamy”.

44 „Jelcyn, my z tobą mudakiem — sramy”. Stowo „mudak” jest nieprzetłumaczalne, to wulgaryzm utworzony od stowa slangowego „mudio”, co, w przybliżeniu, oznacza męskie genitalia, ale raczej jądra niż członek.

45 „BBK — pokaz udarnych tempow i wysokiego kaczestwa raboty” —

„BBK (Bielomorsko-Bałtycki Kanał) — pokaz priorytetowego tempa i wysokiej jakości pracy”.

87

— Jakaż dupa, blam, do jachty się umywa (w rosyjskim jacht jest rodzaju żeńskiego). Babie, jakbyś się nie starał, nigdy nie dogodzisz, a jach-ta... Z jachtą prościej... Jak sobie ją uszyjesz, tak sobie na niej użyjesz. Ważne, aby na wiatry była czuła, jak żonka na muzyka. Wyobraź sobie, że idziesz na Północ. Jeżeli dmucha letnij (południowy) albo obiednik (południowo-zachodni) — oba od tyłu dmą — to polecisz na niej jakby miała skrzydła, stok (zachodni) od razu na bok ją kładzie i ślizgacie się z przechyłem, poberieżnik (północ-no-zachodni) lub polunocznik (północno-wschod-ni) dują w ryło, więc tylko do halsu się nadają. Jeno mariną lepiej przeczekać w jakiejś zatoczce.

Mariną Wasia zwie i moriankę (wiatr północny), i swoją żonę.

— A u nas w szkole wszystkie się dymają — wypala Wania — z której klasy chcecie.

— Tobie jeszcze jajca nie obrosły...

— To co? Może pójdziemy na dyskotekę do Tungudy — proponuje Sania

— znam tam parę socznych dziewczek i piwo można by wypić.

— Poszliiii...

I już zrywamy kotwę i tniemy Wyg na tamten brzeg pod żaglem. Po rzece rozsnuły się szare mgiełki, różem podkraszone, światło jak blada farbka rozpaćkana w wodzie, po obu stronach kształty obłe. To wynurzają się, to znowu nurza — ni to z wody, ni w tumanie.

Tunguda coraz bliżej... Jakieś ognie, jakieś cienie na pomoście. Słyszać muzykę. Czyżby rap... Snop światła raz po raz omiata przystań. Ależ

skądże... To nie rap. To tusz. Podchodzimy do

46 b la — skrócona blad', czyli polska kurwa. Używana raczej jako znak przestankowy w mowie potocznej aniżeli jako przekleństwo. Młodzież zamiast bla często mówi: blin.

rampy. Reflektor ślepi. A na rampie tłum się kłębi, jakby tańczył.

Cumujemy, podajemy trap na brzeg i z miejsca nas otaczają.

Odziane byle jak, ta w łachmanach i łapciach, tamta w kartonie po papierosach, jedna w skórzanej kurcie z gołym tyłkiem, druga w bieliźnie prosto z Paryża, trzecia w kusej fufajce... Szulerki, złodziejki i błatne baby, dziwki za rubel, łase na mienie cudzych kieszeni i portek. Raptem znajome liczko w tłumie.

— Aniuta Wyrwijoko?

— Ech, bla, ty stary katorżniku, na skórcie od banana z Sachalina tutaj przyplynałeś? Tu ci nie mieszkanko z ciepłą wodą i centralnym ogrzewaniem. To Tunguda, mać twoja...

20. Jak u Piranesiego

Budzę się z mętłą głową, lepki... Kąpiel nie pomaga, woda w Wygu jak odgrzana zupa. Parę minut po dzfewiątej wyruszamy.

Niżnij Wyg się poszerza, wzdłuż prawego brzegu linia kolejowa, mijamy stacje: Krasnaja Górka, Idei, Koczcoma. Z drugiej strony las, błota, uroczyska. Bezludnie.

Za Koczcoma do Wyga wpada rzeczka Onda. Robi się wąsko i zawilo.

Ruch tutaj obowiązuje jednostronny! Wtem zza zakrętu wynurza się...

Jedenasta śluza! Zaiste, imponująca! Jedna z dwóch jeszcze nie odremontowanych. Wyryta w skale, drewniana, wrota nad wrotami (skrót perspektywiczny) —jakby dęba stała.

Zielone światło i... jakbyśmy wleźli do wnętrza jednej z rycin Piranesiego:
skalne ciosy, żelazne

88

89

kłamry i setki sączących się, szemrzących nitek wody. Mad nami kadr nieba z gałązkami osin, twarze kobit coś krzyczących. Brak rymów? Podchodzimy do skaty, tap za kłamry. Słyszać szum puszczonej wody i mamy wrażenie, że wspinamy się — od kłamry do kłamry. To bosakiem, to rękami. Ma gorze wyjaśnia się, że kobity chciały nam rzucić liny. Druga komora i ten sam styl kopistów Carce-ri⁴⁷, którzy podjęli się szalonego zadania zaprojektowania świata od nowa. Dziwne uczucie: własnymi dłońmi dotykać ciosów zeka, chwytac za kłamry wbite tu sześćdziesiąt sześć lat temu przez jakiegoś rozkułaczanego chłopca z Ukrainy lub nacme-na z Kirgizji.

Słońce praży. Kłamry parzą.

21. Szawańska tama

Za jedenastą śluzą Szawańska tama, jedna z najpiękniejszych konstrukcji Kanału. Rzucamy kotwę powyżej i schodzimy ją obejrzeć. Inżynier Zubrik, „były szkodnik”, dostał za nią Order Czerwonego Sztandaru Pracy. I rzeczywiście, zapora jest nie tylko piękna, ale i unikalna. Klimient Michajłowicz otrzymał polecenie zaprojektować ją z drzewa, musiał więc wymyśleć taki profil, aby między wodą i drewnem nie było powietrza, wtedy drewno nie gnije. Japońscy inżynierowie, którzy przyjeżdżali tutaj w ubiegłym roku, dziwowali się. Mówili, że Szawańska zapora jeszcze sto lat przeżyje bez remontów.

47 Carceri — tytuł cyklu sztychów Piranesiego.

Kanał projektowali inżynierowie starej szkoły. Między innymi: Orest Wiaziemski — potomek Ru-rykowiczów, „były szkodnik”, autor Matkożeń-skiej zapory, za którą otrzymał Order Czerwonego Sztandaru Pracy, profesor inżynier Masłow — „były szkodnik”, twórca drewnianych wrót, też odznaczony Orderem Czerwonego Sztandaru Pracy, profesor Nikołaj Chrustalow — „były szkodnik”, główny inżynier Kanału, też kawaler Orderu Czerwonego Sztandaru Pracy, Konstanty Wierzbicki — „były szkodnik”, zastępca głównego inżyniera, dostał Order Lenina... Wszyscy oni z początku nie wierzyli w możliwość zbudowania Kanału techniką i środkami epoki starożytnego Egiptu. Z czasem jednak profesjonalna duma wzięła górę... Mimo przedterminowego zwolnienia, do końca zostali na budowie.

Kąpiemy się... Locman Sania zdejmuje nas na tle mas wody, przewalających się z Jeziora Woic-kiego do Wyga — bezszelestnie. Dopiero w dole huk i bryzgi piany na obłych występach granitu. Pusto. Po domach z fotografii w księdze Gorkiego ni śladu. Jenó ziemianka na poły zasypiana i koło od taczki w mule.

Koło od taczki! Główny mechanizm Kanału. Robili z niego wagonetki, zwrotnice, bloki, telegi i tylko obiadu z koła od taczki zrobić się nie udawało. Drugim, obok taczki, środkiem transportu był białomorski ford, czyli ciężka platforma na czterech pniakach — zamiast kół. Natomiast do wciągania potężnych skalnych bloków z wykopów używali drewnianych dźwigów (jenó detale trące były ze stali) albo sieci, w które zawijali kamienną bryłę i taszczyli na linach, przy pomocy kołowrotu, a niekiedy koni. Podręczne narzędzia zeka

to kuwalda, zubito i kajto. Czyli: miot, przecinak i kilof.

22. Wodospad Padun

Jezioro Woickie... Ma horyzoncie dymy celulo-zowni w Siegieży.

Zbliżamy się do nadwoickiego węzła. Z lewej suche łóżysko Paduna. Jak na tablicy atlasu anatomicznego widać cielsko selgi — pożyłowane sploty granitu — niczym potężne mięśnie bez skóry. Selgami nazywają tu dukty lodowca, niewysokie pasma skalnych wzgórz z północnego zachodu na południowy wschód. Z lotu ptaka wyglądają jak skiby zaoranego pola z jeziorami w bruzdach. Rytm skib i bruzd na przemian tworzy niezwykłą kadencję krajobrazu, którą ktoś porównał do dobrej prozy, opartej na indywidualnym i niepowtarzalnym oddechu słów. Tam, gdzie rzeka trafia na selgę, nurt rozmywa grunt i wystaje próg. Po jednym z nich zlatywał Padun, póki mu tamą wód Wygoziera nie odcięli. W literaturze utrwalił go Priszwin:

„Spoglądasz na słupki piany, jak znosi je pod okap czarnego głazu i tańczą tam na kołyszącej się wodzie, każdy z nich inny, nie taki, jak drugi. Dalej wszystko jest zupełnie różne niż przed sekundą i nie wiesz, jakie będzie za moment?” — pisał Michaił Michajłowicz w roku 1905 w swej pierwszej książce *W kraju niestrachliwych ptaków*.

Książka cieszyła się wielkim powodzeniem na Kanale, sam Uspienski, główny czekista „nadwoickiego węzła”, ją czytał. Ten sam Uspienski, który własnego ojca zastrzelił, by o jednego popa w Sojuzie było mniej, a potem się wślawił okrucieństwem na Solówkach — to według jednych. Wedle drugich — tow. Uspienski był wybitnym czekistą, jednym z naczelników SLON-a48, którzy zastosowali nową, nie znaną

dotąd na świecie, metodę wychowywania przez trud. I przy tym wyrafinowanym intelektualistą. W Nadwoicach zjawiał się z książką Priszwina w ręku.

Rok później — w 1933...! — sam Priszwin tu przyjechał, może zwabiony swoją sławą wśród budowniczych Kanału, a może już z zamiarem pisania kolejnej książki. Będzie to Carska droga, bajka o „...narodzinach nowej świadomości ruskiego człowieka”. Uspienski tam, pod postacią mężnego Sutułowa, uosabia Władzę, która z ludzkich bryzgów oraz piany lepi na powrót Kolektywnego Człowieka, jakim była ludzkość na samym Początku.

Nadwoicki węzeł jest sercem Kanału. Spiętrza wody Wygoziera, regulując ich poziom dla potrzeb elektrowni i śluz, a nadmiar zrzuca starym łożyskiem Paduna. Węzeł składa się z Nadwoickiej zapory, upustów wodnych i dziesiątej śluzy, którą ryli w anabazie — twardej, ciemnozielonej skale magmowej. Dla zapory potrzebny był beton, dla betonu zaś kruszarki kamieni. Na anabazie zęby kruszarek się łamały. Należało je odlewać ze specjalnej stali: 50% żeliwa, 48% łomu żelaznego i 2% fer-romanganu. Skąd wziąć piec, który wytrzymałby temperaturę wytapiania takiej stali? Prosto — zeka polewali żeliwiak zimną wodą w czasie wytapiania. I anabazę skruszyli.

Dziesiąta śluza w remoncie. Wchodne koryto wybetonowane, w środku jeszcze szalunki, drew-

48 SLON — Sotowieckij Lagier Osobogo Naznaczienija — Sotowiecki Obóz Specjalny.

niane stemple. Wyobrażasz sobie oszalowane więzienie Piranesiego?

23. Nadwoicy

Z cienia śluzy wychynęliśmy na zalane słońcem jezioro Wyg. Na prawo Nadwoicy, bieżymy wzdłuż brzegu. Śród popielatych domów migają wieżyczki strażnicze. Własnym oczom nie wierzę: toż to żona! W lornecie dostrzegam drut kolczasty. A na pierwszym planie dźwigi, suwnice, sztaple desek, jakieś baraki, składy, pomosty do cumowania, plaża z trocin, dzieci. Przybijamy.

Pył i gorąc. Grzęźniemy w trocinach. Pokrzywy i osty, wraki barek. Dwie spocone dziewczki nas zaczepiają, lecz nam nie do nich. Nam by piwo! Wania zostaje poszakalić we wrakach, Wasyli czuwa na straży jachtu. A my z Sanią — do sklepu.

Zapyziały posiołek, dwie ulice na krzyż, jedna wiedzie do żony, druga do portu. Ni żywej duszy.

No i gdzie jest to miasto, o którym tyle pisali literaci z „brygady”

Maksyma Gorkiego? Była mowa o pięćdziesięciu tysiącach mieszkańców, miał być teatr, baseny, stadion. Przy tartaku planowali postawić gorzelnię spirytusu z... wiórów! Z jednej tony trocin, wyliczali, wyjdzie 360 litrów sosnowej wódki dla sowieckiej rabsily (tak skracali roboczą siłę, lub rabską — jak kto woli — wszak w ruskim języku i „rabota” i „rab” mają jeden rdzeń). A tu posiołek na pół wymarły, wióry się walają, w sklepie katanka⁴⁹ z lewego szyła, podcięty koleś ze

⁴⁹ katanka — slangowe określenie fałszywej wódki, zrobionej z „lewego” spirytusu. Od słowa zakatat', czyli zamknąć hermetycznie butelkę.

gtubinki⁵¹. Bierzemy karton ciepłego piwa oraz cztery bochny chleba.

W drodze powrotnej zachodzimy do znajomka Sanki, byłego naczelnika portu w Nadwoicach. Od razu widać, że muzyk starej daty, cudzoziemcowi nie dowierza. Pokazuję akredytację, tłumaczę mu, że piszę. Po chwili się rozgadał, być może piwem rozkręcony. Do niedawna żyli tu całkiem nieźle, w porcie pracowało czterystu ludzi, barkami piasek z Wyga wozili, cztery regiony zaopatrywali — Białomorski, Kiemski, Siegieński i Miedwieżegorski — zapotrzebowanie mieli na półtora miliona ton, z tego zaledwie połowę mogli realizować, sami wybierali klientów. Aż nastąpił Borys Jelcyn. Budowy stanęły, piasek — zbędny. Ludzi „skrócili” do pięćdziesięciu pięciu, ze stu poszło na rentę, a reszta została bez pracy. Co tu dużo mówić, nawet w żonie teraz bez roboty siedzą.

Ech, Stalina by! Za Stalina w Nadwoicach odbywały się zloty przodowników pracy, był teatr, dawali koncerty i gazetę mieli swoją.

Wtedy, za Stalina, życie nabrało sensu: współzawodnictwo, wielka budowa, masa narodu... A dziś, sami popatrzcie, ludzie łożą jak te muchy, wypitki szukają, żadnego celu w życiu nie mają. Pełny marazm.

Raptem, ni stąd, ni zowąd, zaśpiewał:

U burżuja za granice] Skriuczennyje palcy. Popieriok im gorta stali
Krasnyje kanalcy.

50 фикса — w żargonie więziennym „złoty ząb”, wstawiany nie tyle z potrzeby, ile dla krasoty.

51 ruska głubinka — rosyjska prowincja. Miejsce, gdzie jeszcze można spotkać muzyka. Fatrz przyp. 10 na s. 15.

Pust' nie wierit zagranica — Oszibiotsia, dwa, TUt u każdego bratka Wo — muskulatura⁵².

— Zagranica czyta różnych tżenicynów i chuj wie, jak tu naprawdę było. Stąd ukraiński muzyk wysyłał rodzinie część swojej łagiernej porcji, a górnik z Donbasu zachwalał tutejsze baraki, bo u siebie żył w podmokłej ziemiance. Ale muzyki o Kanale książek nie pisali. O Kanale rozpisywali się inteligenci: lichaczowy, łosiewy, ancyfierowy... Tym zaś, przywykłym do stolicznych wygód i przywilejów, lekko tu nie było. Weź dzisiaj Jewtuszenkę albo Wozniesińskiego, mać ich, niechaj by tutaj pożyli z rok i drugi. Ciekawym, co by napisali?

24. Wygoziero

Cisza. Milczenie... Jakby rzeczywistość nabrała wody w usta.

Tb największy sztuczny zbiornik wodny na świecie. Poziom jeziora podnieśli na siedem metrów, otoczyli je groblami, żeby się nie rozlało na strony. Przyszło wywozić ponad siedemset gospodarstw z czterdziestu dwóch okolicznych wsi. Bezdrożami, spieszenie. Brakowało podwód, nie wystarczało rąk. Dla ludzi starego obrzędu, którzy tutaj żyli, nastał prawdziwy koniec świata. Wielu z nich nie posłuchało czekistów, wierzyli w mądrość przyrody i zostawali.

52 U burżuja za granicęj... — U burżuja za granicą / zakrzywione palce. / W gardle ością mu stanęli / czerwoni kanalarze. / Niech nie wierzy zagranica — / omyli się durna, / tutaj u każdego chłopca / ot — muskulatura.

96

Przecinamy jezioro wzdłuż, z północy na południe. Po obu stronach wyspy, niektóre do dziś mają łagierne nazwy — Pieriekowka, Izolator...

Uspien-ski pod pozorem lazaretów trzymał na nich dziewczki po pięćdziesiąt kopiejek za miłość, rodzaj premii dla przodowników pracy.

Z lewej strony resztki Karelskiego ostrowa: kępa traw, suche krzaki.

Niegdyś tam wrzało życie. Prisz-win w stylu Marąeza ze Stu lat samotności opisał jego koniec. Kiedy Wygoziero zaczęło się podnosić, na Karelskim ostrowie z całej wsi jedynie baba Mironowna się ostała, oczekując na Ogień Ostateczny, w którym — według staroobrzędowców — miał spłonąć świat. Jak przystało na człowieka starej wiary, Mironowna wszystko do podróży na tamten świat miała już przygotowane. W odświętnej izbie czekała trumna zrobiona z łodzi, i świece, ikony.

Tymczasem, zamiast ognia, woda podeszła pod próg domu, wypłaszając polne myszy z nor. Mironowna legła w trumnę, mrucząc modlitwę Jezusową, jakby chciała sobie utkać całun ze słów. Woda weszła w dom, przodem biegły myszy, coraz wyżej to wyżej, to po belkach łączących schody, to po poręczach, na piętro, do komnaty, i obsiadły babkę — jak wyrzuty sumienia. Wtedy Mironowna nie zdzierżyła, chwyciła wiosło i przez okno wypłynęła w łodzi-trumnie z zatopionego domu.

Dawniej na jeziorze Wyg było tyle wysp, ile dni jest w roku. Potem, gdy poziom jeziora się podniósł, większość wysp zatoneła. Lecz wystarczy nieco zejść z farwatera, aby odnaleźć pod wodą zatopiony świat Wygorecji — Atlantyde starego obrzędu... Pomiędzy zmurszałymi domami pływają zdziwione karasie, dziurawy karbas⁵³ leży na boku

⁵³ karbas — duża drewniana tódź rybacka.

97

i omal że nie natykamy się na ośmioramienny krzyż, który stoi tuż-tuż pod taflą. Jakby się przyglądał z tamtej strony.

25. Polscy panowie

Dalej wystercza na sążen z wody ostrów Goro-dowej, owiany legendą o polskich „panach”. Jesienią 1613 roku część polsko-litewskich oddziałów Samozwańca, łupiących zaonieżskie pogosty⁵⁴, wyruszyła pod wodzą panów Sidora i Baryszpolca na Chołmogory... Po siedmiu dniach oblężenia ta-mecznej twierdzy Polacy odstąpili, ominęli Archan-gielsk i rozgrabili Nikołó-Karelski monastyr, w drodze powrotnej po lodzie przez Zatokę Onieżską złupili kilka pomorskich wiosek, oblegali bez skutku Sumski ostróg, znów napadli na zaonieżskie pogosty, osadzali ostróg Szungski, Tblwujski i przy pomocy wojsk szwedzkich zdobyli Ołoniec. W marcu 1614 roku Rosjanie rozgromili oddziały pana Baryszpolca nad rzeką Sermaksą pod Ołońcem, a niedobitki oddziałów pana Sidora uszły z placu boju w karelskie lasy. Tudzież w karelskie legendy. Jedna z nich głosiła, jakoby „panowie” żyli na Go-

⁵⁴ pogost — dzisiaj cmentarz. Natomiast w dawnej rusz-czyźnie, zwłaszcza na Północy, sfowo pogost oznaczało także parafię wiejską, tudzież wołost' — to znaczy jednostkę administracyjną, rodzaj polskiej gminy. Podział terytorium współczesnej Karelii kiedyś wyglądał tak: korelski ujezd — czyli Zachodnio-Południowe Przyładoże, za czasów nowogrodzkich nazywane karelską ziemią z grodkiem Koreła (obecnie Prioziersk), zaonieżskie pogosty — czyli Ołoniecka Karelia, rozpościerająca się pomiędzy Jeziorem Ladożskim i Onieżskim i wokół tego ostatniego, dziś nazywana Obonieżem, oraz lopskie pogosty — czyli Północna Karelia, zwana także Biatomorską, ciągnąca się na północ od Jeziora Onieżskiego do Morza Białego.

rodowaju, skąd najeżdżali na pobliskie wsie, brali chłopów w raby i rabowali poty, póki ich stary Kojko na Padun nie posłał po skarby. Na skale Paduna „panowie” znaleźli swoją śmierć.

26. Tfelekino

Mijamy kolejne wyspy: Kal, Kainskie, Kun, Jał i Peld, zwany też Małym Babim. Na zadnim planie widać Bolszój i Małyj Janc, za którymi odchodzi w lewo na południowy wschód farwater na Wałdaj i Pietrowskij Jam.

Tamtędy, przez selgi i trzęsawiska, Piotr I taszczył na plecach swych rabów okręty na wojnę ze Szwedami i do dzisiaj pomiędzy Niuchczą a Powieńcem zachowały się w tej bolę ślady carskiej drogi i kości rabów pod darnią.

* My idziemy prosto w stronę Sigowca i Locmań-skiego, gdzie kończy się jezioro Wyg i zaczyna rzeka Telekinka.

Długi dzień ugasa z wolna w krasnych tonach.

Farwater Telekinki wiedzie starym łóżyiskiem rzeki, miejscami „wyprostowanym” przez zeka.

Brzegi niskie, błotniste, porośnię mieszczym lasem.

U brzegów sterczą z wody zatopione pnie, na brzegach głązy co rusz.

Raz z jednej, raz z drugiej strony ostrowy: Wo-rotnoj, Szowik, Kiw, Małyje, Muromskie, Bliżnije. Śród nich limy — pływające wyspy torfu — od paru metrów kwadratowych do paru hektarów. Niektóre są pokryte roślinnością, inne, brunatne i ciężkie, zimą opadają na dno. Tfe ostatnie bywają szczególnie niebezpieczne dla żeglugi, bo często dryfują

99

w poprzek farwatera pod powierzchnią wody i nie widać ich gotym okiem. Jezioro Telekino. Znów ostrowy, ostrowy... Zanurzone w mętnoperłowej

poświacie białej nocy, jakby się ze snu wysnuwały, jeden za drugim: Kornyj, Birzewoj, Drowianoj i masa innych, bezimiennych i nie wiadomo, wyspa to czy lima? Za archipelagiem Moskowa skręcamy w prawo na dziewiątą śluzę, która się wynurza zza ostrowa Czigajewa.

Ma dziewiątej śluzie rośnie czernobyl (bylica). Połyskuje nocna rosa. Śluzujemy się migiem.

Dalej małe jeziorko Tbroś oraz wąski i trudny odcinek Wołogży. Z prawa wyspy Skalnyje i Riaż, z lewej majaczy Majaczny. Opodal niewielkiego ostrówka Griwa wydostajemy się na jezioro Matko. Noc świętojańska. Przed nami Wododział.

27. Wododział

Wododział — to skalny płaskowyż, pokryty lasami i błotami. Rozdziela jeziora Matko i Wadło — jak grzęda. To najwyższe wzniesienie na drodze Kanału (sto dwa metry ponad poziomem morza). Wody stąd spływają tarasami jezior i kaskadami rzek na obydwie strony: na prawo do Morza Białego i przez Gorło do Oceanu Lodowatego, na lewo do Jeziora Onieżskiego, stamtąd rzeką Świr do La-dogi i dalej Mewą do Bałtyku i Atlantyku.

Wiodła tędy jedna z głównych dróg Nowogród-ców z Obonieża w Zawołocz. Obonieżem zwali ziemie wokoło Jeziora Onieżskiego. Nie mylić z Przy-oneżem, tj. ziemiami leżącymi wzdłuż rzeki Oniega, ani z Zaonieżem, które jest częścią Obonieża, leżącą za Jeziorem Onieżskim, patrząc i z Nowogro-

du, i z Moskwy. Zawołoczem zaś zwali kraj za wo-łokiem — działem wodnym między Bałtykiem i Morzem Białym, którądy włóczyli łodzie. Z

Moskwy w Zawołoczcie też chadzali przez wołok, tylko inny — wododział zlewiska Morza Białego i Barent-sa z jednej strony oraz Wołgi z drugiej. W literaturze przedmiotu często się to gmatwa.

Dzisiaj tu łodzi włączyć nie potrzeba, bo zeka przeryli Wododział sześciokilometrowym kanałem (na mapie oznaczony numerem 165), łącząc jeziora Matko z Wadłem, a zarazem basen Morza Białego z Bałtyckim. Aby wyrównać poziom wód (Matko leżało poniżej Wadła), przy wejściu z jeziora Matko do kanału 165 wybudowali dwukomorową ósmą śluzę. Wchodzimy.

Ósma śluza. Najdroższe urządzenie Kanału. Kosztowała jedenaście milionów rubli. Cały Kanał zaś — ponad sto jeden milionów. Budżet planowali na czterysta milionów, trzy czwarte tej sumy zaoszczędzili na wypłatach. Teraz też oszczędzają na ludziach. Półsenne dziewczki, które nas służą, pół roku nie widziały pieniędzy. Lecz humoru bynajmniej* nie tracą i proponują nam wspólną kąpiel w śluzie. O wpół do pierwszej w noc Kupały!

Nie wierzysz — przyjmij za baję!

28. 165 kanał

Cacko! Wąziuteńki, zaledwie trzydzieści sześć metrów szerokości, po obu stronach bladozielon-kawa ściana brzoź, dołem szary granit. Co dwadzieścia, czterdzieści metrów kaszyce. Pusto.

Głuszymy motor. Cicho, jak makiem zasiał... Po wielu godzinach terkotu silnika (w Kanale nie

101

wolno chodzić pod żaglami!) raptem taka cisza — ogłusza. Ni krzyku ptaka, ni szelestu. Suniemy w tej niemocie siłą bezwładu.

Matowa czerń wody.

Nie sposób sobie wyobrazić, że tam — pod nami... — w ogromniastym wykopie pracowało trzydzieści tysięcy zeka, jeździła kolej wąskotorowa i przygrywały orkiestry dęte. Do tajania śniegu na wiosnę 1933 roku musieli przeryć Wododział, w przeciwnym razie wezbrana woda mogła znieść gotową już Powienczańską Lestnicę i termin 1 maja, naznaczony przez Józefa Stalina na oddanie Kanału, brał w łeb... Zarządzono VII Wszechłagierny Zlot Przodowników Pracy, a na nim 7 stycznia ogłoszono szturm pod hasłem: „Zamienimy srogi styczeń w żarki lipiec!”. Autorem hasła był tow. Uspienski. Wszystkie oddziały Biełbałłagu delegowały na Wododział najlepsze trudkolektywy. Między innymi przybyły: „Puf k isprawleniju” (Droga do poprawy), „Wpieriod k 1 oktiabria” (Naprzód do 1 października), „Pokoritiel skał” (Zdobywca skał) i słynna żeńska „Krasnaja zaria” (Czerwona zorza). Tyrali sto dób na zabój, w dzień i w nocy (przy reflektorach), na zmiany w lodowatej brei po kolana. Szturm zakończyli 23 kwietnia, ostatnie 48 godzin pracując bez ustanku — bez jadła i bez snu. Brygada Podlepińskiego pobiła rekord: 852% normy na członka, to znaczy 17 zeka zrobiło robotę za 144 ludzi. Dostali za to sztandar od karel-skiego Komitetu Partii: płachtę z krasnego pluszu, obrzeżoną złotymi frędzlami i krągłymi kutasami.

165 kanał wychodzi w farwater jeziora Wa-dło dwiema kamiennymi groblami. Przystajemy za jedną z nich na parę godzin snu. Śni mi się gigantyczna jama, niczym rozwarty brzuch ziemi, na dnie pełzają ludzie wśród grud błota, błotem uma-

zani, i trudno rozróżnić, gdzie człek, gdzie gruda, jeno po pełzaniu.

Niektórzy nieruchomieją jak błoto, inni pełzają po nich, czasem gruda ożywa i pełźnie z innymi wśród ludzi przed chwilą znieruchomiałych w brei...

29. Baza remontowa

— Pssst, Mar — w luku radosna gęba Sani, z palcem na ustach. Daje mi znak, żebym cicho wyjrzał. Wynurzam się na pokład i... zatyka mnie. Z 165 kanału wypływa para łabędzi. Efekt niezwykły, bo odbijają się w czarnej toni, a jednocześnie jakby unoszą w próżni. Patrzymy — oczarowani... Wtem maty z kubryka i dym. Wasyli rybę przypalił. Okazuje się, że gdy ja śniłem tamtą jamę, muzyki nałowili siei.

A łabędzie znikły. I nie wiem już, czy to Wasin niat je spłoszył, czy były przywidzeniem? Zanim kolejna sieja się usmaży, kąpię się. Pyszna woda. Opływam groblę, nurkuję. Brzegi 165 kanału, wyłożone kamieniami do samego dna, przypominają mury jakiegoś zatopionego grodu, omszałe, oślizgłe, ślepe, bez wyjścia. Kaszyce pod wodą wyglądają jak wartownicze budki we mgle. I nie wiadomo, skąd raz po raz unoszą się w górę pęcherzyki powietrza.

Smażona sieja i chłodny browar po kąpieli — zali może być coś lepszego na śniadanie?

O dziesiątej trzydzieści wyruszamy. Słońce przypieka, skóra pobolewa, gzy. Jeziora Wadło, Woło, jedno z drugim się zlewa (dzięki uniesieniu poziomu Woła przez ósmą śluzę), po drodze ostrowy, ostrowy — bez końca... Jedne o nazwach poła-giernych, jak wyspa Udarników i Podlepńskiego,

103

inne po prostu — Bolszoj, Primietnyj, Wostocznyj, i tak dalej, jak okiem

sięgnąć, niczym klomby na wodzie.

Gama zieleni: od przyćmionych jodet do spłó-wiałych brzóz i seledynu łożyny, są jaskrawo szmaragdowe tataraki i pienista, jakby namydlona, wiklina, jest zgniła zieleń traw podwodnych, są malachitowe mchy. Jeno gdzieś na tle tych zieleni czerni się czasem bryła baraku, zmurszała szopa lub porzucona łódź. Ni żywej duszy.

Nie chce się wierzyć, że była tutaj Pierwsza Dziecięca Kolonia Pracy BBK, opisana przez Sołoniewicza. Dzieci pilnowały się same: cztery tysiące biezprizornych⁵⁵ pracowało pod dozorem trzystu takichże biezprizornych, specjalnie wybranych i tresowanych pod okiem komendanta Czekają. Jak dorosłe GPU, tych trzystu smarków mieszkało w lepszych barakach i otrzymywało lepsze jedzenie, na rękawach i na piersiach ponaszywano im czerwone gwiazdy, i zajmowali się — jak dorośli — donosami, śledztwem, robili obławę, aresztowali, rewidowali... I byli znienawidzeni przez całą resztę, dziką nienawiścią. A wszystkim im było od dziesięciu do piętnastu lat.

Za wyciągniętą wyspą Szlegela ukazują się na-bieżniki powienieckie. Na prawo baza remontowa. Przystań, kutry, woń ropy. Może nas zatankują? Podchodzimy do pomostu. Muzyk w brudnej fufai (mimo upału!), bez zbędnych słów, robi ruski gest: jest wypić? Nazywam go „ruskim”, bom nigdzie

⁵⁵ biezprizornyje — dzieci sieroty. Plaga zarówno Rosji Sowieckiej, jak i dzisiejszej. W dużych miastach dziafają całe gangi biezprizornych. W roku 2004 głośny film o biezprizornych zro-bitą para polskich reżyserów Hanna Polak i Andrzej Celiński, pod tytułem Dzieci z Leningradzkiego. W 2005 roku nominowany do Oscara w kategorii krótkometrażowego dokumentu.

indziej tak złożonych palców nie spotkał: kułak z kciukiem do góry i mały palec odstawiony w bok. Czasem gest bywa jeszcze bardziej wymowny, bo tym kułakiem czynią ruch, jakby kufel wychylali. Gdzie indziej pokazują „V”, czyli „zajaczka”, albo „fuck you” czy „O.K.”, a tutaj jeno nieme pytanie

O szyło. Którego mamy pod dostatkiem. Zatem machniom⁵⁶. W mgnieniu brzeg zaroił się muzykami. Jak spod ziemi wypełzali. Sania im szyło, oni nam ropę. Ręce się trzęsą, łyka nie wiążą.

Korzystam z chwili i zamieniam parę słów ze stróżem bazy, jedynym trzeźwym. Starzyk klnie szyło, muzyków i Jelcyna do kupy. Kiedyś za bu-melkę do Leśnej Rzeki zsyłali i tam wykańczali. Nie dziw, że się bali. A teraz, tfu, jebana mać. Nikt nic nie robi. Kanał zapuszczają, niedługo rzęsą zarośnie. Próbuję oponować, że tyle ofiar i w ogóle... Starzyk przerywa i macha ręką w stronę muzyków:

— Wszak oni tak czy owak powyždychają, a won-czas choć pożytek z nich był.

Mam wrażenie, że gdzieś to czytałem? Ależ tak, sto lat temu podróżował tędy etnograf Majnow. W jego książce pt. Podróż po Oboniezu i Karelii jest epizod, w którym autor rozmawia z miejscowymi muzykami o carskiej drodze. Na pytanie, czyż nie za dużo ludzi zginęło z woli cara, muzyki przyznali, że i owszem, bardzo dużo, ale jeśliby nie zginęli, to 1 drogi by nie było, a przecież i tak pomarliby, tutaj więc choć z pożytkiem dla dzieła oddali życie.

Na odchodnym zaglądam pod okap koślawej szopy z narzędziami. Tam, w cieniu, rozłożyli bre-

56 machniom — popularny zwrot, oznaczający zamianę. Ci, którzy pamiętają film Cztery pancerni i pies, będą wiedzieli, o co chodzi...

105

zent poplamiony ropą, na nim ogórek, czosnek i sól na zwitku gazety, pajdy razowego chleba, sło-nina i cała góra pieczonych linów. Już rozpili pierwszą kolejkę. Błogostan.

— A praca? — pytam.

— Naplewać — odpowiadają chórem.

30. Powienieckie Wschody

Siódma śluza — to początek Powienczanskiej Lestnicy, którą spolszczam na Powienieckie Wschody, chcąc przestarzałą formą „schodów” podkreślić ogrom budowli. Siedem śluz, jedna za drugą, niczym wielkie wodne stopnie, po których powoli schodzimy do Jeziora Onieżskiego.

Szósta śluza. Betonowa bania. Żar z nieba, ściany nagrzane.

Miedzy szóstą i piątą śluzą Powienczanka się rozlewa, tworząc niewielkie jeziorko. W dole migoce Oniego.

Piąta śluza. Upał zatyka.

Czwarta śluza. — Bla, żopa wysiadła! — Wasyli zowie żopą sputnikowy przyrząd do nawigacji, który powyżej 60° C wyłącza się.

Trzecia śluza. Stop, musimy czekać. Naprzeciw nam wyłazi wołgobałt, czarny i wielki. To już czwarty na naszej trasie, plus dziewięć naftorudowozów, nie licząc drobnicy i tych, które przepuściliśmy podczas postoju w riadwoicach oraz w czasie snu. Lecz to jeszcze nic, Sania opowiada, że w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, czyli w okresie tzw. „zastoju”, panował tutaj taki ruch, że statki całymi dobami oczekiwały w kolejce na śluzowa-

nie. Dlatego nie wierzę Solżenicynowi. Isajewicz był na Powienczanskiej Lestnicy w 1966 r. Planował przepłynąć Kanał na barce, bo —jak sam pisał— chciał się zmierzyć z „brygadą” Gorkiego, ale dokumenty sprawdzali, jego nazwisko od razu zrodziłoby podejrzenie, po co jedzie? Dla dobra Archipelagu GULag wolał nie ryzykować, więc przeszedł się wzdłuż paru śluz pieszo, na brzegu posiedział, z ochroną pogadał.

Wszystkiego spędził tu około ośmiu godzin. W tym czasie z Powieńca do Soroki przeszła jedna barka z drzewem. Z Soroki do Powieńca też jedna i też z drewnem. Isajewicz podliczył i wyszło mu zero.

Solżenicyn lubi zaokrąglać. Weźmy trupy. Porachował wedle słuchów, że tylko za zimę 1931-1932 sto tysięcy zeka na Kanale wymarło, a że Kanał budowali dwie zimy i jedno lato, to i wyszło ćwierć miliona. Iwan Czuchin, który wiele lat poświęcił historii Kanału, dotarł i do dokumentów, i do świadków, twierdzi, że na Kanale ogółem pracowało około ćwierci miliona zeka, a zginęło około stu tysięcy. Podobnie szacował Sołoniewicz, który tu siedział. Warto pamiętać te liczby, by rozróżniać, gdzie rośnie drzewo, gdzie „klukwa”.

Druga śluza. Most zwodzony, droga z Miedwie-żej Góry na Pialmę i Pudoż. Samochody, ludzie.

Pierwsza śluza. Ostatnia!

Ma betonowych palach koryta wychodzącego z Kanału do Jeziora Onieńskiego prażą się na słońcu smukło-smagłe ciała dziewcząt. Jedna z nich skacze do wody pod sam nos „Antura” i ze śmiechem się wynurza z drugiej strony. Sania oblizuje się i mówi, że zjadłby ją. Ja też.

Przed nami zwój błękitu, przestrzeni i światła: Oniego. Tak nazywali

dawniej Jezioro Onieżskie.

107

31. Oniego

Oniego na mapie przypomina mi wielkiego raka, który wylazł kiedyś z rzeki Świr (łączącej go długim chwostem z Jeziorem Ładożskim) i popęzł na północ — ku Morzu Białemu, aby raptem, w połowie drogi, objawszy kleszczami półwysep Zaonie-że — niby poduszkę — usnąć. Aczkolwiek w istocie rzeczy mają się na opak: to rzeka Świr wycieka z Oniego do Ładogi. A kształty raka wyrzeźbił lód.

Dawniej tu bowiem leżał lodowiec grubości ponad dwóch wiorst. Około dwunastu tysięcy lat temu lodowiec drgnął i jął się cofać na północ, tając i tłoczając relief swego odwrotu: podługowate szramy jezior i zatok, wyciągnięte przylądky, kamienne grzędy — selgi, karny i ozy. Lodowiec dźwigał się powoli, wiek za wiekiem. Geolog mówi, że na początku dziesiątego tysiąclecia przed naszą erą widać było jeszcze zarys jego zadu na dnie Oniego (mniej więcej pośrodku jeziora), a dopiero sześćset, osiemset lat później ostatecznie opuścił onieżską kotlinę i znikł na jej północnym skraju.

Innymi słowy, lodowiec dłużej formował Oniego niż historia — kształty Rosji. Nic dziwnego, że rysunek jeziora jest trwalszy.

Przyjrzyjmy się. Odwłok raka, czyli południowa część Oniego, jest mało wyrazisty: zatoki są tam łagodne, cyple — obłe, brzegi — płaskie, na nich las, błoto lub piach (u ujścia Andomy wydmy bieleją z dala jak płachty lnu na płocie) i tylko Biesów Nos się wypiętrza skałami koloru starej krwi.

Inaczej wygląda północna część Oniego, kleszcze raka. Tto istny azur przylądków, ostrowów i cieśnin, zatoki wrzynają się w głąb lądu, brzegi są

tutaj wysokie, dominuje kamień. Skąd taka różnica? Jedni mówią o pęknięciu tektonicznym, inni dowodzą.

108

że lodowiec stracił impet na starość, a mnie się wydaje, że co niektórzy artyści z biegiem lat stają się coraz bardziej wyrafinowani.

Z odejściem lodowca nieco pocieplało. Na brzegach Oniego pojawiła się zieleń. Najpierw mizeria a la tundra —jakieś porosty, mchy i krzaczki, potem karłowata brzoźka, paprocie i trawa, ni to tundra, ni step, wreszcie drzewa — sosna, brzoza i wiązy. Mniej więcej pod koniec siódmego, a może już na początku szóstego tysiąclecia przed naszą erą (uczeni, jak zwykle, są ostrożni...) nad Oniego rosła tajboła i zaczynały tworzyć się błota. Ryby w jeziorze pojawiły się wraz z wodorostami, z początku zimnolubne: łosoś, sieja, sielawa, palia, pstrąg, a za nimi reszta: szczupak, sandacz, okoń, miętus, leszcz, jaź, płoć... (ba, profesor Kessler naliczył aż czterdzieści trzy gatunki). Na lądzie pierwszy był ren, a zaraz za nim przyszedł człek. Inne ssaki pojawiły się potem.

Co do człeka, to zdania uczonych są podzielone, jedni twierdzą (Pankruszew), iż pierwsi ludzie deptali lodowcowi dosłownie po piętach i byli tu już na początku dziewiątego tysiąclecia przed naszą erą, inni dowodzą (Sawwatiejew), że to niemożliwe, bo surowy klimat i zbyt mało żywności nie dawały ludziom szansy na przeżycie w tamtym czasie. Przy tym argumenty zarówno jednych, jak i drugich są na wodzie pisane, poziom jeziora bowiem od tamtego czasu znacznie się obniżył (o ponad sześćdziesiąt metrów), a że ludzie pierwotni kopali swoje ziemianki nad wodą, archeolodzy nie bardzo wiedzą, gdzie szukać ich śladów.

I może jedynie w lustrze Oniego przetrwała pamięć o pierwszym

człowieku, który się w nim przejrzał.

109

32. Zatoka Powieniecka

Stajemy u mola. Po prawej nieco z tyłu — Po-wieniec... Zajdziemy tam w powrotnej drodze. A przed nami tafla bez zmarszczki. Ni wiewu. Pod stoncem słabo widać cypel Gażyj Nawołok, rozedrgane pasmo, za którym leży Miedgora. Aż się prosi iść na skrót, ale pacany, prążące się na kadłubie na pół zatopionego tankowca nieopodal mola, uprzedzają nas, że mielizna i lepiej się trzymać farwatera.

T&aak, łązega po jeziorze to nie to samo, co chodzenie po morzu. Tam przyływ, odpływ i można na małej wodzie popróbować szczęścia, a jeśli nawet przysiądziesz na łasze, to prędzej czy później przyływ cię ściągnie. A tutaj raz się nadziejesz na dno i... do widzenia. Jednakże Wasyli polega na mieczu i decyduje ściąć drogę. Pacany powątpiewają.

Ruszamy na małych obrotach. Miecz wypuszczony do końca. Woda jakby szkło: widać dno, piach, wielkie głazy, leżące to tu, to tam. My z Sa-nią na dziobie z drągami w ręku, odpychamy się, Wasyli wspomaga sterem, Wania pilnuje miecza. Motor ledwie pyrka... Droga się dłuży... Raz, drugi szorujemy o płyciznę, gasimy motor, podnosimy miecz na cał, spychamy się, znowu motor i znów szorujemy, gasimy, jeszcze cał, spychamy się, idziemy kawał na kołach jak na szczudłach, włączamy motor, niby nieco głębiej, ale znowu głaz, drągi zgrzytają... przeskoczyliśmy. Jeszcze jeden... dno ucieka w bok. Ciemno. Dna nie widać. Opuszczamy miecz. Uff, przeszliśmy.

Dalej też, niestety, drepjemy na dżinie (to znaczy na motorze — w języku Wasyla), o żaglu mowy nie ma. Flauta. Słońce dosłownie oszalało, niebo

jak spopielale. Co chwilę któryś z nas skacze do wody i ciąga się za jachtem na linie. Pęd wody zrywa z Wasi gacie.

— Ejże, gatki ruskiego muzyka!

Żal gaci, robimy pętlę... Pojawiły się gzy, żółto pręgowane bestie wielkości trzmieli. Tną do krwi. Przy rozdużaniu nieprzyjemnie trzeszczą. W mig kokpit pełen jest ich trupków.

Zza Gażego Nawołoka wysuwa się Kugożo-strow, na horyzoncie pagóry Miedgory. Oramiają północny kraniec Jeziora Onieżskiego.

Miedwieżja Góra coraz bliżej. Już widać port, wysokie dźwigi, hałdy węgla, wagony na bocznicy. W dole plaża, naród się kąpie, pisk dzieci. A ponad wszystkim góruje monstrualna wieża, jakby strażnicza, stercząca zza drzew.

Stajemy za falochronem z głazów, oddzielającym port od jeziora. Siódma wieczór, a słońce pali niemiłosiernie, odbite w wodzie o barwie niklu. Na głazie kobieta z wędką o twarzy przedwojennej in-teligentki. Oczy ma wyblakłe jak sprany perkal, głowę* zakutafa w białą chustę.

33. Miedgora

Z jeziora do centrum wiedzie ulica Kirowa. Popękany asfalt, drewniane domy. Kwitnie czeremcha.

Na skrzyżowaniu Kirowa i Sowieckiej parczek: cztery sosny, dwa klomby, ława i pomnik szeregowego Faniegina, który 30 czerwca 1943 roku powtórzył wyczyn Matrosowa. Po powrocie zapytałem Wasi, co to był za wyczyn? Wasia się szpetnie wy-

rugął i wyjaśnił, że Matrosow to przygtup, który własną piersią zasłonił

ambrazurę, zamiast tam granat rzucić. Przy pomniku na ławie śpi muzyk. Obok pusta butla po portwajnie.

Na końcu Kirowa dworzec zbudowany w 1916 roku. Z zewnątrz przypomina cerkiew prawosławną. Fiic dziwnego, że zeka, wychodząc z wagonu, żegnali się z rozmachem. W środku bar, woskowe światło —jak w Mocnych włóczęgach⁵⁷ Hoppera. Śpiewa Zemfira. Ba, jest pilzner z lodówki. Przysiadam się. Po drugiej stronie smutny makijaż i szklane oczy... Pytam o posiołek Arnoldów. Makijaż robi bardzo zdziwioną minę, nie słyszał o takim.

— A kogo szukasz, może znam?

— Kiedyś tam mieszkał Aleksiej Łosiew z żoną. W szklanych oczach pusto. Bo i skąd mogłaby znać? Wszak filozof Łosiew, pogrobowiec Srebrnego Wieku, żył tutaj jesienią 1933 roku, kiedy ani jej, ani jej rodziców na świecie jeszcze nie było.

Profesora Aleksieja Łosiewa aresztowali w 1930 roku za Dialektykę mitu... Po siedemnastu miesiącach Łubianki (z tego cztery w pojedynce!) najpierw trafił do Swirlagu, a potem do Miedwieżjej Góry. Po długich staraniach uzyskał zezwolenie na zamieszkanie z żoną w wynajętym pokoju w Arnol-dowym posiołku. W dzień pracował w „Monografii” łagiernej, oddziale zajmującym się historią budowy Kanału, a nocami pisał dziwne opowieści (w stylu Poego), w których łączył żanr dialogów platońskich z realiami Biełbałtłagu. Na przykład w Spotkaniu zeka dyskutują o muzyce i jej roli w nowym społeczeństwie. Sama zaś konstrukcja

⁵⁷ Mocni włóczędzy {Nighthawks} —to tytuł jednego z obrazów Edwarda

Hoppera, amerykańskiego malarza XX wieku.

112

opowieści, żal, że nie skończonej, przypomina Beethovenowską Sonatę op. 106, z jej czterema częściami Allegro, Scherzo, Adagio i niedopisaną Fugą, oraz refrenem:

Kak my lubim — oj-oj-oj! Ffasz wielikij Biełmorstroj!5a

Jeszcze zimą, gdy planowałem tę tropę, przełożyłem kawałek Spotkania, gdzie Aleksiej Łosiew opisał białą noc w Miedgorze. Brodząc teraz w opałowej poświacie, mogę porównać opis Łosiewa z rzeczywistością: „Była cudowna północna biała noc. Kocham tajemną i trwożną miłością, kocham północną białą noc. Kocham to długie, dręczące oczekiwanie, ów chłodny, hipnotyzujący półmrok, kiedy słońce tuż--tuż, dosłownie w tejże chwili się pojawi i... nie pojawia się. Nie pojawia! Coś niepokojącego i przenikliwego zarazem tli się w tym znużonym, sennym, biadoliła niebie, i żal mi się robi czegoś nieodwracalnego, bezzwrotnie utraconego, jak żal bywa jedynie, beztroskich i czystych dni dzieciństwa.

A zachód słońca zlewał się ze wschodem, oblewając nas złowieszczym, lecz nie ostrym, błękitnawym światłem, bez cienia cienia. Z jednej strony niezwykle uduchowienie, z drugiej nerwowa pobudliwość — oto jakim amalgamatem żyje owa magiczna, somnambuliczna biała północna noc. Oniryczny świat — oto jest tajemnica białej nocy. Niepokojąca i bezwolna, beznadziejna i męcząca — oto ona, straszna maska bytu, półsenny zwid rzeczywistości, majak bezsilnego absolutu".

58 Kak my lubim... wielki Bietmorstroj!

- Jak my kochamy — oj-oj-oj! / nasz

113

Anim się obejrzał, jak się znalazłem na ulicy Feliksa Dzierżyńskiego, przed zwidem domu, jako żywo ilustracją do Spotkania: przepotężne kolumny z szarego granitu, okna wysokie na dwa piętra i ślepe, fasada zmartwiała, boczne skrzydła w mroku, a na zwieńczeniu galeria podniebna w kształcie wieżyczki strażniczej, którą widzieliśmy z jeziora. Całość w monumentalnym stylu lat trzydziestych (lubię go). W sąsiedztwie bloków, tak zwanych chruszczówek, oraz drewnianych ruder sprzed wojny wygląda jak — dajmy na to — Pałac Kultury w Suwałkach. Paradne wejście zabite na głucho dechami, żadnej tablicy. Tylko z boku na drzwiach napis, że to... muzeum miejskie. Sądząc po zaledwie kilku „żywych” oknach, muzeum zajęło parę pomieszczeń w tym zwidzie, reszta jawnie „pustu-je”. W kępie czeremchy opodał, jakby się ukrywał, stoi pomniczek Kirowa. Mały jakiś.

W drodze powrotnej skwer (tam gdzie ulica Sowiecka przechodzi w Dzierżyńskiego), a na nim kiosk z piwem, czynny całą dobę, stoły pod odkrytym niebem i młodzież — miejscowa szpana. Tęgi Azer (a może Gruzin?) sprzedaje szaszłyki. Ryczy muzyka. W pobliżu cuchnie wychodek, w trawie poniewierają się jednorazowe strzykawki.

Im dalej od skweru, tym muzyka mniej wyraźna, aż mi się jęło zdawać, że tamten refren słyszę:

Kak my lubim — oj-oi-oi! Hasz wielikij Bielmorstroj!

34. Muzeum

W świetle dnia Miedgora traci. Ot, prowincjonalne miastko, jedno z wielu, jakie widywałem

w swych łąęgach po ruskiej głubince. Ulice koślawe, domy byle jakie,

ludzie szarzy, na twarzach — znużenie... I wszędzie brud, o którym niegdysiejsi podróżnicy pisali, że jawi się piątym żywiołem Rusi. Pierzchły gdzieś wabne zwidy i nocne przywidzenia, i nawet czeremcha dniem tak nie pachnie. Jedynie jaskrawe szyldy całodobowego sklepu (pełniącego rolę meliny) są tu nowinką — reklamy pepsi i snickersów. Tudzież gmach w guście „nowych ruskich” przy ulicy Sowieckiej. W nocy go nie zauważyłem, bo stoi na uboczu, za płotem, nieomal kościół — z czerwonej cegły, z krużgankami, z podcieniami, nie dokończony. — Zali to cerkiew wam tu budują? — zasięgam języka u przypadkowego przechodnia.

— Jaką cerkiew, jolki-palki — obruszył się — to miał być bank komercyjny. Za Gajdara go wy-machali, dosłownie w parę miesięcy, a jak Jegor Timurowicz wyleciał z rządu, to i oni splajtowali. Pó*stawili płot i dali nogę.

I kto by pomyślał, że w latach trzydziestych Miedgora była stolicą Białomorsko-Bałtyckiego Kombinatoru (l3BK), utworzonego w 1953 roku, zaraz po zakończeniu budowy Kanału. Do zadań BBK należała kolonizacja i eksploatacja terenów przyległych do trasy wodnej. Jego włości sięgały od Pietrozawodska do Murmańska i obejmowały przemysł wydobywczy, energetyczny oraz drzewny, a także fabryki, warsztaty i hale, linie kolejowe, stocznie, porty, żeglugę, zasoby ryb i zwierza leśnego. Innymi słowy, BBK nie tylko pochłonął całą Karelię, ale i władzę administracyjną w niej pochwycił. Było to prawdziwe państwo w państwie.

Ludność tego państwa była podzielona pod względem statusu i przywilejów. Jak w dawnej Rusi, gdzie i raby były, i smerdy, i cholopy, tak

i w BBK

115

żyli zeka i specposieleńcy, administracyjnozsylni, wolnozsylni i tuziemcy... A władali tym wszystkim czekiści, czyli bojarzy sowieckiego chowu. Przy tym zeka niegorzej się powodziło, w gorszym położeniu byli specposieleńcy, zesłani z całymi rodzinami pod dozór BBK, ci nie mieli nawet łagiernego przydziału żywnościowego — pajka. Każdy marzył o Miedgorze.

Miedwieżja Góra była najbardziej uprzywilejowanym miejscem Biełbałtłagu, który z kolei należał do najbardziej uprzywilejowanych łagrów w ZSRR. Dookoła Miedgory, w promieniu dwudziestu pięciu, trzydziestu kilometrów, rozmieszczono kilkadziesiąt manufaktur różnego typu: od szwalni

1 cechu meblarskiego do rzeźni i fermy mlecznej, w których parę tysięcy zeka pracowało na potrzeby „stolicy” (tylko oranżerie sowchozu Wiczka zajmowały dwa hektary ziemi pod szkłem). W samej zaś Miedgorze, na południe od dworca kolejowego, mieścił się wolny posiołek — tam był bar, klub, bazar i sklepy świetnie zaopatrzone „Gosspirit” oraz „Torgsin”. Słowem, wszystko jak się należy. Na brzegu jeziora (...w pobliżu miejsca naszego postoju) znajdował się ośrodek „Dynamo” i bufet z cenami kooperatywy GPU (to znaczy: półdarmo), wypożyczalnia łódek i koszy plażowych. Sołonie-wicz opisał, jak pewnego razu spotkał się tam z tow. Uspienskim, w tym czasie już naczelnikiem Biełbałtłagu. Obydwaj goli na plaży popijali koniak z lodem pod smakowity chłodnik i omawiali detale łagiernej spartakiady, którą Sołonie-wicz (zeka z art. 58) miał zorganizować. Jak to możliwe, pomyślisz, naczelnik łagru i zeka na plaży?

Goli? To niemożliwe!

Podobnie pewnie sądzili czytelnicy brytyjskiej gazety w groteskowej farsie Mister Stupid, wysta-

116

wionej w teatrze lagrowym. Jej tytułowy bohater, korespondent z Londynu, przyleciał do Biełbałtłagu, żeby znaleźć tutaj potwierdzenie pogłosek

o nieludzkim traktowaniu więźniów. Tymczasem trafił na zjazd przodowników pracy w Miedgorze, gdzie zeka karmili kanapkami z kawiozem. Gdy napisał o tym do swej gazety, to w Anglii pomyśleli, że biedak zwariował, Cha! Cha! Mikołaj An-cyfierow, który siedział wśród zeka na widowni, wspominał potem, że najśmieszniejsze było to, iż w rzeczy samej na zjazdach przodowników pracy dawano kanapki z czarną ikłą. Cha! Cha!

We wspomnieniach Z myśli o przeszłości Ancy-fierow nazywa Miedgorę „stolicą rosyjskiej inteligencji lat trzydziestych”. Kto tylko tu nie siedział? Filozof Meier studiował w łagrze Goethego i pisał traktat o Fauście, Łosiew wykładał teorię względności Einsteina, a Lichaczow zajmował się filologią błatnej fieni (tzn. osobliwościami złodziejskiego żargonu). Tutaj mieściło się Biuro Projektowe, w którym pracowali najlepsi sowieccy inżynierowie,

1 Klub Przyjaciół Książki, gdzie omawiano wydawnicze noVości (m.in. książkę Bachtina o Dostojew-skim), tu były dwa teatry dramatyczne i orkiestra symfoniczna (w której grały pierwsze skrzypce z Wiednia i dyrygowała mama mej znajomej z So-łówek), tu miała siedzibę redakcja gazety „Pierie-kowka”, posiadająca 3730 „łagkorów” (lagrowych

korespondentów), i tu działała znakomicie zaopatrzona biblioteka, tutaj była typografia i kino, atelier fotograficzne, stadion i muzeum krajoznawcze, którego twórcą był sam Nikołaj Pawłowicz.

W jego książce słysząc nutę nostalgii: „Być może ze wszystkiego, co tu opowiadam, najpiękniejsze były nasze ekspedycje w dni wolne od pracy. Ja sam je organizowałem przez wiele miesięcy. Na swoją odpowiedzialność brałem dwudziestu

117

z/k za pokwitowaniem i wędrowaliśmy całymi kilometrami poza łagier — w zależności od celu wycieczki. Archeologią kierował u nas Goriecki. Szukaliśmy resztek ceramiki neolitycznej, robiliśmy badania wykopaliskowe i w taki sposób uzupełnialiśmy zbiory naszego muzeum. Tb były szczęśliwe godziny, kiedy zapominaliśmy o niewoli i rozkoszowaliśmy się surową przyrodą, czytając przy ogniu poemat dekabrysty Glinki Karelia".

— Dzisiaj tu niewiele się ostało ze zbiorów profesora Ancyfierowa — mówi Jewgienij Osipowicz, przewodnik miejskiego muzeum — znaczną część wywieziono wraz z łagrem, coś przepadło, nieco ukradziono. Jewgienija Osipowicza narała mi sympatyczna Jelena Juriwna, zarządzająca zbiorami (...akredytacja paryskiej „Kultury" podziałała na nią jak perfumy Diora!). Specjalnie dla „korespondenta z Paryża" wezwała przez telefon autora jedynej czynnej wystawy, poświęconej historii Miedwieżjej Góry, i do jego przybycia bałamuciła mnie, aż strach. Przy okazji dowiedziałem się, że ten gmach-widmo zbudowano jako hotel dla... cudzoziemców! Którym chcieli pokazywać Bielbałtłag jako wzorcowy łagier w Sowietach.

Jewgienij Osipowicz Sz., na pierwszy rzut oka typowy zapijaczony inteligent z rosyjskiej prowincji, okazał się człowiekiem o maksymalnych horyzontach. Jego wystawa dziejów Miedwieżjegorska zaczyna się — ni mniej, ni więcej — od Wielkiego Wybuchu (narysowanego przez Jewgienija Osipowicza na planszy tuszem), bo od niego wszystko się było zaczęło. Obok, w gablotach pod szkłem, różne granity, bazalty i diabazy, tj. resztki tegoż Wybuchu. Dalej skorupy ceramik z neolitu (ani paleolit, ani mezolit nie zostawiły tu śladów), świadczące o przybyciu plemion ich używających z tere-

118

nów Oki i Wołgi. Dalej brązowe groty strzał i foty petroglifów saamskich, kawałek łodzi, łuk oraz para łapci karelskich, skrawek latopisu z najstarszą wzmianką o Karelach z 1143 roku i jakieś mo~ nastyrskie gramoty. Moją uwagę zwrócił duży portret Oziereckowskiego, pierwszego podróżnika po Obonieżu i tekst pod spodem — strzęp z jego książki, gdzie uczony opisuje miejsce położenia przyszłej Miedgory: „...a nieco dalej wpadają do jeziora dwie rzeki Kumsa i Wiczka, w pewnej odległości od ujścia tej drugiej leży porzucona huta żelaza kupca Olchina”.

— Pan słyszał o Oziereckowskim? — na licu Jewgienija Osipowicza malowało się zdumienie. Kiedy powiedziałem, że i owszem, i że od dłuższego czasu szukam jego Podróży po Jeziorze Ładoż-skim oraz Onieżskim z 1792 roku, to się roześmiał serdecznie i dał mi własny egzemplarz, zamiast przewodnika, na dalszą drogę. * W drugiej sali „trzy filary”, na których wzniosła się Miedgora: tartak Zachariewów, droga żelazna i Bielbałtąg. Ekspонатów niewiele: kilka pożółkłych fotografii kupców jak jabłka wiszących na drzewie genealogicznym (rysunek

Osipowicza, tusz), wycinki ze starych gazet o budowie linii kolejowej do Murmańska i rycina dworca (gdzie w nocy piłem pilznera), kilof, taczka i przecinak w kącie, makieta Kanału z tektury, tudzież parę numerów gazety „Stalinskaja trassa” (dawnej „Pie-riekowki”), program orkiestry symfonicznej i afisze z teatru NKWD w Miedwieżjej Górze, ogłoszenie o meczu piłkarskim pomiędzy miejscowym „Dynamem” i powienieckim „Udarnikiem”, kilkanaście zdjęć zeka i garść drobiazgów bez znaczenia. Za to trzecia, ostatnia sala — ba! Jak gdyby dalszy ciąg wczorajszej fantasmagorii. Znalazłem

119

się w klasie szkolnej sprzed lat, boja wiem, czterdziestu? Ławki z kałamarzami, tablica i kreda, jakieś wykresy i mapy na ścianach, globus z ogromną czerwoną plamą ZSRR na pół kuli, znajomy portret Iljicza Lenina nad drzwiami, Puszkina i Łomonosowa po bokach. Pociąłem krótkie spodnie. Ale najdziwniejsze były dwie wnęki w ścianie za tablicą, jakby dwa niewielkie pomieszczenia, w jednej z nich wnętrze kuchni z lat sześćdziesiątych, z kredensem, fajansami oraz maszyną do szycia na stole, a w drugiej pokój z tamtych lat — meblościanka z taniej sklejk, leżanka, makatka z łabędziem, telewizor i bajan. Okazuje się, że Osipowicz jest belfrem w miejscowej szkole, proszę usiąść, mówi do mnie, powtórzmy ostatnią lekcję historii Miedgory. Wspomniałem szkołę podstawową numer 66 przy ulicy Dembowskiego we Wrocławiu, ta sama ławka, jeno przykusa nieco, i ta sama woń. Czy mogłem wtedy pomyśleć, że będę się włóczył po północy Rosji, po wielkich jeziorach Karelii, że przejdę Kanał na jachcie? I że w ogóle jest taki Kanał? Zatkaną bajan... Nie, tego już za wiele! Osipowicz siedział we wnęce pokoju, grał na bajanie z

zamkniętymi oczami i śpiewał przeciągle o dzikiej Karelii. Wymknąłem się chyłkiem.

W drodze powrotnej zajrzałem do Uprawlenija Kanału po sąsiedzku, nad wejściem do budynku sowieckie godło, wewnątrz zapachniało kawą. Michaił Jakowlewicz Amigud, naczelnik Kanału, przyjął mnie z otwartymi ramionami. Niedawno słyszał mój wywiad w peterskim radiu i bardzo mu się spodobała parafraza de Custine'a, że przybyłem do Rosji jako przeciwnik rabskiego trudu, ale po przeżyciu w niej ośmiu lat nie jestem już taki pewny, że liberalna droga jest tu lepsza. Sekretarka wniosła kawę, koniak ormiański i cytrynę. Amigud

120

wyjął z szafy pancерnej wykresy Kanału, z nich wynikało, że największe natężenie ruchu było w latach 1965-1985, później nastąpił spadek do 1996 roku i krzywa znowu poszła w górę.

— A perspektywy na przyszłość?

— Kanał ma się dobrze, a nawet lepiej, chociaż różni demokraci chcieliby go zamknąć. Nie tak dawno Czubajs się przymierzał, jednakże Jelcyn powiedział: „Nie myśmy go otwierali, nie my go będziemy zamykać”.

Na pożegnanie Michaił Jakowlewicz podarował mi mapę Kanału, tylko prosił, bym jej odbiór pokwitował jako Dmitrijew, kapitan jachtu, bo to jeno do użytku służbowego i cudzoziemcom się nie należy.

Po obiedzie wychodzimy z Miedgory. Nasza tro-pa tnie Oniego z północy na południe*.

35. Szuńga

Bierzemy kurs na Paleostrow, trzymając się prawego brzegu jeziora.

Świetlistopopielata gła-

* W tym miejscu pisania mojej tropy doszła mnie wieść o śmierci Redaktora Giedroycia. Parę kolejnych rozdziałków napisałem jeszcze siłą rozpędu, ale wkrótce straciłem zapal. Pisząc bowiem dla „Kultury”, miałem wrażenie, że jestem wzrokiem Redaktora, że dla Miego penetruję północne rubieże Rosji, a On w swoich listach do mnie zadawał mi pytania, stawiał zadania, jednym słowem: inspirował mnie. Był moim pierwszym i najlepszym czytelnikiem... Po Jego śmierci „Kultura” przestała wychodzić, a ja jakiś czas rozmyślałem, aby w ogóle zarzucić pisanie. W końcu jednak redaktorzy „Rzeczpospolitej” przekonali mnie, bym publikował na jej łamach. Na początek dałem tych parę rozdziałków, napisanych z rozpędu. I rychło się połapałem, że ciągnąć dalej tę tropę jak kiedyś dla Redaktora — nie potrafię... Postanowiłem więc urwać ją, niejako w pół kroku (słowa) — tak jak zamilkła „Kultura”. A dla „Rzeczy” zacząłem pisać Dziennik północny.

121

dzizna Oniego w dali przechodzi w niebiosy. Po lewej Kużostrow, jakby zawisł w jasnej bezdni, na prawo Usow-Nawołok w sinej mgiele. Wiatru ni na lekarstwo. Słońce smaży.

Skwiercząc w kokpicie, kartkuję Podróż po Jeziorze Ladońskim oraz Onieńskim — pierwszą książkę o Karelii! Jej autor, Nikołaj Oziereckowski, podróżował wtedy w 1785 r. na malutkiej sojmie, prymitywnej łodzi żaglowej, używanej przez ładońskich rybaków. Tropą uczonego wiodła z Sankt Petersburga po Newie do Ładogi, tam skręcił na północ w kierunku ostrowa Koniewiec i poszedł wzdłuż zachodniego brzegu jeziora, odwiedzając przybrzeżne osiedla. Pobył na Walaamie i w Sorta-wale, po czym zawrócił na południe i trzymając się wschodniego

brzegu, dotarł do ujścia Swiru, przy okazji zajeżdżając do Ołońca. Rzeką Świr przedostał się do Jeziora Onieżskiego, które obszedł według ruchu wskazówek zegara (tj. w przeciwną stronę aniżeli my, tym samym nasze tropy nałożyły się —jak w lustrze...), zwiedził Pietrozawodsk i Zatokę Kondoposką, gdzie zostawił łódź i odprawił się w głąb lądu, aby obejrzyć wodospad Ki-wacz, huty w Konczozierie i Marcjalne Wody. Za-czem powrócił do łodzi i przez Kiży oraz Zaonieże dotarł do Powieńca, skąd się skierował na południe — do Pigmatki. Pobywał także w Wygorieckich skitach, w Szali i na Biesów Nosie, odwiedził mu-romski klasztor, w ujściu rzeki Andomy skrywał się od sztormu, potem lądem przedostał się do Wytie-gry, stamtąd ruszył z powrotem rzeką Świr do Ładogi i Newą do Sankt Petersburga. Po drodze zbierał informacje o kraju, minerały i zioła, zaglądał do archiwów, refektarzy i sztolni, gawędził z urzędnikami i z raskolnikami, z myśliwymi i z chłopami, z rybakami i z kupcami, zwiedzał miasta, sioła, pogosty i skity, zajmował się bytem ludu, zwyczajami, uprawą ziemi, notował przysłowia, nazwy narzędzi oraz lokalne terminy. Słowem — napisał książkę, którą dzisiejsi badacze Karelii nazywają „encyklopedią tego kraju”.

Idziemy mimo półwyspu Ażep, za nim wieś Szuńga. Odnajduję ją u Oziereckowskiego: „W szesnastu wiorstach od Tbłwujskiego pogostu, wśród Putkoziera na niewysokiej wyspie, w odległości wiorsty od Jeziora Onieżskiego leży pogost Szun-ski lub Szuńga. Pogost ten zasługuje na uwagę ze względu na cudne położenie i na dwa jarmarki, pierwszy odbywa się 6 stycznia, drugi 25 marca. I choć każdy z nich trwa nie dłużej niż tydzień, naród wali tam tłumnie, masa bogatych kupców przyjeżdża z

Tichwina i z drugich miast z rozmaitymi towarami na sto tysięcy rubli i więcej; ponadto sprzedają tam konie".

Sławę tych jarmarków Szuńga zawdzięczała zimowej drodze, która mimo niej przechodziła, łącząc Pomorze z Pudożem, Wytiegrą, Kargopolem, Ołońcem oraz miastami centralnej Rosji. Po zakończeniu każdego jarmarku tysiące podwód wywoziło z Szuńgi wytiegorski len do łopskich po-gostów, kargopolskie zboże do karelskich wsi, skóry fok i białomorską rybę do Nowogrodu i Ria-zania oraz żelazo do Tichwina. Po sobole przyjeżdżali tutaj handlarze z Moskwy i z Petersburga, na zagraniczne stoły trafiał stąd łosoś i głuszec, a pewien Żyd z Warszawy w 1860 roku skupił u miejscowych za bezcen dwadzieścia tysięcy srok. Zaonieżanie się dziwili, po co mu tyle srok, bo skąd mogli wiedzieć, że polskie modnisie sroczym piórem upiększały kapelusze.

Szuńga nie tylko jarmarkami słynęła. Jej mieszkańcy zapisali niejedną kartę latopisu Zaonieża:

122

123

w srogich bojach z polskimi panami i w sporach o starą wiarę, w chłopskich buntach i w raskolniczych „gariach”⁵⁹. Dzisiaj tu, niestety, ni jarmarku, ni wiary. A co do samospaleń, to w zaprzeszłym roku jeden muzyk po pijaku wraz z chałupą zgorzał. Jen o smalone walone po nim się ostały.

36. Paleostrow

Zza ostrowa Riecznego wychynął Paleostrow, podłużny skrawek ziemi u wejścia do Zatoki Tbl-wujskiej. W lornecie bieleją ruiny, niczym kości ogryzione słońcem, po lewej skalny występ, w tle skłębiona zielen.

Żadnego śladu życia...

— A więc tyle zostało ze słynnego monastynu, ostoji prawej wiary na Północy. Tylko tyle?

Z nielicznych gramot, zachowanych do naszych dni (resztę strawił ogień...), zwracają uwagę nadania Sielifonta Twierdisławicza, nowogrodzkiego bogacza, który w latach czterdziestych XV wieku ofiarował zaonieżskim mnichom obszerne tereny w Zaonieżu, w tym bogatą wyspę Palej — jądro posiadłości przyszłego klasztoru. Jego syn, Panfilij Sielifontowicz, posłował do króla polskiego Kazi-
59 gar' — potocznie: swąd, spalenzna, zgłiszcza... Jednakże staroobrzędowcy na Północy słowem gar' nazywali grupowe samospalenie. Dlatego w literaturze przedmiotu zwykło się gar' w znaczeniu samospalenia brać w cudzysłów i tym sposobem odróżniać ją od potocznego swądu... Pierwszą datowaną „gar''' zanotowano pod Ołońcem w 1676 roku. Potem była „gar' bierie-zowska" w 1687 roku, dwie „garie" na Paleostrowie — w marcu 1687 roku i listopadzie 1688 roku — oraz „gar''' w andomskim pogoście we wrześniu 1689 roku i w pudożskim pogoście w grudniu 1693 roku. Ogółem w Karelii samospaliło się nie mniej niż siedem tysięcy ludzi.

124

mierzą Jagiellonczyka z prośbą o pomoc w wojnie z Iwanem III, a po klęsce Nowogrodu zbiegł na Paleostrow, gdzie go bracia postrzygli w monachy.

Późniejsze akta są świadectwem ciągłych sporów o ziemie, łowiska i sioła między mnichami pa-leostrowskiego i muromskiego klasztoru — dwóch najpotężniejszych nad Jeziorem Onieżskim.

Potem przyszła smuta i raskoł.

Kronikarz pisał: „Polscy panowie tudzież ich bezwolni sprzymierzeńcy Litwini, zapiekli wrogowie Rosyjskiego Carstwa, judzeni przez szczwanych jezuitów, wykorzystali dogodną chwilę i najechali tłuszcą na naszą ojczyznę, nie szczędząc niczego świętego”. W 1612 roku oddziały tak zwanych litowskich worów⁶⁰ (tak nazywali tu ludzi pana Sidora i Baryszpolca) napadły na paleostrowski monastyr, grabiąc go i bezczeszcząc (za ołtarzem zrobili wychodek, strzelali do ikon).

Ledwie z jednego nieszczęścia klasztor się po-dzwignął, nadciągnęło drugie — raskolnicy. Dwukrotnie, w roku 1687 i 1689, Paleostrow zajmowali fanatycy samospalenia i urządzali tu „garie”. Za pierwszym razem spaliło się dwa tysiące siedemset ludzi, za drugim około dwóch tysięcy („aż im krew w żyłach wrzała i oczy popękały”), a przy okazji klasztor spalili do cna, cele i cerkwie, ikony, ornaty i mszały. Wybór Paleostrowa dla „garie” nie był przypadkowy, klasztor tutejszy od samego początku obrzędowych sporów popierał reformy Ni-kona (tu także zesłano, aby spalić na stosie, Pawła Kołomieńskiego — pierwszego męczennika za starą wiarę w Rosji).

I nigdy już klasztor paleostrowski nie osiągnął dawnej świetności, mimo że odbudowany z roz-

60 wor — złodziej.

125

machem, leżał na pąci z Petersburga do Sotówek — ni wkłady nie pomogły, ni datki. Duch „gari” do dziś unosi się nad wyspą. Jak swąd. Wchodzimy do paleostrowskiej buhty. Kiedyś była tu klasztorna przystań. W przezroczej toni wśród wodorostów omszałe bele (resztki

pomostu...?), telega na poły zaniesiona piachem, wielkie kamienie. Wasyli w obawie o jacht rzuca kotwę z daleka od brzegu i na wyspę wyłazimy, brodząc po pachwiny w wodzie. Dalej gąszcz borszczewika, wysokich roślin o miodowo-gorzkiej woni, które Wasia nie wiecieć czemu nazywa „pierdziniedź-wiedziem”. Z trudem torujemy sobie wśród nich drogę, żałując, że nie mamy maczety. W końcu docieramy do ruin klasztoru. Zieją na nas puste okna brackich cel.

Wewnątrz kupy gruzu, spleśniałe tynki, zgniłe stropy, zerwane schody... W jednej z cel na ścianie ktoś wydrapał wierszyk:

Czto takoje wiecznost' — eto bańka,

Wiecznost' — eto bańka z paukami.

Jeśli etu banku

Pozabudiet Mańka,

Czto że budiet s Rodinoj i s nami?⁶¹

Raptem, cóż to? Wyraźny, acz przytłumiony gomon⁶², jakby ciżba ludzi półgłosem mamrotała

⁶¹ Szto takoje wiecznost'... — „Co to takiego wieczność — to bańka, / wieczność — to bańka z pajakami. / Jeśli tę bańkę / zapomni Mańka, / to co będzie z Ojczyzną i z nami?”. Tb wierszyk Wawlena Tatarskiego, bohatera powieści Oeneration «P» Wiktora Pielewina. Aluzja do późnego Dostojewskiego wywołana piosenką rosyjskiej grupy rockowej DDT Czto takoje osień. Bańka to mata łaźnia.

⁶² gomon — według Doroszewskiego wyraz ten ma dwa znaczenia: „wrzawa, hałas, zwada, kłótnia, awantura”, albo też „bajeczny, hałaśliwy pochod zwierząt, roślin, kamieni”. W powyższym przypadku oba znaczenia pasują.

psalmy. Nieswojo się zrobiło, nasłuchujemy. Czyżby duchy samospaleńców? Gomon dobiega z góry. Jak na komendę unosimy głowy. A tam miriady komarów pod sklepieniem. Ukryły się blade od słońca i bzyką. Tten bzyk, zwielokrotniony przez echo w kamiennym sklepie, wzięliśmy za... modły raskolników. Wasia matem ryknął, długim jak trap do nieba.

Wyszliśmy na drugą stronę. Zwały bitej cegły, resztki muru z płaskich kamieni, gniazda baszt. Z każdej szczeliny wyrastają trawy, krzewy jagód, tu i ówdzie karelska brzoza puszcza pędy. Obok półokrągła ściana w suchych ostach, sprawdzam kierunek — na wschód. Pozostałości ołtarza. Na miejscu tronu Bożego wyrosła ogromniasta lipa, na miejscu ikonostasu — pustosze... W dole u ruczaju zdziczałe jabłonie. Pewnie ostatki klasztornej sadu. Wasyl z Wanią wracają na jacht gotować kolację, ja brodę po Paleostrowie, jakoby szukając pieczary świętobliwego Kornilija, legendarnego założyciela monastynu. Jednak tak naprawdę to chcę pobyć sam ze sobą. Ptaki drą się wniebogłosy. *

Jakże zawiłe fabuły tu się układają, ile w nich zbiegów okoliczności, szarad i wiców. Choćby związki Paleostrowa z Sołowkami. Tb przecież tu zaczął klasztorne życie inok Zosima, rodem z pobliskiego Zagubią (jeszcze w ubiegłym wieku na tołwuskim cmentarzu opodal cerkwi można było znaleźć mogiłę jego rodziców, teraz na miejscu cmentarza — klepisko, a cerkiew stoi zabita dechami). Tenże Zosima zasłynął później jako Zosima Sołowiecki —jeden z ojców założycieli klasztoru na Solówkach, inicjator wspólnoty zakonnej. A dwa i pół wieku później przybył na Paleostrow inok Ignatij z Sołówek z ćmą raskolników, aby tu

ogniem chrzcic braci... Ignatij byt nie tylko g  w-nym ideologiem samospale   w  r  d staroobrz  dowc  w, ale ponadto cieszyt si   staw   duchowego spadkobiercy starc  w sotowieckich, straconych za star   wiar   po kl  sce powstania 1668-1676 roku. Sam Ignatij cudem unikn  t   mierci, dwadzie  cia lat wat  sat si   po lasach i b  otach Karelii, propaguj  c oczyszczenie duszy w ogniu. Po upadku starej wiary w Moskwie — naucz  t Ignatij — czyli w Trzecim Rzymie, Sotowki sta  y si   Now   Jerozolim  , to znaczy ostatnim na ziemi bastionem prawej wiary. Zag  lada so  owieckiego klasztoru rozpocz  ta Er   Antychrysta...

37. Wasin barszcz

...nie domy  la  m rzeczy do ko  ca, bo mnie dolecia   zapach barszczu. Wasin barszcz! — to w  tek zawiesisty, zas  luguj  cy na osobny ust  p. A   dziw,   e go pomin  a  m w Kantn Nosie, bo towarzyszy   nam ju   tam. Przepis prosty: do gotuj  cej si   kartoszki, nie zlewaj  c wody, dodajesz koncentrat barszczu z puszki oraz duszon     osin  , mi  so g  gola lub edredona, na   morskiej pietruszki i gar  c dzikiego szczypioru, tudzie   przyprawy: bazyli  , li  c laurowy, cz  aber, ziele angielskie, tymianek, ja  owiec, pieprz i s  l, a na ko  cu majonez lub   mietan  . Zar  wno smak, jak i aromat barszcz zawdzi  cza dziczy  źnie, jej podniebiennym zaletom. Jednak naprawd   doceni  c gor  cy barszcz z okami t  uszczu potrafi ten jedynie, kto raz przemarz   do ko  ci na morzu Dalekiej P  łnocy.

Po kolacji ruszamy dalej.

Zrazu na wsch  d, aby omin  c Sa  lostrow i Klim Nos, potem na po  udnie, wzd  u   Zaonie  a. Nareszcie zacz  to dmucha  c. Stawiamy   agle. Po prawej

bezgłośnie, jakby w niemym filmie, suną w nocnym oparze wyspy, zatoki i cypłe. Gdzieniegdzie rybacka kleć.

Dochodzi północ.

Bieżymy „tropą łódki Vainamóinena” — tak nazywają tutaj błyszczące pasmo nieruchomej wody pośród chetbi — naprzeciw pyzatemu księżycowi... Za nami nisko jarzy się złota tarcza słońca.

38. Olenie ostrowy

Karelia ma oczy koloru Oniego: czasem sine z metalicznym pobłyskiem • (lub podsiniaczone...), niekiedy zielono fluoryzują, bywają złote.

•

Bodaj Thóreau zauważył,
że jezioro jest najwspanialszą częścią
krajobrazu — okiem ziemi —
i że zaglądając w nie,
możemy zmierzyć głębokość swej duszy.

Patrząc zatem w toń Oniego,
nie tylko poznajesz dzieje Karelii,
odbite w niej jak w lustrze,
ale i własną duszę zgłębiasz, wracając
do źródeł.

Na powierzchni cóż widać? Pozostałości ze złudzeń totalitarnych XX wieku: kłęby drutu kolczastego, przegniłe wieżyczki strażnicze, ścianę baraku.

129

czasem ludzkie kości. Nieco głębiej się wpatrując, zobaczysz szczątki starych i nowych wiar, i to, co zostało z walk pomiędzy nimi: ruiny

cerkwi, opustoszałe skity, zmurszały krzyż. Jeszcze głębiej dojrzysz ślady kolonizatorów, cywilizatorów i nawró-cicieli wszelkiej maści: wołoki i trakty porośnięte trawą, resztki ostrogów, ostatki szańca. Czasami też mignie jakieś dawne wyrobisko albo zarys wyrębu, to jedyne oznaki praktycznej działalności człowieka. A na dnie tego oka majaczą (ledwie widoczne...) rysunki naskalne pierwotnych artystów i groby myśliwych z mezolitu.

Ot, ostrowy Olenie — ku którym zmierzamy

— dwa niewielkie kęsy lądu, jakby oderwane od ogromnej wyspy Klimienieckiej, leżące] w rozwidleniu kleszczy onieżskiego raka. Na jednym z nich

— południowym — z niepamiętnych czasów chałupniczo dobywano wapień, o czym świadczą jamy starych wyrobisk. Nikołaj Oziereckowski pisał: „Pod samą powierzchnią ziemi zalega tam kamień wapienny, szarej, białej i czerwonej barwy, z którego wypalają wapno dla pietrozawodskich hut”.

Po rewolucji do wydobycia i obróbkę wapnia rozpoczęto na skalę przemysłową — rękami krasnych Finów⁶³. W latach trzydziestych, gdy koniunktura polityczna się zmieniła, kolonię krasnych Finów przemieniono w łagier, natomiast rodzaj zajęć się nie zmienił. Wciąż dobywali tam wapień.

I oto, pod koniec maja 1936 roku, do Moskwy dotarła wiadomość, że zeka na Południowym Ole-nim w trakcie prac dobywczych wygrzebuja ludzkie 63 kraśni Finowie — słowo „krasny”, wbrew pozorom, pochodzi ze Słownika języka polskiego pod redakcją Witolda Doroszewskiego i posiada dwa znaczenia: czerwony i piękny. W stosunku do Finów chodzi o kolor ich politycznych sympatii, nie zaś o urodę.

czerepy i kości... Profesor Ravdonikas, wybitny archeolog Północy, od razu docenił wagę znalezisk; Ekspedycja naukowa pod jego okiem trzy lata wzięcie kopania (ramię w ramię z zaka...), i w końcu odkryto cmentarz z epoki kamiennej, tak z niego „olenieostrowski mogilnik”.

Cmentarzysko, zaiste, niezwykle! Wyobraź sobie na ćwierci hektara sto czterdzieści jeden cmentów, w nich leżą lub stoją ludzkie szczątki (olenieostrowskie wertykalne pochówki nie mają analogii na świecie), na głębokości półtora łokcia pod ziemią — czasem po dwa albo trzy w jednej jamie. Oprócz czerepów i kości ludzkich w jamie znaleziono też noże i oszpece z łupka, krzemienie groty strzał i dziuraków, harpuny z rogów renów, i dęgi z kości łosi, niedźwiedzie kły, siekacze browe oraz rzeźby z rogu: ludzkie figurki, łosie totemy falliczne i żmije. Jamy były zasypane żółcią tak obficie, że kości pokraśniały. Żółć to symbol ognia, niezbędnego na Północy po stronach grobu.

Bo tropa łowcy na Północy nie kończy się w momencie jego śmiercią po tej stronie, lecz przechodzi — niczym wstęga Möbiusa — na tamtą.

Uczniowie do dzisiaj się kłócą zarówno o datę cmentarza, jak i o pochodzenie ludu, który kiedyś w nim został. Mnie najbardziej przekonuje teoria o mezolocie, uzasadniana brakiem ceramiki w kopalisku. Byłby to więc najstarszy ślad człowieka na tych terenach, jakieś sześć, pięć tysięcy lat naszej ery (ryty naskalne na Bieszczadach Nosiąg pochodzą z neolitu). Natomiast skąd się wzięli właściciele tych czaszek i kości? — niejasne. Jedni twierdzą, że przykoczowali tu ze wschodu zaręba inni, że z Bałtyku. Wykopaliska nie dały odpowiedzi na pytanie, gdzie żyli, zanim zma-

Żadnych osad na Południowym Olenim nie odkopano. Być może zamieszkiwali ostrów Klimieniec-ki? Może Zaonieże?

Jak żyli? Hm... I na ten temat niewiele wiadomo. Coś niecoś można wnioskować z przedmiotów znalezionych w grobach, coś jeszcze dopowiedzieć przez analogię z życiem plemion północnych, które znamy z etnografii. Ziemi nie uprawiali, zresztą ziemia tu, pozał się Boże, skała, porosty i mech. I renów nie hodowali, bo z renami trzeba koczować, a cmentarz świadczy, że siedzieli na miejscu. Mężczyźni zajmowali się głównie polowaniem (tylko grotów do strzał znaleziono w grobach osiem rodzajów) i rybołówstwem, kobiety zbierały jaja, jagody, grzyby, korzenie i trawy. Rytm życia ole-nieostrowców odmierzały sezony przyrody: przeloty i linka ptaków, tarło ryb, migracje renów. Znali przywyczki łosi, szlaki kun i miejsce barłogu niedźwiedzia, wiedzieli, którędy zwierzę zmierza do wodopoju i gdzie się przeprawia przez rzekę — tam stawiali łownie, kopali doły, rozpinali sieci. Naj-głodniejszym okresem był dla nich grudzień, styczeń i luty. W marcu śnieg w lesie twardniał już na tyle, że utrzymywał ciężar człowieka, łamiąc się pod łosiem, co ułatwiało pogoń za zwierzęciem. W kwietniu przylatywały ptaki wodne. W maju ryba na tarło podchodziła do brzegu, następowało lato, obfite w białko i witaminy. Potem syta jesień, pora powrotu ptaków i reniferów (to pora robienia zapasów), i znowu zima — sezon na futerkowe. Nie dziw, że łowcy mezolitu czcili zwierzęta — ich mięsem się żywili, w ich skóry się odziewali i mościli nimi ziemianki, a z ich kości robili narzędzia, amulety i ozdoby.

Azaliż to nie paradoks, że o życiu olenieostrowców, podobnie jak o życiu Minojczyków i Etrusków

— o których pisał Zbigniew Herbert — opowiadają nam „ciche zatoki śmierci, owe rozległe nekropole, grobowce, trwalsze niż domy żywych”? Wpół do trzeciej... Stajemy w cieśninie, oddzielającej Północny Oleni od wyspy Klimienieckiej. Słońce struży się cynobrem, kładąc cienie drzew na wodzie. Pijemy czaj i do koi. Zasypiając, ni z tego, ni z owego, wspomniałem czum⁶⁴ na Ja-male, w którym nocowałem dobrych parę lat temu, ale do teraz pamiętam to — doprawdy! — niesamowite wrażenie, jakbym wrócił do siebie. Do archetypu domu... Do wnętrza matki... Bo ja wiem?

39. Kizski naszyjnik

— Bla, bla, bla — rozbudziło mnie. Po każdej „bladzi” — pac! pac! pac! Wyglądam przez luk, tam Wasyli, półnagi, szaleje w kokpicie, dosłownie oblepiony czarną, ruchliwą masą... Zanim zrozumiałem, co się dzieje, tuczą komarów, moszkary i ślepaków, bzyząc i żużżąc, oblepiła i mnie. — Kryj się — ryknął Wasia i zniknął pod pokładem. Kopnąłem się jego śladem po omacku (moszka mi w oczy zalazła!). Tuczą za nami. Bój w kubryku. Na oślep, jak leci, wyduszamy pluga-stwo, które kasa, żądli, tnie... Zajadłe są zwłaszcza ogromniaste muchy o zielonych oczach, jakby powleczonych odblaskową farbą. Czyżby to słynna barma, o której wspominał etnograf Majnow, pisząc, że „...jest to jeden z miejscowych owadów, mucha sporych rozmiarów, większa od ślepaka

⁶⁴ czum — według Doroszewskiego: „namiot zrobiony ze skór renów”. Swojego czasu parę nocy spałem w czumie i mogę zapewnić, że w żadnym domu nie czułem się tak przytulnie i bezpiecznie. Być może to atawizm...

i wcale niewybredna w żarciu, dlatego z równym zapalem wtyka swoje żądło i w pysk konia, i w zgrubiałą szyję woźnicy, i wydelikacaną skórę wielmo-żej fizjonomii". Rozduszona w palcach lekko cieknie... Ohyda! Spoglądam na się do lustra — nie człek, a pałuba. Twarz się rozlazła na różne strony i rozpuchła, oko zaciekło. Wasia z Wanią w nie lepszym stanie. O wyjściu na brzeg mowy nie ma. Byleby się wybrać stąd! Zawijamy głowy w ręczniki (jak w kukieł), wskakujemy na pokład, zrywamy kotwicę i ruszamy z kopyta, ile mocy w dżinie.

Osiny na Olenim ostrowie migotają srebrnymi pniami, jak przydrożne panienki udami w mini.

Po chwili musimy zwolnić. Robi się płytko. Północny koniec Wielkiej Klimienieckiej, którą okrążamy, aby wyjść na kiżski farwater, rozmnienia się na drobne ostrowki i łudy, pomiędzy nimi mielizny, widać dno, szuwary.

— Koty w zęby — komenderuje Wasyli — pójdziemy na pych.

Słońce wibruje, bąki zajadle żrą. Drepcemy na kołach, powolutku — pych za pychem... Pot pod ręcznikiem ścieka, dłonie, wystawione na ukąszenia, przypominają krwiste befsztyki. Wasyli opowiada, jak w dzieciństwie jeździł z ojcem po siano na brzeg Ładogi, znosili je do łodzi w nosiłkach, obie ręce mieli więc zajęte, i zanim do wody dobiegali, broczyli krwią.

Tak, tak — owady na Północy nie pozwalają latem ni na moment zapomnieć o ciele. Patrzysz na cuda przyrody wokoło — na czermień⁶⁵ na mła-

⁶⁵ czermień — według Doroszewskiego: „Calla, roślina z rodziny obrazkowatych (Araceae), o czołgających się kłęczach, liściach

dlugoogonkowych, sercowatych i o kwiatostanach kolbo-watych, otoczonych białą pochwą; rośnie na terenach bagnistych".

134

ce66 lub na miesiąc w mieni — a ciało cię swędzi, boli i jątrzy się. Żadnej kontemplacji, żadnego bycia samym czystym patrzeniem na granicy ja i nie-ja. Tutaj cię ciało do siebie przywoła, nawet gdy na chwilę odlecis. A odlecieć można! W krąg krasa. Wszak znajdujemy się pośrodku Kizskiego Naszyjnika, archipelagu złożonego z dziesiątków mniejszych i większych wysepek — ozdoby Zaonieża.

Po prawej długa wyspa — mój imiennik — Woł-kostrow, słynący szlachetnymi kamieniami: agatem, szarym topazem i chalcedonem, hiacyntem, druzami górskiego kryształu i ametystem. Ten ostatni był ceniony (m.in. przez Katarzynę Wielką) i wiele wyrobów z niego można dzisiaj podziwiać w Ermitażu. Szczególnie poszukiwany był ametyst lilaróż z igiełkami getytu — minerał odkryty na Wołkostrowie i pierwotnie zwany onigitem — od Oniego, potem fułlonitem — od nazwiska jednego z "naczelników ołonieckich, w końcu getytem — na cześć niemieckiego poety. Żal naczelnika, że nie przeszedł, Goethe przeszedłby i tak.

Tia lewo ód Wołkostrowa sznur wysepek, zza których wygląda główny klejnot Kizskiego Naszyjnika — ostrów Kiży — ogromny skansen drewnianej architektury Zaonieża, odwiedzany rokrocznie przez tłumy turystów z całego świata (kiedyś spotkałem tam dwóch Boliwijczyków!), nie mówiąc już o Rosjanach — dla nich wizyta na Kiży to spotkanie z własną, odległą przeszłością, zastygłą w „bajce kopuł” cerkwi

Przemienienia i w „bukiecie ce-

Zali owa słownikowa definicja nie sugeruje cudu przyrody? A co dopiero

zobaczyć taką białą pochwę na młacie na żywo!

66 młaka — według Doroszewskiego: „bagnisty podmokły teren, porośnięty mchem, turzycami itp. roślinnością bagienną, płytkie zbiorowisko wody stojącej”.

135

bul" pokrowskiego chramu, w zrębach starych domów (który z Rosjan wie dzisiaj, czym się różnią zręby „w obło” i „w łapę?”), i we wzorach precudnych przyczelin⁶⁷, w kształcie sprzętów, w formach łodzi... Na tle rozjarzonego błękitu ukazuje się niezwyklej profil kiżskiego ansamblu — jakby z papier mache? Do przystani chwila chodu, czas na słowo o dziejach wyspy Kiży.

40. Kiży

W nazwie wyspy można usłyszeć odgłosy ka-relskiego kizat — to znaczy igrzyska, pogańskiej zabawy. W piśmie Kiży pojawiły się pierwszy raz w nowogrodzkich księgach podatkowych jako „spasskij kiżskij pogost”, zatem od razu w roli jednego z głównych centrów życia religijnego oraz administracyjnego Zaonieża.

W XVI wieku kiżski pogost obejmował już sto trzydzieści wsi, rozsianych na pobliskich ostrowach i brzegu. Ma wyspie siedzieli przedstawiciele władzy oraz Cerkwi, stali strzelcy garnizonem, tudzież odbywały się różne schodyTM, jarmarki, święta i hulanki... Od rana do wieczora na Kiżach wrzało, muzyki z okolic zjeżdżali na łódkach, narodu co niemiara wszędzie — i w sklepach, i w składach, w karczmie, w izbie sądowej i w cerkwi.

Później zaczęły się biedy. Najpierw, pod koniec XVI wieku, najechali Szwedzi i puścili z dymem połowę zagród. Potem, podczas smuty, łupił

pogost każdy, kto się nie lenił (nie obyło się bez udziału

67 przyczelina — deska osłaniająca od gnicia występy belek dachowych, zazwyczaj fantazyjnie rzeźbiona.

68 schód — zebranie gminne.

136

Polaków od Samozwańca). Lecz najdotkliwiej uderzyły w kiżan ukazy Piotra I, którymi car przypisywał ich do ołonieckich hut, praktycznie oddając w rabstwo cudzoziemskim zarządom. Mieszkańcy kiżskiego pogostu nie tylko przymusowo odrabiali pogłówny podatek przy dobiegu rud i wypalaniu węgla drzewnego w okresie posiewu, sianokosu i żniw, zaniedbując własne pola i łąki, ale płacili też daninę na pokrycie ubytków nierentownych zakładów oraz grzywny za sąsiadów zbiegłych z robót.

„Knutem w ryzach ich nie utrzymać, wieszać grzech” — uzasadniał grzywny inżynier Willim Hen-nin (jeden z twórców metalurgii w Rosji, przywieziony przez Piotra Wielkiego z Holandii), poczytując za grzech nie zabicie człowieka, lecz utratę siły roboczej...

Nie dziw, że w Zaonieżu często wybuchały chłopskie bunty, w których pierwsze skrzypce z reguły grali kiżanie. Zdesperowani i głodni (w latach nieurodzajów jadali korę sosnową) nie wychodzili do pracy, zbiegali do raskolników całymi wsiami (opustoszałą zagrody, zapuszczone pola jak po zagonie tatarskim), czasem też chwyтали za broń. Jak w ru-chawce z lat 1769-1771, która weszła do historii Zaonieża pod nazwą kiżskiego powstania — największej rebelii chłopskiej na Północy.

Poszło o czarny marmur z okolic Tiwdii — co mogłoby zainteresować historyków sztuki — jego dobiegu na budowę soboru Świętego Izaaka w Petersburgu chciała wymusić na zaonieżskich muzykach Katarzyna II.

Muzyki początkowo odmówili roboty, potem wzięli za kosy i widły. Rebelia w okamgnieniu rozlała się po Zaonieżu. Różnych per-swazyj próbowała caryca — to dybów, to knuta — nic nie pomagało. W końcu sięgnęła do gróźb: „...kto zaś nie okaże skruchy i nie wróci w rabską

137

swoją powinność, tego uznajemy za burzyciela przeciw imperatorskiej naszej woli i gniewu naszego nie ujdzie" (pojęcie „rabska powinność" w ukazie Katarzyny celnie oddaje stosunek państwa rosyjskiego do poddanych — od Iwanów do Stalina). A kiedy i to nie poskutkowało, książę Iwan Urusow wygarnął z kartaczy do dwóch tysięcy kizan zebranych u cerkwi. Zginęło pięciu ludzi. Reszta spokojnie.

Burzycielom wyrwano nozdrza, na czole wypalono „W", na prawym policzku „O", na lewym „Z" (czytajcie: wozmutitel⁶⁹) i zesłano do kopalni srebra w Nerczyńsku...

Dalsze dzieje kizskiego pogostu są mniej ciekawe, Oziereckowski napomknął o nim półgębkiem i z błędem, pisząc o dwudziestu trzech (zamiast dwudziestu dwóch) kopułach Przeobrażeń-skiej cerkwi (Przemienienia Pańskiego). Potem raz jeszcze, w czasie walki Stalina z Panem Bogiem, kizanie wspomnieli swoje buntownicze tradycje, gardłując wbrew tow. Stalinowi za Panem Bogiem (w głosowaniu za zamknięciem cerkwi Przeobra-żeńskiej ponad tysiąc kizan było przeciw i ledwie osiemdziesięciu — za), lecz wystarczyło rozstrzelać popa Pietuchowa, aby znów spokornieli. I dopiero otwarcie na wyspie muzeum drewnianego budownictwa przywróciło jej dawny splendor...

Dzi enni k północny 2001-2002

69 wozmutitel — buntownik.

Solówki, 21 października

Dziennik ma wiele wspólnego z tropą... Jedną z cech, która łączy obydwie żanry, jest „dotrwanie do końca, do momentu, kiedy naprawdę nie można już utrzymać pióra w ręce” —jak pisa! Herling--Grudziński.

22 października

Inną cechą tropy jest samotność. W szalamow-skiej Tropie bohater wydeptuje swoją ścieżkę w tajdze, zbierając susz na opaf. Z początku żal mu krasnych konwalii, irysów, podobnych do wielkich liliowych motyli, i przebiśniegów, nieprzyjemnie chrzęszczących pod nogami, ale potem tropa się udeptuje, ciemnieje i zaczyna przypominać zwyczajną górską ścieżkę. Chodząc nią co dzień wte i nazad, można nie tylko podziwiać szczegóły — ślady tap zajęczych, pismo klinowe kuropatw tudzież krzak dzikiej róży — lecz i wiersz wychodzić, dostosowując miarę kroku do rytmu języka. Dopiero gdy na twojej tropie pokaże się odcisk cudzego buta, wiersze przestają wychodzić i tropa jest bezpowrotnie stracona.

141

Wątek tropy, łączy ścieżkę z pisanem, pojawia się także w opowiadaniu Po śniegu. Ten niewielki, bo zaledwie półstronicowy tekst, otwiera Opowiadania kołymskie, a znając pieczołowitość Warłama Tichonowicza w konstruowaniu zbioru, można wnioskować, że jest do niego kluczem. Sza-lamow opowiada, jak wydeptują drogę w śnieżnej caliźnie. Najpierw idzie jeden człowiek, pocąc się i klnąc, i z trudem przekłada nogi, raz po raz zapadając się w śnieg. Czasem człek przysiada, zapala skręta z machorki, odpoczywa, po czym rusza dalej, a obłoczek dymu długo jeszcze stoi w stężałym powietrzu. Za nim podąża pięciu, sześciu ludzi, ramię w ramię, i poszerza ślad pierwszego, by udeptać drogę dla traktorów

i koni. Przy tym każdy, nawet najsłabszy — podkreśla Szalamow — stąpa po świeżym śniegu, nie w cudzy ślad.

I raptem, ostatnie zdanie jak wystrzał — puenta: „A na traktorach i koniach jeżdżą nie pisarze, lecz czytelnicy”.

27 października

Rosyjska tropa pochodzi od starej formy tro-pat — deptać. Zatem tropa to ścieżka wydeptana przez człeka lub zwierzę. Używając tropy, zamiast „drogi”, podkreślam czynność deptania samo-pas, niekorzystania z gotowego szlaku. Wasyli mówi, że prawdziwy myśliwy chadza w pojedynkę i wydeptuje w tajdze własną tropę, która oddaje jego charakter. Ha przykład człek skryty, ponurak chodzi jarami, cieniem, gęstwina, natomiast wesołek wiedzie swą tropę skrajem lasu, zboczem, gdzie dużo słońca. Kiedy więc piszemy życie — polując na słowa... — to także, po jakimś czasie, wydeptujemy własną tropę — swój styl.

142

Zresztą, wydeptywać można nie tylko ścieżkę w tajdze oraz dukty w słowach, ale i winogrona na wino, wyciskając z nich sok.

2 listopada

Czytelnicy „Plusa-Minusa” pytają mnie w listach, co z Karelską tropą?

Kiedy będzie dalszy ciąg?

Cóż, mozę się nad nią. Problem w tym, że im głębiej wchodzę w temat, tym bardziej grzęznę. Zaczynając tę włóczęgę, nie przypuszczałem, że droga zawiedzie mnie tak daleko. Z początku miały to być zwykłe zapiski z wędrówki (w stylu: Czukcza śpiewa o tym — co widzi...), z niewielkimi ekskursami w historię, archeologię czy etnografię, jednakże w trakcie pisania wciągnęło mnie. Zassało!

* Słowem, zawieruszyłem się w Karelii, zarówno w jej błotnistych bezdrożach (w tym roku odbyłem trzy wyprawy po miejscach, gdzie diabeł mówi dobranoc), jak i w tekstach o niej (począwszy od relacji podróżników, etnografów i kupców, a kończąc na pożółkłych rocznikach „Ołonieckich Jeparchi-jalnych Wiedomostiej” czy „Izwestij Obszczestwa Izuczenija Ołonieckoj Gubernii”). I jeśli by nie czytelnicy, przynaglający co jakiś czas, to bym się z tego oczarowania Karelią nie wywieruszał nigdy. Jedynym wyjściem była zmiana żanru, tym bardziej, że od naszej wyprawy sporo czasu minęło (...w tym czasie umarł Redaktor), a sama tropa pobiegła w inną — aniżeli myślałem — stronę. Teraz ją lepiej wieść w dzienniku.

Przypomnę więc, że rozstaliśmy się na wyspie Kiży.

143

— Pierwszy wieniec wyznacza rytm zrębu, jak pierwsza fraza rozmiar wiersza — mówi Jura Nau-mow, porównując ciesielkę do poezji.

Jura pracuje w kiżskim muzeum, posiada stary dom na wyspie Jegtowo i sporo fantazji. Poznaliśmy się kiedyś w Zaonieżu, lecz o tym gdzie indziej opowiem. Tutaj łazimy z nim po kiżskim skansenie, w znoju słonecznym i w tuczy gzów, co rusz nas mijają jakieś wycieczki — to grupa Finów, to inna Czudź — w powietrzu unoszą się zapachy murszu i świeżego siana. Łazimy niespiesznie, bo nikt nas nie goni (żaden gid...), to lubujemy się widokami, to zaglądamy do starych domów, zwiezionych tu z okolicznych ostrowów i siół, to podziwiamy drewniane owiny⁷⁰, ambary⁷¹ i gumna, młyny i banie karelskie.

Drewno i drewno, i jeszcze raz drewno — jak motyw wiodący, osnowa fabuły — drewno wymoczone deszczami i drewno wysuszone na słońcu,

drewno wychłostane wiatrem i drewno wysieczone gradem, myte od święta i zapuszczone na co dzień, skore do ognia i wytrzymałe na mrozy, ciepłe w dotyku i twarde na dotyk... Gdzie nie spojrzysz, drewno widnieje: 70 owiń — rodzaj stodoły. Zarówno owiny, jak i ambary pozostawiam w rosyjskiej wersji, gdyż to jednak nie to samo, co polskie stodoły tudzież składy. Wiejska drewniana architektura na północy Rosji, różnorodność i różnofunkcyjność budynków gospodarczych, związana z odmiennymi od polskich warunkami klimatycznymi oraz tradycją rolniczą, sprawiają, że prosty przekład wyrazu z jednego języka na drugi mógłby sugerować czytelnikowi, że ma do czynienia z elementami tej samej rzeczywistości, podczas gdy w istocie rzeczy są to dwa zupełnie różne światy.

Pozostawiając owiny i ambary w wersji tuziemnej, ryzykuję wprowadzić, że nie każdy zrozumie, o co chodzi, lecz unikam za to sytuacji, że zrozumie nie to, o co chodzi.

71 ambar — rodzaj spichrza lub składu. Fktrz wyżej.

144

ściany są z drewna, i podłogi, i pułap, i słup piecowy, i ławy, i ławki, i póły, i półeczki, komoda, bufet i stół, i łubiana lulka⁷², kaduszki, uszaty i szajki (cebrzyki, szafliki i putnie), tudzież łyżki, misy i kubki, i bramy, i płoty, i żerdzie do suszenia sieci, i brony, i sochy, i sanie, i wozy, i łodzie, i grzędy w ogrodzie, żuraw u studni, wygodka z serduszkim i mostki (po których się chodzi), i nawet niebo nad głową ma * barwę drewna spłowiałego od słońca.

Ba —

barwy drewna,

paleta drewniana:

od srebrnopopielatych odcieni osiny
i miodowozłotych tonów sośniny
do grynszpanowych omszeń
i bieli bieli.

Haumow opowiada, jak dawniej budowali na północy Rusi. Dewiza
majstrów ciesiołki — rubit'

72 lubiana lulka — kolebka z łubu. Wprawdzie można by posłużyć się
słowem polskim, ale przecież rzecz w tym, by dziecko ululać, czyli uśpić,
a nie kolebać czy kołysać — bez końca. Zatem słowo lulka bardziej oddaje
istotę korytka z łubu, to jest z kory drzewnej (tutaj brzozonej), które w
izbach północnych wisi na sznurku z powały. Dzięki temu mama mogła
lulać dziecko nogą, nie przerywając tkania.

145

dobro i strojno — podkreślała rzetelność i piękno budowli oraz rolę topora
w ludowym budownictwie Północy (piłowane belki rychło chłoną wilgoć,
pęcznieją i gniją). Majster sam wybierał w lesie odpowiedni materiał.
Najlepsza była konda (sosna borowa, smolista), a gdzie pod obcasem
pojawiała się woda, nawet nie patrzył na drzewo, wiadomo — mianda
(sosna błotna). Dużą rolę przy wyborze drzewa grały zabobony. Nie wolno
było wycinać drzew „świętych” ni „przeklętych” (zwiastowały
nieszczęście), omijano drzewa stare (miały prawo umrzeć w lesie własną
śmiercią), suche (przynosiły w dom suchoty), a także rosnące na rozstajach
leśnych dróg (mogły zrąb rozwalić).

Ścinali sosnę w zimie lub na początku wiosny (póki drzewo śpi i woda
uszła w ziemię) i wywozili sanną z lasu na brzeg jeziora lub rzeki. Tam
leżała do lata, po czym ją spławiali na miejsce przeznaczenia, nie później

niż na świętych Piotra i Pawła. Następnie korowali, wyciosywali tarcice, łupali dranice.

Budowę zaczynali na Wniebowzięcie Matki Bożej. Zrąb, nazywany dawniej stopą, składali z wieńców, które wiązali w obło, to znaczy tak, aby końce bierwion sterczały z węgła, co zabezpieczało zrąb od przemarzania, pazy⁷³ wybierali z dołu, żeby ściany wodą nie nasiąkały, całość kryli dachem o „samcowej konstrukcji” (do dziś używanej na Północy), czyli w kloce, zamykające trójkątem czoło domu, wpuszczali długie belki, na które z obu stron naszywali tarcicę, jej górne końce nakrywali ciężką żerdzią (hełmem), a dolne opuszczali

⁷³ paz — wedle Witolda Doroszewskiego: „w budownictwie ludowym: rowek wzdłuż krawędzi deski, belki itp., w który wchodzi wypukłość dopasowanej innej deski, belki”. Nic dodać, nic ująć.

146

w potok, rodzaj rynny. Aby występy belek nie gniły, osłaniali je dechą suto rzeźbioną, zwaną przy-czeliną.

Na Północy wszystkie pomieszczenia mieszkalne i gospodarcze — izbę, świetlicę i powatuchę (sypialnię), spiżarnię, mszanik (komora ocieplona mchem na zimowanie pszczoł) i sienie, stajnie, chlewy i obory, szopy na narzędzia i składy na siano, a często i studnie — umieszczano pod wspólnym dachem i jedynie spichlerze (żytnice, owiny i gumna) stawiano oddzielnie. Dzięki temu w srogie północne zawieje można tygodniami nie wychodzić na dwór i ludzie pospołu z żywiną — jak w arce Noego — przebywali w domu przez bezkresne zimy.

Centrum każdego domostwa stanowiła izba z ruskim piecem, pełniącym rolę domowego ogniska, wokół którego koncentrowało się życie — gczali

się przy nim, suszyli, gotowali w nim strawę, spali na nim... Orientowano izbę wedle stron świata: na południowy wschód — czyli po Bożej stronie — urządzano tak zwany krasny kąt, gdzie umieszczano domowe ikony i ustawiano stół, tam się modlili i jedli, natomiast północny zachód — czyli kąt piecowy — należał do sił nieczystych, tu żył pogański duch domu, przez komin zaglądały wiedźmy i sam czart mógł wlecieć pod postacią ognistego węża. Innymi słowy — izba odzwierciedlała porządek wszechświata, zarówno duchowy, jak i fizyczny.

— Poeta Jesienin nazywał tenże wszechświat „izbianą liturgią” i porównywał krasny kąt do zorzy porannej, sufit do niebieskiego sklepu, a belkę nośną do Drogi Mlecznej. Mówił, że przodkowie pozostawili nam izbę niczym księgę życia, w której

147

możemy przeczytać własny los, wystarczy znaki pojąć.

Słuchając Jury Naumowa, wspominam swoją pierwszą fascynację rosyjskimi domami na Północy. Kilka lat temu major Gusiew, zastępca naczelnika łagru w Jercewie, obwoził mnie gazikiem po tamecznych żonach śladami Herlinga-Grudzińskiego. Żony sąsiadowały tam z wsiami o miedzę i czasem nie sposób było odróżnić, gdzie kończy się wieś, a zaczyna żona (druć kolczasty oplatał ten wspólny organizm...). Ludzie na nasz widok ustępowali z drogi i czapkowali do ziemi. W jednym z siół zaszliśmy na czaj. Podjęli nas uniżenie — a jakżeż! — wszak zawitała do nich łagierna szyszka i to w dodatku z cudzoziemcem, częstowali rybnikiem (ryba zapiekana w chlebnym cieście) i krzepką siwuchą, pokazywali jakieś stare foty i sztychy, ale na mnie największe wrażenie zrobił sam dom — jak niedźwiedzia gawra. Parę miesięcy potem kupiłem

w sąsiednim kołchozie podobny (...za dwie skrzynki spirytusu!), jednak ta pierwsza fascynacja trwała krótko, muzyki bowiem podczas remontu tak się popili, że jeden drugiemu w białej gorączce obciął rękę benzynową piłą.

Po raz wtóry zauroczyłem się rosyjskimi domami na Północy w Parku Narodowym Kienoziera, w pobliżu Kargopola. Jeździliśmy tam z przyjaciółmi na pogańskie Święto Jeziora — hulankę z tańcami i śpiewem (w Kienozierze pogańskie tradycje do dzisiaj mieszają się z prawosławiem, a babule tańczą z takim przytupem, że dyle w powalach chodzą). Oprócz nas na Święto Jeziora przyjechała także delegacja z Norwegii i urządzili zawody pomiędzy brygadą norweskich i miejscowych mistrzów topora. Przy okazji tedy mogłem wniknąć w tajniki ich rzemiosła, podziwiając zarazem kunszt

148

miejscowych muzyków, którzy zwyciężyli w tej rywalizacji. Jelena Szatkowska, naczelniczka Parku, gościła nas na zabój w owej „krajnie swobody i głuszy” (jak nazwał Kienoziero zbieracz ruskich bylin Gilferding, który, notabene, znaczną część swojej kolekcji zanotował właśnie tam) i ponad tydzień spędziliśmy w pijanych korowodach od wsi do wsi, od domu do domu. Niby przez mgłę majaczą do dziś w mej głowie i te domy pełne życia, i czasownie bez popów, i te kurne banie.

A tu mnie nie bierze. Nie lubię skansenów, jest w nich jakaś pustka, jak w skorupkach wyjedzonego jajka. Życie stąd wyciekło i ludzie się zbyli, a tam, gdzie pachniało chlebem razowym i uchą, i gdzie rozbrzmiewał mat, płacz i śmiech, teraz czuć stęchlizną i butwą, i słyszeć jeno szur-szura-nie babuli na straży obiektu oraz — od czasu do czasu — nierosyjską mowę.

— Oto przed nami duma wyspy Kiży, cerkiew Przemienienia Pańskiego, jej plan naszkicował Piotr I...

Opowieść Naumowa zagłuszył rechot Finów, którzy się wwalili na dziedziniec całą grupą. Spoceni, rozchełstani, każdy z puszką piwa. Jeden z nich, w sztok zalany, pozuje drugiemu do zdjęcia na tle chramu, reszta rży z uciechy. Z kąta zaś babula się kłania, rękami macha, kłania się i kłania, a nie wiada komu — to li Finom, to li Panu Bogu?

Jura tymczasem, nie zrażony ni babulą, ni Finem, snuje dalej kolejny wątek. Że cerkiew Przemienienia Pańskiego zbudowano bez gwoździ, że bryła — ośmiobok z czterema przybudówkami — ma na planie kształt krzyża, i że to tradycja o głębokich korzeniach w drewnianej architekturze na Rusi. Iż na tym ośmioboku ustawiono mniejszy ośmiobok, na nim jeszcze mniejszy, uzyskując

149

w ten sposób wielopoziomową konstrukcję pod słynną „kaskadę kopuł”, przypominającą z oddali świecznik wieloramienny, na nim każda kopułka jak świeczka migoce na słońcu szarym płomykiem. Iż pierwszy i drugi poziom to dwustopniowe zwieńczenie przybudówek, na stopniach stoją kopuły na beczkach, cztery stopnie w dwóch poziomach dają osiem kopuł, plus jeszcze osiem na głównym ośmioboku i cztery na średnim, i jedna, centralna, na szczycie, i jeszcze jedna nad ołtarzem, co w sumie daje nam dwadzieścia i dwie kopuły.

Uff, zakrążyło mi w głowie od tych kopuł, beczek i ośmioboków, i od rachunków, w których nigdy nie byłem zbyt mocny, i od tego całego drewnianego rokoko. Bo i cóż z tego, że odnawiają chram pieczołowicie (na same kopuły zużyto ponad trzydzieści tysięcy osinowych gontów),

jeśli wiernych zastąpili turyści. Pana Boga zaś — korona i dolar.

Wracamy do jachtu. Na odchodnym Jura rzucił, że dziś w Pietrozawodsku świętują Dzień Miasta, i że to karelski karnawał. — Zatem idziemy.

5 listopada

Cóż jeszcze można dopowiedzieć. Że moja fascynacja rosyjskimi domami na Północy trwa i że zaczęła przybierać niepokojące rysy manii. Pod koniec września zadzwoniłaś, że w jednym z najpiękniejszych zakątków Zaonieża (opodal wyspy Kiżył) jest do kupienia stary, zabytkowy dom z początku ubiegłego stulecia. Pojechałem bez zwłoki i...

...włubiłem się od pierwszego wejrzenia! Wielkie domiszcze z pociemniałych bali, dwie kondygnacje plus mansarda, balkon z balaskami, trzy-

150

dzieści sześć okien. W środku szerokie wschody, rzeźbione poręcze, amfilada komnat, trzy ruskie piece (z leżankami...), piec kaflowy (kafle holenderskie) w świetlicy, drzwi dwuskrzydłe — i na przestrzał, i po bokach — półmrok. Prądu nie ma, tylko lampy naftowe.

Przyjechaliśmy późno, ciemniało. Na pirsie w Wielkiej Zatoce czekał na nas Jura, zięć Dziada — właściciela domu. Przybył z Sortawały na spotkanie miast Dziada, ten ostatnio nie najlepiej się czuje. Po drodze opowiadał o Kondzie. Do rewolucji we wsi żyła cała gałąź rodu Kiprijanowów, wieś była duża, ponad czterdzieści zagród. Kiprijanowie żenili się między sobą i płodzili. Ojciec Dziada — na przykład — wziął za żonę Fiokłę, z domu także Kiprijanową.

Dzisiaj we wsi zostało dziewięć domów, z tego tylko w jednym zimują — adwentyści dnia siódmego. Pozostali przyjeżdżają do Kondy na lato. Prąd

można doprowadzić za niewielkie pieniądze, linia obok, wystarczy trzy słupy wkopać. Drogę w zimie czyszczą, poczta i sklepy w Wielkiej Zatoce, cztery wiorsty stąd. Jesteśmy na miejscu.

— Priwiet⁷⁴.

Dom stoi bajecznie. Na uboczu, na skarpie, nad samą wodą, w kępie potężnych topól, wokół zapuszczony ogród, krzewy maliny, czarna porzeczka. Nad jeziorem bania, dwa pomosty i do sąsiadów daleko. Wchodzimy do środka.

— Boże — szepczesz — jak w zamku.

Nawet Sława zaniemówił z wrażenia. W sieniach łódź i sieci na ścianach, tyle lampa z mroku wyła-

⁷⁴ priwiet — forma przywitania w Rosji, typu: witaj, cześć, serwus...

151

wia, nasze cienie tańczą na powale... Wchodzimy po schodach. Korytarz na piętrze jak sala balowa, w amfiladzie powałucha, świetlica i kuchnia z ruskim piecem, krasnym kątem i ławkami pod ścianą. W oknie smukła sylweta czasowni, jakby wyrżnięta z księżycowego nieba, w lustrze starego kredensu naprzeciw się odbija.

Teraz, gdy to piszę, widzę ów obrazek z lustra. Ciemne wnętrze i lampa naftowa na stole, krąg złocistego światła obejmuje flachę samogonu, bochen chleba i michę z uchą, Sławy oczy rozszerzone... I czasownię w oknie. Reszta tonie w mroku.

Dom zbudowali bracia: Luka Anisimowicz, dziadek Dziada, i Fiodor Anisimowicz, jego wuj. Było tak: Luka jako starszy został na gospodarce, Fiodor pojechał na zarobek do Pitra. Początkowo robił meble i inne różności, w końcu uzbierał niewielki kapitał i otworzył kantor ze złotem w

Gościennym Dworze. Wtedy pomyślał o budowie domu w rodzinnej Kondzie Berieżnej w Zaonieżu. Budowali razem, to znaczy budował Luka, Fiodor dawał pieniądze i pomagał z materiałem.

— Te bele w ścianach, które tu widzicie, przywozili z Petersburga, już zakonserwowane.

— Tb było do rewolucji?

— Taaak. Jak dom był gotowy, to Fiodor Anisimowicz przyjeżdżał tu z rodziną na lato. Luka oddawał im wtedy piętro, a sami na dole...

— A po rewolucji?

— Po rewolucji Fiodor zwiął z Piotrogradu do Kondy. Umarł w 1919 roku. Po jego śmierci żona z córkami wróciła do stolicy, miała tam kupę znajomych. A jego jedyny syn, Dmitrij, powiesił się tu, w domu, na górze — w mansardzie. Gadali, że powiesił się z miłości, miał osiemnaście lat...

Jest takie tutejsze porzekadło: „Bierzesz z Kiż i z nią śpisz”. Ale ona z nim nie chciała.

152

— Co było potem?

— Potem umarł Luka Anisimowicz, gospodarzem został jego syn Aleksiej Lukicz, ojciec Dziada. Dziad miał trzech braci i trzy siostry. O Piotrze, najstarszym z rodzeństwa, książki pisali, był najsłynniejszym partyzantem w Karelii w czasie okupacji fińskiej. Aleksiej Lukicz umarł do kołchozu.

Kołchoz imienia Kryłowa w Kondzie powstał w 1932 roku, a jego przewodniczącą została Fio-kła Andriejewna, matka Dziada. Kto taki Kryłow? Chłopak z Kondy, bohater Wojny Domowej. Był tutaj czerwonym komisarzem i biali Finowie go rozstrzelali pod Miedgorą.

— A co z domem?

— Był centrum kołchozu. Rządziła w nim towarzyszka Fiołka. Tutaj, pod jej okiem, trzymano kołchozowe konie. Koń był wtedy na wagę złota. Później nastąpiła okupacja fińska, dom zajął bogacz z Finlandii, który wywoził stąd las do siebie. Wszystkie okoliczne wsie tyrały na niego. Po wojnie znów nastał kołchoz, w domu zrobili szkołę. Klasy- były na piętrze, w mansardzie — pokój nauczycielski, a matka Dziada żyła na dole. Sam Dziad, po przejściu paru frontów, po drodze z Berlina zatrzymał się w Pradze, potem w Budapeszcie. Fiokle Andriejewnie tymczasem się zmarło, szkołę zamknęli, kołchoz zdychał... Dziad po powrocie z Europy zamieszkał w Pietrozawodsku.

Dom pustował od 1948 do 1972 roku. Kiżskie muzeum chciało go kupić, ale Dziad się uparł, że na starość będzie tu mieszkać. I rzeczywiście zamieszkał, to znaczy przyjeżdżał tu na całe lato z Pietrozawodska. Dopiero w zeszłym roku córka wzięła go do siebie, do Sortawały. Zniedołężniał już.

153

— Czym się tu zajmował?

— Stawiał sieci, polował, ogród. Ale przede wszystkim gonił samogon z jagód bzu. Od tego był specem. To jeszcze jego wyrób — Jura nalał w szklanki — no, dawajcie, za dobrą noc. Jutro pogadamy o cenie.

W nocy dął silny wiatr, Oniego pluskało pod oknem. Szumiały topole.

Rano kąpiel w jeziorze i toast karelskim balsamem za przybicie targu.

Sława zaprzyjaźnił się z Jurą, ten opowiadał o rodowym złocie, zakopanym pod domem przez Fiodora Anisimowicza. Wieczorem poszli na wilki.

7 listopada

A na Wyspach Sołowieckich wciąż świętują rewolucję październikową. Dziś „wychodne” — dzień wolny od pracy, powód do wypitki. To jeszcze jeden znak zapytania dla tych, co równają komunizm z faszyzmem, kacety z łagrami. Czy możecie sobie wyobrazić, by w obecnych Niemczech każdą rocznicę dojścia Hitlera do władzy obchodzono dniem wolnym od pracy? I dzień ten nazywano Dniem Zgody i Przymierza?

Wczoraj, to jest na wilię święta rewolucji, obejrzałem Cielca. Film Sokurowa. Arcydzieło!

Tytułowym Cielcem jest Lenin w Górkach, Wódz na poły sparaliżowany, porażony afazją, agrafią i amnezją, na granicy jawy i halucynacji, podejrzeń i snu. Iljicz nie potrafi pomnożyć 22 przez 17, choć męczy się nad tym przez cały film, bo lekarz mu obiecał, że wyzdrowieje, jak się z tym upora. Ajed-

154

nocześnie ma wspaniałe momenty przebłysków, z bezsensownego bełkotu raptem dochodzi do nas zupełnie trzeźwa fraza, na przykład: „Życie zjedna babą to koszmar, z dwiema — tragedia”, lub: „Człowiek, który nie może zabić drugiego człowieka, powinien zabić siebie”.

Od razu więc rodzi się pytanie: Cielec to byk ofiarny czy znak Zodiaku? Z jednej strony bezwolna marionetka w rękach Josifa Dżugaszwile-go, z drugiej — podejrzliwy umysł w stanie rozkładu, byk prowadzony już na rzeź i do końca żądny krwi... Jak choćby we wspaniałej scenie, w której Krupska czyta mu opis kaźni knutem, a on smakuje każdy detal i przerywa jej tylko raz, aby powiedzieć, że ciało po knucie z kości nie odchodzi. Lenin się lęka... Nie tyleż samej śmierci, co roślinnego wegetowania.

Wszak czuje walkę o spadek po sobie, intrygi i podjazdy Stalina, Trockiego w-tle... A on nic nie może, ni czytać, ni pisać, nawet rękę trudno unieść, mózg odmawia posłuszeństwa, myśli rozłazą się jak glisty po gnoju, słów w zdanie nie* złożyć i gazet nie dają. Lekarze za nim śledzą, ochroniarze podsłuchują, personel obsługi szepce po kątach. Co? Lenin niedosłyszany.

Sokurow pokazał ów personel — w języku rosyjskim — wspaniale. Lecz obawiam się, że film pokazywany w innych językach straci w napisach. Nie da się bowiem w żadnym piśmie przekazać polifonii głosów, gdy trzy, cztery osoby mówią jednocześnie, a do nas dochodzą jeno obrywki fraz. Jak napisami wyłowić z przerażonego bełkotu Lenina cicho rzucone zdanie doktora Osipowa: „Z punktu widzenia fizyki śmierć jawi się faktem nieudowodnionym”? Dobry dubbing mógłby tu zaradzić.

155

9 listopada

Iwan Pawłow, wybitny rosyjski fizjolog, w 1932 roku, czyli pod koniec życia, zapisał: „Muszę wyznać swój gorzki pogląd na rosyjskiego człowieka, on ma tak słaby system mózgowy, że nie potrafi przyjmować rzeczywistości jako takiej. Dla niego istnieją tylko słowa. Jego odruchy warunkowe są skoordynowane ze słowami — nie z działaniem”.

11 listopada

W Polce Gretkowskiej czuć talent, jeśli przyjmiemy definicję francuskiego mistrza mody — Christiana Lacroba „Talent to obostrzone poczucie rzeczywistości”.

Gretkowska odbiera realność cielesnie, przy tym jest to cielesność ciężarna, a więc i wonie są ostrzejsze, i odgłosy z ciała wychodzące —

donioślejsze... Manuela pierdzi, beka, rzyga, czasami przyjmuje od tyłu
tudzież bierze do buzi, ma kłopoty z siku, pęcznieją jej sutki, pępek się
puczy i czuje kopanie od środka.

natomiast świat zewnętrzny, w którym ciało Ma-nueli boryka się ze stanem
swym odmiennym — to... kreskówka. Szkicowana na chybcika, czasem
trudno się zorientować, gdzie to ciało się zna-chodzi — w Grodinge, na
Maderze czy w Łodzi? Mimochodem sądy o ludziach, np.: Giedroyc — to
skansen, a Miłosz — pomnik do podziwiania. Sporo tam kuchni pisarskiej
i nieco rozważań o treści ogólnej, m.in.: o śmierci (w kiblu), o czasie i o
miniecie (w trakcie lepienia ruskich pierogów), i o współczesnych ucztach
platońskich (a propos Hannibala). Jest tam wreszcie duża miłość, życie
codzienne i serial. Są sny. Karuzela,

156

która się kręci wokół brzemiennego ciała autorki. Świetna lektura!

Czytając Polkę, wspomniałem ucieszną opowieść Wojtka S. o Manueli,
która gościła u nich pod Paryżem. Pewnego razu zastał ją w kuchni,
ostrzyła wielki nóż. Na pytanie, po co jej ten majcher, powiedziała, że dla
obrony przeciw różnym nachałam, co to ją zaczepiają na ulicy.

— Manuela, ty byś lepiej majtki zakładała, bo spod mini gołą pupę ci
widać.

Po przeczytaniu Polki chciałoby się krzyknąć: Polka, kocham Cię!

13 listopada

W tym roku minęło dziesięć lat mego życia w Rosji... Józef Czapski
utwierdzał, że można pisać o kraju, w którym się było mniej niż sześć
tygodni albo więcej niż dziesięć lat. Pomyślałem więc, że może warto
byłoby spojrzeć wstecz, przewertować w pamięci minioną dekadę,

niektóre epizody przytoczyć, nieco anegdot i parę glos, nie siląc się wcale na jakąś próbę rekapitulacji — od tego są publicyści polityczni, analitycy i korespondenci — ja chcę od siebie snuć fabułę, swobodnie skakać z tematu na temat, od przypadku do przypadku, przez lekturę do życia (lub na odwrót), łączyć wspomnienia z dniem dzisiejszym — minione z bieżącym. Stąd ten żanr zapisków (czasem sygnowanych).

Z drugiej strony, dziesięć lat to taki szmat czasu, że niekiedy nachodzi pokusa, by w ogóle zamilczeć o Rosji. Z początku bowiem wszystko jest proste i wpisuje się w szablon wyniesiony z domu (rozmowy byłych lwowiaków za stołem wigilijnym), z książek (na przykład Kucharzewskiego) lub z opowieści cioci, która była na trzydniowej wycieczce

157

w Leningradzie (brud, smród, ta wódka...)- Potem, im dłużej tu przebywasz, tym lepiej czujesz niuanse, ironię i podteksty. Powoli chwytasz rzecz w pół słowa i nie wymagasz już, by słowo jej odpowiadało, cytując myśl Fiodora Tiutczewa, że wypowiedziana jest tgarstwem. Aż w końcu się połapiesz, że coraz częściej myślisz po rosyjsku:

— Wotetoda75.

Nie tylko język skłania do milczenia, rzeczywistość — też. Gadając z rodakami o Rosji (po polsku!), rozmawiamy o różnych rzeczach. Widać to w biesiadzie z Beresiem: on o łagrze, ja o klasztorze, on o katach, ja o turystach. Dla mnie, jak i dla większości tubylców rosyjskiej głubinki, zwłaszcza na Północy, najważniejszą sprawą jest przeżyć zimę, zatem takie detale, jak światło, ciepło, woda. Dopiero potem idą pojęcia

oderwane: demokracja, swoboda słowa czy prawa człowieka. Ot, zimą zamarzł wodociąg, na dworze zamieć, do przerębla na Świętym Jeziorze daleko, co dzień od nowa trzeba lód rozbijać. Do tego prąd wyłączyli i laptop zdechł. Ani pisać, ani czytać, bo ciemno. Raptem grupa rodaków się zjawia, zajechali na Wyspy na narty. Gadka przy świecach o tym i o owym: o Puti-nie, o Czeczenii, o mafii, o zagrożeniu demokracji w Rosji. Słyszę sztampy, jakbym „Wprost” albo „Politykę” czytał, i wymykam się cichaczem po wodę na herbatę — do przerębla. Na rozgwieżdżonym niebie „miecz Vainamóinena” (tak zowią Oriona w Karelii), w powietrzu pachnie dymem (pewnie Olga pali w piecu...), a w Morzu Białym potrzaskuje lód.

O jakiej demokracji mowa? — myślę, rozbijając łomem przerębel — słowo niby jedno, a rzeczy różne. Oni gadają o demokracji w zachodnim stylu

75 wot eto da — ot, tak!

158

(z sarmackim akcentem), ja ją zmiękczałam po rusku (zniekształcając nieco). A przecież kontekst, wymowa czy akcent każdego pojęcia to sprawy niezwykle ważne, wiem coś o tym, bo dziesiątek lat żyję na granicy dwóch języków (miar i kultur), wychodzących, było nie było, z jednego pnia. Zresztą, rozmowy rozmowami a ludzie na obrzeżach Rosji zamarzają.

— Wiecie, jak wygląda miłość u nowych Ruskich? — spytałem po powrocie z jeziora do kuchni.

— Dwa pocałunki w usta i trzeci, kontrolny, w potylicę.

Było widać po ich minach, że nie zrozumieli dowcipu Batury. Ba!

A propos akcentu. Weźmy słowo „pisać”. Dla je*dnych to tyle, co bawić się piórem, dla drugich ta czynność to prawie modlitwa. Niektórzy pisaniem chcą zbawiać^ Ojczyznę. Inni — zarobić na życie.

—* Nic w rym śmiesznego, nieprawdaż?

Dlatego długo nie mogłem zrozumieć chichotów moich rosyjskich znajomków, ilekroć rozmowa schodziła na pisanie. Dopóki ktoś mi nie wyjaśnił, że akcentuję „pisać” po polsku, to znaczy na drugą od końca sylabę, a po rusku akcent należy kłaść na ostatnią, w przeciwnym razie słowo „pisać” znaczy „sikać” — nie skrzyp pióra, jeno ciurkanie odlewanej wody.

15 listopada

W nocy spadł ciężki śnieg. Przykrył ziemię, kamienie i dachy, osiadł na gałęziach i trawach. Mo-

159

rze jeszcze nie zamarzło. Woda koloru stali. Biel i stal... Jedynie tam, gdzie odpływ ziemię odsłoni! — czarny otok.

Ej, dziwnie się w życiu plecie. Kiedyś z komuchami darłem koty, a tutaj się przyjaźnię z Wasi-liczem, ostatnim sekretarzem rajkoma⁷⁶ KPZR⁷⁷ na Solówkach. Zwłaszcza lubię jego gawędy. Wasi-licz, jak każdy człowiek, co słabo słyszy, uwielbia dużo mówić. Opowiadając zaś, powraca do siebie sprzed wielu lat i świat, nie znany mi, wskrzesza.

Urodził się we wsi Charłuszyno, w pobliżu Kar-gopola. Jego ojciec podczas Wojny Domowej walczył u Czapajewa, a potem wrócił, wygnał bogatych chłopów ze wsi (w tym wielu krewniaków) i założył kołchoz „Nowaja Żyzń”. Sasza do dziś pamięta zapach papy — cuch machorki, potu i jucht — oraz jego ulubioną piosnkę, gdy wypił:

Znaju, woron, twój obyczaj. Ty siejezas ot miotwych tiet I s krowawoju
dobyczej K nam w dieriewniu priletiet⁷⁸.

Potem ojciec znikł z fabuły syna, porzucając rodzinę dla innej kobiety.
Szalała wtedy wolna mi-

76 raj kom — skrót od rejonowy komitet.

77 KPZR — Komunistyczna Partia Związku Radzieckiego, ostatnio
coraz częściej w polskiej publicystyce politycznej spotyka się skrót KPZS,
czyli Komunistyczna Partia Związku Sowieckiego, co nie bardzo jest
logiczne, bo dlaczego w takim razie nie pisze się KPSS, to jest
Komunistyczna Partia Sojuza Sowieckiego? I tak dalej...

78 Znaju, woron, twój obyczaj... — Znam, kuku, twój zwyczaj / ty
teraz od martwych ciał / i z krwawą zdobyczą / do nas do wsi przyleciałeś.
— Piękna i posępna pieśń bolszewików z okresu Wojny Domowej.

160

łość... Wkrótce kolchoz przemianowali na „Sta-linieć”.

Wybuchła wojna. Wasilicz, zbyt młody na wojaczkę, trafił na lesopowat⁷⁹.

Żyli z pacanami w ła-gierynych barakach, które się ostały po Polakach...

Tak, tak — w tym samym Kargopolu, gdzie siedział Herling-

Grudziński. Dostawali sześćset gram chleba na człeka i miskę batandy⁸⁰

— raz dziennie. Wasilicz własnymi rękami wyrąbał ponad trzy i pół
tysiąca metrów sześciennych lasu! A dziś państwo żałuje mu dwóch
kubików na zimę.

Pod koniec lat czterdziestych służył w armii, stali na Elbie — w Germanii;
tam pierwszy raz zobaczył jabłka na drzewie. Po powrocie na Północ
pracował na latarniach morskich na Morzu Białym: Zimowy Brzeg,
Żyżgin. Najlepiej wspomina Kiepino.

— Cietrzewie tam z okna się strzelało, a sieję beczkami łowiło, po dwieście kilo w pół dnia.

I tylko diamentów żal, oj! Odkryli je w rejonie Kiepina jeszcze w latach pięćdziesiątych, ale zataili na wszelki wypadek, jako surowiec strategiczny. Wasilicz w sztolniach przechowywał moroszkę — jak w piwnicy. Później pieriestrojka i kapitalizm po rusku: sztolnie oddali zachodniej firmie, ta lepsze złoża wybrała i nie zapłaciła, machloje wykryli, firma się zmyła, sztolnie zamknęli, a posiołek wymarł.

A jaka w Kiepinie rybałka była! Rzecz jasna, nie każdy mógł tam łowić. Obkom⁸¹ wziął rybackie chaty warendę (to znaczy — zabrał muzykom) i latali na annuszkach. Czasem dwa tuziny bossów się zebrało i na paru samolotach: hajda na ryby! Wasilicz pamięta jedną z takich wypraw: koniec kwiet-

79 lesopowat — wyrąb lasu.

80 bałanda — rzadka zupa tagierna, nieraz opisana przez Herlinga i Szatamowa, wywar ze zgnitej kapusty.

81 obkom — skrót od obtastnoj, czyli okręgowy, komitet.

161

nia, ryb nabrali po beczce każdy i sami ciężko odziani, wity³² nawilgłe, szuby — daj Boże, no, i muzyki — co jeden, to sto kilo, albo i więcej, nic dziwnego, że annuszka upadła w las i spłonęła. Trupy potem po zębach identyfikowali.

W latach siedemdziesiątych Aleksandr Wasilicz przyjechał na Wyspy z Kiryłowną, zawiadywać bazą turystyczną w Isakowie. Kto tylko nie przewinął się przez ich ręce: partyjni notable wszystkich szczebli, generałowie, ministrowie i kagiebucha, pisarze (Jurij Kazakow),

kosmonauci i mistrzowie sportu. I co znamienne, im wyżej szczebel, tym większe ześwinienie. Niektórzy pili do prostaczego wizgu.

— Wyobraź sobie, do czego dochodziło. Raz wetknęli jednej damie w tyłek rybi chwost, bodaj szczuki, i biegali za nią na golasa, krzycząc, że to nimfa.

Do Kargopola wybieraliśmy się z Wasiliczem jeszcze w zeszłym roku, niestety, nie wyszło. Wasilicz zachorował. W niniejszym, żeby nie zapeszyć, niczego nie planowaliśmy do ostatniej chwili. Wyruszyliśmy znienacka, nazajutrz po posadzeniu kartoszek.

W Archangielsku odwiedziliśmy Sanie, starego kumpla Wasilicza.

Starzyki popłakali sobie w kołnierz, trzepnęli po kielichu i jęli porównywać emerytury. Sania ma dwa tysiące czterysta rubli —jako weteran... — aczkolwiek urodził się w trzydziestym piątym.

— Jakiej ty wojny weteran? — nie wytrzymał Wasilicz.

rena!

82 unty — wysokie buty futrzane, najlepsze są ze skóry

— Jak to jakiej? Buntu w Budapeszcie.

Zostawiłem (nie bez żalu!) starzyków w czasie pozaprzeszłym, a sam poszedłem do baru „Pod 7 stopami”, gdzie czekała na mnie załoga „Świętej Jeleny”.

Poznałem się z nimi na Wyspach — zabawni chłopcy. Przeczytali w „Nowej Polszy” kawałek Ka-relskiej tropy i zamierzili powtórzyć naszą trasę przez Kanał. Pod koniec czerwca przyszli do mnie na Solówki po mapy i rady. Pogadaliśmy, wypiliśmy za tropę! A w drodze powrotnej zaprosili mnie do siebie. Umówiliśmy się w żeglarskim kabaku, w starej dzielnicy Archangielska.

Kabak „Pod 7 stopami” to nowa knajpa — knajpa nowych Ruskich, których notabene wolę niżli tych starych. Wnętrze proste — jak w kubryku — w drzewie i w szkłe. Na ścianie fotki Sołówek. Bar, wysokie stołki, parę stolików, co dzień żeglarska bcać w komplecie. Często też zachodzą tu portowe bladzie.

Siergiej, Jan, Sasza, Misza i Rusłan — wszyscy się stawili, jak na zawołanie. Każdy z nich to oddzielny temat, a przynajmniej obszerny ustęp...

— Lepiej wypijmy za spotkanie — zaczął Sie-rioża, kapitan „Jeleny”, rozwiązując wór z toastami. Najpierw piliśmy piwo i sołowiecką pod halibuta w jarzynach, potem gospodarz postawił „7 stóp” (firmowa wódka na siedemdziesiąt obrotów, jak tutaj mówi się o procentach) i pojawiły się bladzie. Po północy pojechaliśmy całą bandą do jachtklubu na Dwinie. Na „Świątą Jelenę”.

I balowaliśmy do porannych mgieł nad rzeką.

Rano się okazało, że Wasilicz pojechał do Kargopola, nie doczekawszy mnie. Następny pociąg do Niandomy dopiero wieczorem. Miejsce — w plac-

162

163

karcie⁸³ (...ciekawe, ilu polskich turystów spędziło noc w rosyjskiej plackarcie?).

Fiata rano, Niandoma. Naprzeciw dworca sklep czynny całą dobę. Bogu niech będą dzięki za piwo!

Siedemdziesiąt kilometrów z Niandomy do Kar-gopola można przejechać taksówką za osiemdziesiąt rubli od tebka. Niecałe trzy dolary i masz

północny las za oknami żyguli — krainę swobody i głuszy.

Nieprzypadkowo nazwę Kargopol tłumaczą fińskim karhun-puoli. To znaczy: niedźwiedzi kraj.

Kargopolanie się szczycą, że są równolatka-mi Moskwy — ich gród założył książę Władysław w drodze powrotnej z wypadu przeciwko Czudzi w 1146 roku. Miasto rozciąga się na lewym brzegu rzeki Oniegi, pięć wiorst od jeziora Łacza, z którego rzeka bierze początek. Wysocki śpiewał:

Ja na Łacza jechał płacząc, wozwraszczajus' chochozam.

Już z daleka widać za rzeką białe cerkwie w gęstwie zieleni i smukłą sylwetę sobornej dzwonnicy. Szofer mówi, że parę dni temu piorun w nią strzelił i się zajęła... Aleją pogasili. Pyta, gdzie mnie wysadzić. No właśnie — gdzie?

Z bliska mam wrażenie, że Kargopol jest utkany ze snów ludzi, którzy mi o nim opowiadali: z fantasmagorii malarza Gieny Kuliszowa, z onirycznego rytmu poezji Dearta, z historycznych rojeń Aleksandra Sniegowskiego, z dziewiczych marzeń

83 placekarta — wagon najtańszej klasy, bez podziału na przedziały. Tej woni zapomnieć nie sposób...

m Ja na Łacza... — Ja na Łacze / jechatem ptacząc, / wracani / śmiejąc się.
164

Toni Soszyn... I ze snów Wasilicza. No właśnie, gdzie Wasilicz?

Jak we śnie rozpytuje na targu starzyków o babę Kławę w nadziei, że może nie zmieniła panińskiego nazwiska. Niby ze snu jawią się chramy z białego kamienia i gipsowe figurki komsomolców w parku. Ba, Lenin na placu Lenina, z ręką wyciągniętą w kierunku Oniegi — do teraz mi się śni.

W komisariacie milicji na Krasnej Górze sen trwa. Pytam o Kostinę, babulę po siedemdziesiątce. Bezmownie się gapią. Pytam raz jeszcze, a oni — kim dla niej jestem? Tłumaczę. Oglądają akredytację, długo myślą... W końcu dają mi dwa adresy, żaden się nie zgadza.

Nawet upał był surrealistyczny. I raptem z tego żaru, na rogu Lenina i Pierwomajskiej, wyłazi... Wasilicz.

Spytacie, co mnie pociągnęło do Kargopola tym latem? Różne rzeczy. Po pierwsze, tę jedno z najstarszych miast na Północy, a przy tym — zachowało się!

Po drugie, Aleksandr Wasilicz, miałem okazję ujrzeć Kargopol jego oczyma.

Po trzecie, ten rejon od dawna mnie interesował, począwszy od Kargopolłagu, tam siedział Gustaw Herling-Grudziński, tudzież jeziora Lacza, które weszło do ruskiej literatury już na przełomie XII i XIII stulecia (w Molenii Daniły Zatocznika), a skończywszy na Jelenie Szatkowskiej — w jej Parku.

A wreszcie i to, że Kargopol przed rewolucją wchodził w skład Ołonieckiej guberni — wraz z Karelią. Było nie było, znalazł się na mojej tropie.

165

Siedzimy w kuchni u baby Klawy. Siostra Wasi-licza gada piękną kargopolską gwarą, na przykład: A mnie wsiako odnako⁸⁵, Moskwianin powiedziałby: A mnie wsio rawno⁸⁶.

Ledwieśmy się poznali, a już wiedziałem, że wszystko ma gotowe do drogi na tamten świat — podorożnik⁸⁷, sawan⁸⁸ i suknię — zostało jeno guziki przyszyć, nawet trzydzieści tysięcy rubli uciulała.

— Na pomnik swojej duszy! — tak się wyraziła.

Baba Kława lubi dobrze zaparzony czaj. Masło kupuje tylko wołogdzkie, karmelki „Krasnyj Oktiabr”, herbata ma być chińska, kielbasa może być niandomska. Słowem, baba Kława dba o jakość produktów na stole.

Nie przypadkiem była brygadzystką w kołchozie imienia Klary Zetkin. Jak nastał Chruszczow, to wyhodowali taką kukurydzę, że choć toporem ją rąb. Dostali za nią pierwsze miejsce i zaproszenie do Moskwy na Wszechzwiązkową Wystawę Rolniczą. A kukurydza? Zgniła. Dla ludzi była niezwykczajna i bydło nie chciało jej zreć.

Mąż baby Kławy, Iwan, był koniuchem w kołchozie. Gadał z końmi, naprawdę! Nie umiał ani pisać, ani czytać, lecz z Siwym się dogadywał, póki Siwego do rzeźni nie wzięli. Po śmierci konia Iwan zapił. Pił lat kilkanaście, aż umarł. Dzieci nie mieli, bo baba Kława w dziewczęctwie obruszyła macicę, dźwigając snopy. Po śmierci męża Iwana została sama... Jak małe, pomarszczone jabłko, porzucone w kącie na strychu.

85 A mnie wsiako odnako.—A mnie wszystko jedno.

86 A mnie wsio rawno.—A mnie wszystko jedno.

87 podorożnik —tutaj: specjalnie wyszywany szal do trumny. Czyli na drogę.

88 sawan — catun.

166

Baba Kława ciągle plecie coś pod nosem (całkiem jak Lenin w Cielcu), czasem wyławiam całe frazy, choćby taką:

— Wriemienieczko idiot, wsio bliże i bliże do smierti⁸⁹.

Częściej jednak dobiegają mnie poszczególne słowa.

— Baba Kława, co znaczy machomalka?

— Machomalkoj może być kapusta, a może człowiek⁹⁰.

Konia z rzędem temu, kto mi powie, o co chodzi.

A propos. Któregoś wieczoru baba Kława zauważyła, że białe noce się już kończą. Kiedy dokładnie? Na świętego Ilji. Potem białego konia nocą w polu nie dojrzysz.

I wszystko byłoby dobrze, gdyby baba Kława nie zwariowała z samotności, wpadła w paranoję i ubzduriała sobie, że sąsiedzi z dołu trują ją gazami bojowymi.

Baba Kława żyje w drewnianym baraku — na piętrze. Mieszkanie pod nią stoi puste, właściciele się wyprowadzili, rok, półtora temu. Jednakże od tego czasu ktoś tam zagląda, pewnie pilnują, aby bezdomni się nie zagnieździli. A baba Kława po każdej takiej wizycie czuje zapach gazu u siebie, ma bóle w głowie, zbyt ostro widzi... Powynosiła, biedna, wszystkie dywany z domu, bo w dywanach — twierdzi — gaz się dłużej utrzymuje. I bieliznę z szafy do szopy przeniosła, bieliznę także czuć gazem.

89 Wriemienieczko idiot, wsio bliże i bliże do smierti. — Czasek idzie, coraz bliżej i bliżej do śmierci.

90 Machomalkoj może być kapusta, a może człowiek. —

Machomatką może być kapusta, a może czło-wiek. — W sumie babie Kławie chodziło o coś w nieładzie, coś rozwichrzonego, rozczochanego, etc.

167

Wasilicz skłamał, iż napisze do gubernatora, by sprawę wyjaśniono. Może to babę Kławę na jakiś czas uspokoi.

Pod wieczór, kiedy miezeń zelżeje („mieżenia” nazywają tu lipcowy upał,

gdy temperatura przekracza plus dwadzieścia pięć stopni Celsjusza) i robi się nieco chłodniej, można się przejść po Kargopolu... Powraca uczucie nierealności: plac Soborny w bladym świetle białej nocy i sobór, pamiętający czasy Iwana Groźnego (to tu patriarcha Nikon złożył w 1652 roku resztki świętego Filipa, wioząc je z Wysp do Moskwy na polecenie cara Aleksieja Michajłowicza), z tyłu osmalona dzwonnica. Pusto. Ni żywego ducha, jeśli nie liczyć zalanego w trupa w kępie bzu.

Za to nad rzeką gwarno. Kąpią się, polegują na trawie, siedzą w łodziach wyciągniętych na brzeg, piją piwo, wódkę z colą.

— Wypijesz z nami? — zapraszają.

— Innym razem — dziękuję.

To pewnie gdzieś tutaj w 1608 roku utopili w przeręblu Iwana Bołotnikowa, wodza chłopskiej rebelii. Ciekawe, ilu było gapiów? Wszak TV wówczas nie znali.

Podchodzę do rzeki. Oniega w niskim słońcu. Złocista tropa wiedzie na drugi brzeg. Nie skusiła mnie.

Nazajutrz pojechalismy do Charłuszyna, rodzinnej wsi Wasilicza. To siedemdziesiąt kilometrów na południe od Kargopola, za jeziorem Łacza — nad rzeką Swidź. Jechalismy wynajętym GAZ-em (sto rubli za godzinę) najpierw starym wytiegorskim

168

traktem, a we wsi Skoriukowo zjechalismy w kierunku Swidzi i gruntową drogą, rozbitą jak nieszczęście, dostalismy się do Kononowa.

Na wjeździe do wsi ruiny cerkwi. Popa zabrali w 1937 roku, młodego diaczka — nieco później, a w cerkwi zrobili młyn. I ułożyli czastuszkę: Rańsze żyt tam pop Alosza, propowiedował durman, a tiepier' Jakunia

Tiumczew muki nadielajet namm.

— A tego Jakunię to Bóg pokarał! — mówi Wasilicz. — Pewnego razu po pijaku Jakunia włączył młyn na pełną parę, żarna zleciały, nogę mu zmiażdżyły i potem już w cerkwi nie mielono.

Kononowo... Siedziba władz sielskich. Dojeżdża tutaj autobus — dwa razy w tygodniu — tu jest i poczta, i sklep, w którym nas nieźle zapamiętano, alje o tym potem. Na razie jedziemy dalej.

A dalej polna droga, pola zarosłe anyżkiem, kostrzewą i mietlicą, wymarłe wsie — Mitrofanowo, Górka, Kraskowa, Dawidowa — drewniane widma domów po okna w trawie, skłębione zarośla w ogrodach.

Charłuszyno. Nie do wiary! Stary Wasilicz nie poznał swojego domu (pół ściany z niego zostało) i przejechaliśmy mimo — manewrując w głębokich koleinach — aż nam drogę zagrodziło srebrzyste bmw. Stało przy płocie, zza którego sterczała czerwona flaga z sierpem i młotem na pałce dla ochrony kartoszki od wron. W głębi ogrodu dom, ależ tak... — Wasilicz przypomniał sobie — ten dom

91 Rańsze żyt tam pop Alosza... — Dawniej żyt tam pop Alosza, / rozpowszechniał otumanienie, / a teraz Jakunia Tiumczew / mąkę namiele nam.

169

należał do Anny Pawłowny, jego nauczycielki. Ponoć ona jeszcze żyje. Zachodzimy do środka, niczym do wnętrza jednej z powieści Pielewina: w sieniach mroczno, jak zazwyczaj tam, gdzie przełazi się w inny świat, w izbie na ścianach dywany i portret Stalina, ikony w krasnym kącie — wycięte z żurnała, pod ścianą łóżko z górą poduszek, poukładanych jedna na drugiej — od największej do najmniejszej. Pod łóżkiem zardzewiały

nocnik.

W kuchni skrzywiona babula o lasce (ma osiemdziesiąt dwa lata, zaledwie dziewięć lat starsza od Wasilicza), nie od razu skojarzyła Saszkę, ulubionego ucznia i puściła słozę, że ugościć nas nie ma czym. Wyjeliśmy swój czaj, bo u Pawłowny nawet czaju nie było, a jak na stół wyłożyłem cukier w kostkach, to garściami go brała i chowała pod poduszkę, nie widząc, że my widzimy.

— Bóg mi was zesłał — mamrotała bez zębów — od rana się modliłam o byle sucharek.

Przenocować nas, niestety, nie może, syn z koleżkami na rybalkę zajechał. Tb bmv jest jego. Wie daj Bóg obcego w domu zastaną.

— Wygonią.

Naradzamy się: w Charłuszynie, oprócz Pawłowny, w dwóch tylko domach żyją, w jednym jakaś sekta (rok temu go kupili), w drugim biczuje⁹² Sie-rioża, były ment.

— On was przyjmie, byle wypić było.

⁹² biczować — od dawnego sfowabiczowszczik, ten, kto najmował się do najgorszych robót, albo nic nie robił. Pasożyt, włóczęga... W czasach sowieckich, kiedy poetów (na przykład Jo-sifa Brodskiego) zsyfano za „pasożytnictwo”, słowo bicz zaczęto ironicznie odczytywać jako skrót od „były inteligentny człowiek”. Biczować zatem to „nic nie robić”, albo po prostu „bytować jako były inteligentny człek”.

Wypitki u nas pod dostatkiem.

— Więc żyjcie tu, ile chcecie — rzucił od progu Sierioża i oddał nam całą letnią część domu. Można w niej było zabłądzić.

Kurzu tam walało się — co niemiara... Podłogi myśliśmy czterema

wodami. Pajęczyny, rupiecie, chłam. Na poręczu jednego z łóżek damskie majtki.

— Pięć lat już tak wiszą — mówi Sierioża — od czasu, gdy mieszkały tu dwie artystki z Moskwy. Malowały mnie.

Zatopiliśmy bańkę na czarno, a wieczorem wód-kęsmy pili pod suszone leszcze.

Sierioża mówił z każdą stopką więcej. Opowiadał o służbie, służył na Syberii — w Bajkalsku. Mieli tam pokój z żoną i byli szczęśliwi do czasu, aż mu zampolit⁹³ żony nie wyjebał.

— A co ty na to?

— W jedną rękę pizdy i cycka nie weźmiesz.

Porzucił wtedy i żonę, i służbę, i już dziewiąty rok biczuje w Charłuszynie, w domu zmarłego wuja. Żyje tu rybą i własną kartoszką, sam chleb piecze, a parę rubli u babul w sąsiednich siołach zarobi, to skosi, to drew narąbie, na Russkij Sie-wier wystarczy.

— Russkij Siewier?

— Tb płyn kałganowy do pielęgnacji twarzy na osiemdziesiąt pięć obrotów, chcecie spróbować?

Woleliśmy wódkę, aliści Sierioża, być może, by nam pokazać, że Russkij Siewier jest okej, wychylił duszkiem zawartość buteleczki i — po krótkiej chwili — dostał szału. Jął wymachiwać nożem, by mu paszporty okazać. Z trudem ułożyliśmy go spać.

93 zampolit — zastępca do spraw politycznych.

170

171

Kałgan rośnie w lesie — na błotach. To krze-winka nie większa niż wrzos,

o drobnych żółtych kwiatkach. Jej korzeń tak kształtem, jak i mocą przypomina korzenie żeń-szenia. O zaletach kał-gana sam się mogłem przekonać. Żuty, daje efekt amfetaminy.

Po kałgan wybraliśmy się o świcie, póki rosa nie wyschła. To jedyna pora bez komarów. Po drodze Wasilicz opowiadał o życiu w kołchozie podczas wojny. Wstawał o wpół do czwartej, karmił konia i szedł w pole — do dziesiątej wieczór. Z przerwą obiadową — dla konia... Koń przecież musiał być silny.

— A wy sami kiedyście jedli?

— Jak mama przyniosła na pole. Przynosiła albo kalltki z kartoszką, albo żytnie podpłomyki i kubek mleka.

Podczas wojny każdy kołchoźnik dostawał trzysta gram ziarna co dzień.

Oni z mamą i siostrą co pięć dni brali cztery i pół kilo owsa lub żyta — co było. Ziarno mełli na żarnach, dodawali korę sosnową, mech, bulwy tataraku, koniczynę. Z takiego ciasta mama piekła kalitki albo podpłomyki.

Mieli także krowę i chociaż mleko niby trzeba było zdawać, zawsze pół litra ukradli dla siebie. Niekiedy mać chodziła do rybaków nad jezioro Łacza i czyściła u nich rybę za patrochy — ikrę i wątrobę. Te patrochy zapiekała w rybniku.

(Nawias o rybniku! To specjał kargopolski. Najlepiej wychodzi z mąki razowej na zakwasie, w żadnym wypadku nie na drożdżach. Z ciasta robi się gruby placek i zawija weń dużą rybę: leszcza, szczupaka, sandacza. Ciasto zlepia się szwem ku górze i do ruskiego pieca na godzinę. Na stole rybnik

wygląda jak duży bochen chleba, skórkę rozcinasz w poprzek, zdejmujesz

wierzch, ryba leży na niż-niej połówce —jak na półmisku... Zjada się ją palcami, zakąszając skórka, która winna być soczysta i chrupiąca — zarazem!)

To ziarno odliczali im potem z przydziału. Urodzaj dzielili w grudniu: osiemdziesiąt procent państwu, z reszty odkładali na siew, co zostało — rozdawali kołchoźnikom, w zależności od zaliczonych trudodni.

Przydziałem musieli się obejść — matka z siostrą — pół roku zimy.

Wasilicz zimą pracował na lesopowale.

— A oto i kałgan — Wasilicz przerwał wątek i zabrał się do rycia.

Najpierw delikatnie zagłębiał rękę w rozmiękły grunt, chwilę wymacywał ostrożnie, aby korzenia nie uszkodzić, po czym go wydobywał, oblepionego błotem. Popróbowałem za jego przykładem. Żółte kwiatki pokazują, gdzie ręce wsadzić. Trochę głębiej... Jest! Pod palcami czuję zgrubienie, jakby bulwę z odrostkami, wyciągam, oglądam, nic takiego, ot — gruda ziemi (dopiero potem, podczas mycia pod studnią, zauważam, że korzenie mają kształty małego ludzika). Szybko wszedłem w hazard i ani się spostrzegłem, jak i moja torba zrobiła się pełna.

W drodze powrotnej Wasilicz ciągnął opowieść

o kołchozie. Zimą walili las, obrabiali go i wysyłali: jedne kołchozy na eksport — po Swidzi, Łączy

1 Oniedze do Morza Białego i dalej, inne zaś — na Ukrainę. Ich kołchoz wysyłał do jednej z kopalń Donbasu. Przy tym las waliły podrostki piętnaście, szesnaście lat, starszych zabierali na front. Brat Wasilicza przepadł na froncie.

Walili las nad rzeką Komżą w rejonie Szyrbowa, tam dochodziła linia kolejki wąskotorowej Kargo-pollagu, którą odprawiali las do bazy w

Jercewie.

172

173

W Szyrbowie spali w ziemiankach po Polakach (na pryczach byty polskie napisy), pacany z dziewczynkami — jak leci. Pracowali trójkami, on z Miszą walit jodłę (jodły w tajbole bywają takie, że pół kopy muzyków z trudem jedną zataszcza na sanie), a Annuszka ją z sęków obcinała. Potem ją raskrieżewali, czyli rżnęli na sześciometrowe kłocę i układali w sztaple. Dzienna norma wynosiła trzy metry sześciennie na człowieka i dopóki jej nie wypełniłeś, nie mogłeś wracać do obozu, a więc i jeść.

— A jak tam dziewczynki? Spaliście w jednej ziemiance?

— Jakie dziewczynki, Mar! Na onanizm nie starczało sił. Ledwo żywy dopelzałeś do obozu, byle jak pojeść i musztra do pierwszej, drugiej w nocy: baczność, spocznij, padnij i czołganiec: kilometry w kopnym śniegu. Tak nas na wojnę szykowali.

Ciekawe, pomyślałem, napisać by Inny Świat od nowa. „Inny świat” — oczami Aleksandra Wasiljewicza Kostina. I porównać go z obrazem Gustawa Herlinga-Grudzińskiego.

U Sierioży w Charłuszynie żyliśmy trzy dni. Sierioża albo się kajał za wczorajsze, albo bratał, albo znów za nóż łapał. W sumie jednak polubiliśmy się. Ma odjezdnym dał mi adres swojej siostry w Bajkalsku i zapiskę do niej: „Wieroczka, eto brat!”.

Bodaj drugiego wieczoru na kolację była „potrójna” ucha. Wasilicz nałowił w Swidzi leszczy i jazi, a myśmy z Sieriożą w tym czasie chodzili do sklepu. Koszmar, siedem wiorst po rozgrzanych polach — jeśli to w ogóle można zwać polami — raczej po łąkach niekoszonych, zdziczałych

do cna i rozbuchanych. Po drodze ni skrawka cienia.

duchota, żar z nieba się leje, w oczach ćma i mózg w stanie pociemniałym.

I gdyby nie kałgan, to zapewne bym upadł... Lecz w końcu doszliśmy.

Sklep na szczęście otwarty i jest piwo z lodówki. Hosanna!

Tam, pod sklepem, przyczepiły się do nas dwie pijane dziewczki, sielskie bladzie. Chciały parę rubli, ale jak poczuły we mnie „nieruskiego” — po akcencie — to zaproponowały, że mi zaśpiewają — za czerwonce. Tyle stoi Russkij Siewier.

Rzecz jasna, że im dałem. Lubię dziwki, one wszędzie są takie same — w Paryżu, w Warszawie, w Moskwie — i nie wątpię, że te dwie potrafią to samo, co tamte, a może lepiej, bo z oddaniem to robią i szczerze.

Dziewki zaśpiewały:

Ma ulicy syro, Tia ulicy griazno, ' Podochli w prudu karasi. Wsie baby w Rossii Prosili orgazma, A gdziego wzjiał' na Rusi?94

Tymczasem Wasilicz zwarzył „potrójną” uchę. Podaję przepis: wrzucasz do gara z wrzącą, osolo-ną wodą wszelki złowiony drobiazg, jak tylko się zagotuje, zlewasz bulion, drobiazg dajesz kotu, a do bulionu wrzucasz średnią rybę, jak leci, im więcej różnych gatunków, tym lepiej, i znowu do zagotowania, ponownie bulion zlewasz, rybę możesz zanieść sąsiadom, a do bulionu — po raz trzeci — wrzucasz trzy duże, różne ryby, pokrojone
94 Na ulicy syro... — Na ulicy wilgotno, / na ulicy brudno, / zdechły w stawie karasie, / wszystkie baby w Rosji / chciałyby orgazmu, / ale skąd go wziąć na Rusi?

174

175

w dzwonka, na przykład sandacza, miętusa i ja-zia. Wywar robi się gęsty,

dzwonka dochodzą. Niektórzy w ostatniej fazie dodają cebulę, pieprz i paprykę.

Uchę smakowaliśmy pod brzozą na trawie z Olgą i Swietką spod sklepu. Sierioża je zaprosił, obiecując orgazm, żeby potem, w kolejnym amoku, na jedną z nich rzucić się z tomem. Z trudem ułożyliśmy go spać.

Rankiem wyszedłem przed dom. Po polach nosiły się lekkie mgły. Przede mną w niebieskiej woalce majaczyło to, co kiedyś było bogatą wsią Charłuszyno, potem kołchozem „Nowe życie”, jeszcze potem kołchozem „Staliniec”, a dziś jest pustoszą w tumanie.

Na pożegnanie z Kargopoiem poszliśmy z babą Kławą i Wasiliczem na cmentarz do Iwana i mamy. Cmentarz w Kargopolu leży za miastem, przy drodze na Łokszmozero i Pudoż.

Na cmentarzu byłem świadkiem niezwykłego, na pół prawosławnego i na pół pogańskiego obrzędu. Baba Kława nakruszyła na ziemię okruchów dla ptaków-dusz, pokarmiła cmentarnego psa, Iwanowi nalała wódki do szklanki, po czym sami przysiedliśmy na ławeczce, wypiliśmy po sto gram i zakąsiliśmy. Co chwilę — to baba Kława, to Wasilicz — podchodzili do nagrobka Iwana lub mamy, która leżała obok, i gładzili kamień delikatnie, jakby to były plecy ukochanego człowieka. Baba Kława zapewniała Iwana, że już niedługo przyjdzie do niego.

Wieczorem się rozstaliśmy. Aleksandr Wasilicz jechał do Niandomy i dalej — przez Archangielsk

176

— na Solówki. Ja zostałem w „Kargopolance”. Oczekując na ciebie...

17 listopada

Słyszę z różnych stron, że rusycyzmów nadużywam, że staję się miejscami

niezrozumiały... I żałuję, że z polskich szkół usunięto obowiązkowy ruski. Ruski, czyli język rosyjski, był moją szkolną złą. Zawsze na granicy niedostatecznego. Ba, z filologii polskiej nieomal przezeń nie wyleciałem... W końcu poszedłem do profesora Z., dzień przed egzaminem, i obiecałem mu, że jeśli postawi mi troję bez pytań, to nigdy, przenigdy nie użyję tego języka. Aby profesora nie zblążyć. A jednak... A jednak mi żal, że znajomość rosyjskiego w Polsce zanika. Mówię to dzisiaj — z perspektywy człowieka, który polubił Rosję i Rosjan, a jednocześnie z punktu widzenia filologa polskiego, który poprzez język rosyjski (...a zatem i słowiański) głębiej wchodzi w swój rodzimy — polski.

Obawiam się, że młodzi Polacy, uczeni w szkołach bez rosyjskiego, będą chadzać po angielsku ścieżkami Internetu, lecz swojego języka w gębie zapomną... Bo Język tylko wtedy żyje, kiedy ma korzenie, i korzeniami, niczym drzewo soki z ziemi

— ciągnie esencję z głębi mowy". Słowiańskie języki pochodzą z jednej rodziny, mają wspólnych przodków, kto wie, być może tę samą pramatkę? Rosyjski, wychodzący bezpośrednio ze słowiańskiego (tegoż, w którym zostały spisane wczesne zabytki literatury wschodniosłowiańskiej), przechował najwięcej ze wspólnej słowiańskiej przeszłości, zarówno w słowie, jak i w budowie frazy

177

(polska składnia sporo z tacy przejęta...). Języki zachodnie, tak popularne teraz wśród Polaków, są obce z gruntu rzeczy polskiej mowie. W rosyjskim — polski może się przejrzeć — jak w lustrze, angielskim może — co najwyżej — makaronizować.

Wracając do moich rusycyzmów, chcę wyjaśnić, że nie są to — bynajmniej! — przejęzyczenia wynikające z długiego pobytu w strefie języka rosyjskiego, ani — tym bardziej! — wybraki mojej polszczyzny. Przeciwnie, wprowadzam je świadomie i konsekwentnie wszędzie tam, gdzie z różnych przyczyn wydają mi się niezbędne. Ideałem moim bowiem jest taki język, którego można by nie tłumaczyć z polskiego na rosyjski. I odwrotnie.

Zaiste, ideału nie ma... Wzmiankując o nim, pokazuję jedynie kierunek moich poszukiwań — nie cel. Tb jak w tao: tropa — jest celem. Kierunek prowadzi w głąb.

Jeśli weźmiecie to pod uwagę, to rychło się okaże, że owe pozornie ruskie słowa, których niekiedy używam — na przykład: „tuczą”, „otrok” czy „śloza” — można znaleźć w Słowniku języka polskiego z adnotacją, że są przestarzałe. Miłosz pisał w przedmowie tłumacza do Psalmów o tym, że istnieje „sporo słów i określeń, przebywających niejako na granicy przestarzałych, ale ciągle jeszcze znajomych, i te są do uratowania. Pod jednym warunkiem: że będą użyte nie po to, żeby służyły za ozdoby nadające tekstowi patynę, ale dla nich samych, jako celnych”.

Oczywiście to nie wyczerpuje sprawy, nie wszystkie rusycyzmy w moich tekstach są przestarzałą polszczyzną, znacznie częściej używam stów rdzennie ruskich, stów, które się nie tłumaczą w żaden sposób, na przykład: ruska bladź. Dzisiaj to — przede wszystkim — sprzedażna dziewczka, typu na-

178

szej „kurwy”, aliści kiedyś w języku słowiańskim „bladź” miała jeszcze znaczenie „złudzenia” i „kłamstwa”, że przypomnę wspomniały kawałek

kazania protopopa Awwakuma: „Ditia, ali nie rozumiejesz, jako wsią sija wnieszniąja blad' niczto że sut', no tokmo prielest' i tla, i poguba”⁹⁵.

Spróbujcie to przetłumaczyć.

Na co dzień rozmawiam po rosyjsku. Mówiąc inaczej, żyję w żywiole ruskiej mowy, to znaczy w rzeczywistości ukształtowanej przez język rosyjski i kształtującej ten język — zarazem. Niektóre przedmioty tejże rzeczywistości nie istnieją poza nią, na przykład karbas czy szyło, zatem na nic zda się szukanie ich ekwiwalentu w polskim języku. Podobnie ma się z wyrazami tej rzeczywistości, w wielu przypadkach znaczą one co innego niż analogiczne poza jej granicą, choćby „demokracja”.

Pozostawiając więc niektóre rzeczy (pojęcia) w ich ruskiej wersji, niejako okna otwieram w tekście — okna do innej (nie zachodniej...) rzeczywistości.

Bodaj najtrafniej mój język określił Jerzy Gied-] royc, nazywając go „wilczym wolapikiem”. Herling zaś tak o nim rozsądzał: „Ta niezwykła, sugestywna mieszanina polsko-rosyjska, tak pomysłowa i trafna, że robi chwilami wrażenie innego, nowego języka”.

20 listopada

Dostałem list z Czudca... A gdzie to jest? Wojciech G. pisze do mnie, zaniepokojony artykułem

⁹⁵ „Ditia, ali nie rozumiejesz...” — „Dziecko, zali nie pojmujesz, że całe to zewnętrzne kurestwo/złudzenie, to nic innego, jeno urok, marność i zguba”.

179

Kurczab-Redlich o szpiegomanii w Rosji. Artykuł ukazał się w „Rzecie”. G. pyta: „Czy nie obawia się Pan, że jakiś nadgorliwy czekista uzna Pana

za szpiega i nie aresztuje? A może pani Krystyna Kurczab-Redlich myli się w swym artykule? Chciałbym, aby tak było".

Artykułu nie znam, lecz jeśli wywołał on popłoch w głowie pana G., znaczy, rzecz poszła na serio! Jak zwykle tam, gdzie za rzecz biorą się damy nie stworzone do takich rzeczy. W ciemno mogę powiedzieć — przesada! niech Pan się nie martwi, Panie Wojtku.

Znam za to Pandrioszkę. Redaktor Giedroyc zamówił u mnie recenzję od razu po jej ukazaniu się, ale zanim się do niej zabrałem, Redaktora nie stało... Odłożyłem Pandrioszkę na półkę. Obok Imperium Kapuścińskiego. Dziś słabo pamiętam wrażenia z lektury, może jedynie uczucie, że książka była pisana ostrym, wypielęgowanym pazurkiem. Uderzyły mnie także szczegóły („detal to sztuka prozy przeżytej jak dokument" — W.

Szałamow), szczegóły życia rosyjskiego, łowione czułym nosem, uchem i okiem: woń na klatce schodowej, zdrobnienia języka, niemyte wtosy popa, względność kalendarza... Uderzyło mnie, że to samo — niekiedy — i czuję, i słyszę, i widzę. Różnica tkwi w słowie „niekiedy".

O ile bowiem ja zwykle widzę Rosję zimą — w kolorze białym, a w lecie — w zielonym, o tyle pani Krystyna widuje Rosję najczęściej w kolorze czarnym.

Po rosyjsku mówi się: gnat' czernuchu. Nie przeczę, w Rosji bywa czarno. „Ma czarno" można zapisać i „na czarno" w bani napalić, na ulicy może się trafić czarny charakter, bądź wypaść „czarny poniedziałek". Lecz czerń w Rosji nie dominuje.

180

Chyba że się patrzy na Rosję zza ciemnych okularów od Armaniego.

Główną bolączką pani Krystyny, jak i zresztą wielu jej kolegów

korespondentów, jest moskiewski punkt spojrzenia na Rosję. Nie zgadzam się z Teresą Tbrańską, która uważa, że Krystyna Kurczab-Redlich napisała książkę o dzisiejszej Rosji. Ja bym powiedział, że pani Krystyna napisała książkę o tym, jak widzi Moskwę (z Moskwy zaś... Rosję) etranżer, lubiący dobre perfumy i kawior w odosobnieniu. Etranżer, który nie rozumie kraju, w którym się znalazł: „drażniącej, niepojętej, odpychającej i przyciągającej obczyzny”.

A jednocześnie tu mieszka. Czyżby perwersja?

— Jedyni cudzoziemcy, którzy tu siedzą dobrowolnie — mówi pani Krystyna — to oszołomy i kaleki psychiczne.

— A pani do której kategorii się zalicza?

. Pandrioszka jest żywo napisana... Pomijam rozdział o Czeczenii, który dobitnie pokazuje, że są rzeczy, na przykład wojna, nie dla dam. Pani Krysia, jak przystało na Europejkę, nie zna błatnej fieni, to jest: przestępczego żargonu. Skądże mogła wiedzieć, że prezydent Putin powiedział: „Będziemy ubijać bandytów nawet w klopach”, a nie: „Będziemy szczać na bandytów w wychodku” — jak, nieszczęsna, przełożyła, nie podejrzewając, że „moczyć” na fieni znaczy „zabijać”, a nie „szczuć”. Pomijając więc rozdział o wojnie, Pandrioszkę żywo się czyta, na tyle żywo, iż ożywiła w mej pamięci me pierwsze kroki w Moskwie.

Do Rosji wjechałem na haju. Nie pamiętam, który z przyjaciół, żegnających mnie w Gdańsku,

181

wcisnął mi skręta do ręki, jakby chciał powiedzieć, że to moja ostatnia faja skazańca.

0 skrócie wspomniałem przed samą granicą. Jechałem pociągiem relacji Praga-Moskwa, w rosyjskim wagonie. Oprócz mnie w przedziale sami Rosjanie. Zapach grassu niewiele różnił się od dymu ich bielomorów. Potem mieniali kolosa, to znaczy przestawiali nas z wąskiego rozstawu europejskiego na szeroki, swój. Od razu zmienił się stukot kół na łączach. Poczułem rytm rapu.

— U was koła stukają, jakby króliki się trachały, a u nas jak niedźwiedzie to robią — powiedział sąsiad z przedziału.

1 tak trachafsia (coś między jebatsia a zani-mafsia lubowju) — to pierwsze nowe ruskie słowo, które poznałem od zakończenia szkoły średniej.

Ma peronie Dworca Białoruskiego czekała mnie Żenią — znajoma znajomych. Mój jedyny kontakt w dziesięciomilionowej Moskwie. W płaszczu z samodziału, w ciężkich buciorach, okutana szarą chustą, twarzy nie widać, tylko oczy — wielkie i lśniące. Na ulicy lepił mokry śnieg, pod nogami breja, auta w pędzie bryzgały błotem na pieszych. W autobusie ścisk, szyby brudne, zapocone, nic nie widać.

Po drodze próbowaliśmy rozmawiać, zrazu po rusku, lecz mój szkolny ruski okazał się do niczego. Przeszliśmy na angielszczyznę. Żenią po angielsku mówiła bezbłędnie, ja — łamałem język. Objąśniła, że zarabia malowaniem ikon na życie. Dawniej malowała męskie akty i martwe natury.

W domu wyszło, że mogę mieszkać u niej trzy, cztery dni — nie dłużej. Ona sama wyjeżdża za parę dni do Stanów na stałe i tam wstępuje do sióstr pod Bostonem.

Siedzieliśmy w kuchni... T^k, w zwykłej moskiewskiej kuchni w bloku z

epoki późnego Stalina. Na stole kartoszka z kiszoną kapustą, grzyby solone, chleb razowy i wódka. Ona postawiła psze-niczną, ja — żytnią. Jej była lepsza!

Piliśmy do późna, puszczając na zmianę — to cerkiewną muzykę, to mojego Glassa. Siedzieliśmy naprzeciw siebie, z boku okno, my w oknie... Jakbyśmy wychynęli z różnych światów. Za oknem jarzył się Prospekt Leningradzki.

Zbliżyła nas wódka...

Obudziłem się w pokoju pośród ikon. Żenią poszła do spowiedzi. De Custine miał rację.

Pierwsze moje kroki w Moskwie to przede wszystkim spotkania z ludźmi. Z moskwianami... Po Stanach byłem spragniony kontaktu, a nie czystych zębów wyszczerzonych w czystym uśmiechu. Mbskwa zrekompensowała mi USA z nawiązką. Od pierwszych dni.

Dzięki Lizie Pasternak, wnuczce poety, poznałem całą rodzinę Pasternaków, przez nich dotarłem do córki Gustawa Szpieta i natrafiłem na przyjaciół Nadieжды Mandelsztam, którzy z kolei odesłali mnie do ostatniej, wielkiej miłości Warłama Szałamowa i do pary bohaterów z jego opowiadań — Bory-sa Lesniaka i Niny Sawojewej. Poznałem też wielu ludzi mniej głośnych, co nie znaczy, że nie dość godnych opowieści.

O wielu z nich będzie jeszcze mowa.

Wszyscy — bez wyjątku! — gościli mnie, czym chata bogata, choć w Moskwie w tamtym czasie na sklepowych półkach było nie więcej niż w Polsce '81. A i rozmowy były podobne. Rzecz jasna — dźwięczała w tych spotkaniach i rosyjska nuta

— po paru stopkach rozmowa zwykle zjeżdżafa na wiarę, nadzieję tudzież mitość, pozostając do końca po duszom, czyli od serca.

Szybko też wszedłem w krąg moskiewskich Jewrejów i na „dzień dobry” dowiedziałem się, że słowo „Żyd” jest obraźliwe — tak mówią tylko antysemita. Żegnali Pawlika, który wyjeżdżał do Izraela — na stałe!

Byłem jedynym gojem na pożegnalnym bankiecie. Tam usłyszałem jeden z lepszych kawałów żydowskich:

Przychodzi Sara ze szkoły i od progu woła, że jutro Pierwszy Maja i pani powiedziała, że każde dziecko ma przyjść w swoim stroju narodowym.

— Mordechaj, ty słyszysz — krzyczy mama Sary do męża — ona chce wziąć do szkoły szubę i brylanty.

Później zacząłem oglądać Moskwę oczami Weroniki: zaułki

Zamoskworieczja i żydowski kabak na Powieleckiej, Stary Arbat, gdzie pierwszy raz usłyszałem o Witi Coju (na ścianach żegnały go nekrologi-graffiti...), i demonstrację na Nowym Ar-bacie — poparcie dla Jelcyna, i rejon stacji metra Szczółkowskaja, gdzie zamieszkaliśmy. Pamiętam ogon do kiosku co rano po gazety — mężczyzn nieogolonych i woń pochmielu, wspominam ciepło chleb borodinski i czosnek marynowany — na rynku obok metra.

I nigdy nie zapomnę szczęśliwych oczu Weroniki! Ani topolowego puchu na moskiewskich ulicach.

Moskwa, 29 listopada

Dzisiaj Moskwa już nie ta. Dziś tu korki na ulicach. Gdzie się pchasz bydlaku! Ot, który bardziej krutoj (twardy, bogaty, bezwzględny), ten mniej

uwagi na przepisy zwraca, mandat zapłaci i świadka kupi (w razie czego), zatem gonią chodnikami i pod prąd, przelatują na czerwonych światłach skrzyżowania, a — nie daj bóg — zdraśniesz takiego, nie wypłacisz się, bo się okaże, iż zderzyłeś się z kimś ważnym, pełnomocnikiem kogoś ważnego lub z jego ochroniarzem. O, bładź, kawalkada prezydenta pędzi do Kremla (cztery opancerzone mercedesy ochrony i piąty z Putiem w środku), ruch wstrzymali i boczne ulice zamknęli, a potem będą się tłoczyć, klaksonami wyć, jeden w tę jechać chce, drugi we w tę i zablokują się wzajem, na pieszych nikt nie patrzy, pieszy od tego ma oczy, żeby samemu uważać i nie leżać pod koła, tym bardziej że neony ślepią, witryny zawracają w głowie i gdzie nie spojrzysz, nadmiar wszystkiego: w sklepach, na stole, w rozmowach (niektórzy gadają w dwie komórki naraz). Nadmiar żarcia i ciał, słów, póz, gestów, książek i laptopów, celebry i ceremonii.

. 30 listopada

Wybraliśmy się do Moskwy na jarmark „Rosyjski Miód” w Maneżu, by się zaopatrzyć w słodycz na zimę. Kto choć raz pobywał na tym jarmarku, ten już nigdzie indziej miodu nie kupi. Polecam czarny, gorzki miód kasztanowy z Ałtaju, pyszny jest miód plastrowy z Baszkirii, wyśmienite są miody z kwiatów stepowych Kałmucji, lecz najlepszy — moim zdaniem — jest miód północny z pasieki Wiktora Pietrowicza spod Wołogdy. Mojego dawnego znajomka z Sołówek.

Nie przypuszczałem, że go spotkam w Maneżu. Pośród różnolitych sprzedawców, w gąszczu beczek i kadzi, w gwarze nawoływań i targów raptem

znajoma twarz w białej czapie — biały fartuch, białe zęby w uśmiechu — i pełna warząchew bladego miodu z jodłowej spadzi przed moim nosem.

— Popróbuj, Mar, takiego na Sołowkach nie znajdziesz.

Wiktor Pietrowicz Z.... Niegdyś lotnik wojskowy w Sewastopolu, po przejściu na emeryturę przeniósł się na Sołowki, żeby tu pszczoły hodować, bo od dawna marzył o północnym miodzie. Niestety, pszczoły na Sołowkach nie przyżyły się. Po pierwsze, wichry północne zdymały je w morze, bo pszczoły latają powyżej lasu, a Wyspy są małe. A po drugie dlatego, że pszczoła to takie czyste stworzenie, że nie załatwia się zimą w ulu, tylko czeka do wiosny. A wiosna na Wyspy przychodzi w połowie czerwca. Po paru latach nieudanych prób Pietrowicz sprzedał połówkę domu na Sołowkach i czarnego wanderera, po czym wyjechał pod Wołogdę, gdzie założył pasiekę na czterdzieści uli. Tak spełniło się na koniec marzenie jego życia.

Z tym wandererem to osobna historia... Dla tych, co nie wiedzą, o czym mowa: wanderer to auto cieszące się przed wojną renomą.

Nieprzypadkowo ambasada hitlerowskich Niemiec w Moskwie woziła nim znamienitych gości. Tenże wanderer dostał się jakimś cudem w ręce Pietrowicza. Tb była jego wtóra namiętność. Wiktor chwalił się nieraz, że jego samochodem wożono Ribbentro-pa, gdy ów przybył do Moskwy podpisać pakt z Mo-łotowem.

Opowieść Pietrowicza podsunęła mi pomysł na mały happening w stylu Frydrycha — „Majora”. W zeszłym roku na Sołowki zapowiedział się z wizytą Marszałek Sejmu Rzeczypospolitej, czyli „Prezes” Płażyński. Mój kumpel jeszcze ze spółdzielni alpinistów przemysłowych „Gdańsk” (m.in.

razem

186

wisieliśmy na jednej z latarni morskich nad Bałtykiem, robiąc jej ekspertyzę). Pomyślałem, że można by powozić Marszałka Sejmu Rzplitej po Sołowkach autem, którym wożono po Moskwie niemieckiego dygnitarza — do podpisania z Sowietami czwartego rozbioru Polski. Zamówiłem hotel dla delegacji, banie, kolację i wypić. Statek na Zajęcze Wyspy był do naszej dyspozycji, czarny wanderer czekał do usług. Niestety, „Prezes” Płażyński nie doleciał. Wyspy go nie wpuściły. Cały dzień przesiedzieli w Archangielsku na lotnisku... Pogoda była „nielotna”. Morze Białe zaciągnął tuman.

Ot, wypadłem z tematu. Jak dawniej mówili Rosjanie: Haczalza zdrawije, a swiotza upokoj!⁹⁶ Zacząłem o miodzie, a skończyłem na Rzplitej.

* Kolacja u Sławy Popowskiego, korespondenta „Rzepy” w Moskwie.

Miedzy kurzymi piersiami w morelowym sosie a ostrą wołowiną z grzybami (uwaga! — obydwie dania to specjalność Sławy) Maciej Łukasiewicz spytał mnie, czemu osiadłem na Północy?

— Krąg Polarny to w sam raz taka odległość od polskiej sceny politycznej, jakiej należy się trzymać — powiedziałem.

Karelia i w Moskwie mnie dosięgła. W Trietia-kowce, w ramach cyklu „Złota mapa Rosji”, otworzono wystawę „Chudożestwiennoje nasledije Ka-

96 Naczal za zdrawije, a swioł za upokoj! — Za-czął za zdrowie, a zakończył wiecznym odpoczywaniem.

187

rieli”. Ikony, rzemiosło i epos Karelii. Zbieg okoliczności?

W Trietiakowce poczułem się jak w domu. Na ścianach ikony ze znanych siof: Prorok Ilija z Piał-my (XV wiek!), stylizowany na św. Makarego, jednego z Ojców Pustyni, raskolnicze Oteczestwo z mego Zaonieża, przedstawiające Chrystusa ukrzyżowanego w Łonie Ojczym, moja ulubiona Subbo-ta Wsiech Swiatych z Danilowa (święci na niej są biali, jakby się świecili światłami Taboru), ikony z Wirmy i z Kondopogi, z Niuchczy, z Kiemia i z So-łówek.

Ikony Północy osobliwie blikują. Może wpływ ma tu północne słońce, może szkoła biezmotwija Miła Sorskiego, a może niemota Andrieja Rublowa — zapewne wszystko razem. Na północnych ikonach można znaleźć detale życia Północy: jodły z tajboły, karbas, zrąb domu... Patrząc uważnie w lico północnej ikony, ujrzysz inny świat, prześwitujący przez nią.

Oprócz ikon w Trietiakowce wystawiono wyszywkę, znajome wzory pogańskie: wepskie, karel-skie, ruskie. Karelską łatwo odróżnić po barwach (biel i czerwień) i po ornamente (geometryzowane konie, baby kubistyczne, pawie). Z innych zan-rów ludowego rzemiosła pokazano malowanie na drzewie.

No i Kalewala. Obrazy inspirowane eposem, ilustracje: akwarela, akwaforta, gwasz i tusz. Wśród nich ci, których lubię: Walentyn Kurdów i Tamara Jufa. Kurdów łączy ołowiany ołówek z akwarelą, Jufa — akwarelę i gwasz, a w efekcie pojawiają się cuda. Bo cudem dla mnie jest świat bogów pogańskich, wyłaniający się —jakby spod wody (z ciemni dziejów) — na ilustracjach Kurdowa, i nie mniej-

szym cudem na obrazkach Jufy jest twarz Aino, w której jak znak wodny

przeświecają twoje rysy.

Sołowki, 1 grudnia

Kiedy byłem w Moskwie, umarł Aleksandr Ba-żenow. Bodaj największy współczesny malarz Wysp. Zmarł w rodzinnym Petersburgu, nie wychodząc z zapoju, długiego jak noc polarna... Pić zaczął jeszcze latem na Sołowkach i bez końca opowiadał, co zamierza namalować, w istocie nie malując nic. Ostatnio widzieliśmy się pod koniec sierpnia: oczy miał zapadnięte, nerki odmawiały mu posłuszeństwa, gwałtownie się postarzał. Bażenow nieraz podkreślał różnicę między obrazem a fotografią:

— Aparat zdejmuje rzeczywistość z wierzchu (jak leci), podczas gdy obraz to zawsze wybór. Najpierw rozkładasz rzeczy na atomy, świat sprowadzasz do chaosu, a potem z tych atomów (detali...) tworzysz własny wizerunek. Sasza był jedynym malarzem, który umiał namalować światło. Bliki wody na Morzu Białym w białe noce.

„Pejzaż tutejszy to skarbnica dla malarza — pisał Paweł Florenski z łagru — jeziora koloru indygo w słońcu, zieleń świeża jak nigdzie, morze niezwykłych odcieni purpury, różu i szarych błękitów, obłoki dziwnych form i tonów, wszystko razem rzeczywiście piękne. A zarazem nierealne jak sen lub mgliste wspomnienie dawniej widzianego. Tb pejzaż akwarelowy i patrząc nań, nigdy nie masz pewności, że to, co oglądasz, istnieje naprawdę. Pamiętasz wczesnego Niestierowa? Coś takiego, tyle że bardziej widmowe”.

189

Nie wiem, czy Sasza znał listy ojca Pawła z So-łowek, ale pod powyższym podpisałby się obiema rękami. Obrazy z okresu jego najwyższych lotów są widmowe — acz świecą! Na przykład dziwny widok z okna peterskiej

pracowni: na pierwszym planie dzban z kwiatami, ciemne brązy i białe wytryski bukietu, jakby mózg wyciskał z tubki, a za oknem zielone niebo i dachy sołowieckiego monastynu.

— Wyobraź sobie — powiedział, dając mi ten obraz — wielu uważa, że zielone niebo nie istnieje w przyrodzie, a przecież my na Wyspach widzieliśmy je na własne oczy.

To była jedna z pierwszych naszych z Saszą po-pojek. Obmywaliśmy dom na Cyplu Śledzia, tylko co kupiony przeze mnie. Siedzieliśmy w kuchni — na dole. Mój dom budowano w północnym stylu: parter do połowy zagłębiony w ziemi, dzięki czemu i sztormu nie słyszeć, i nie duje. Z okien mej kuchni widać, jak trawa rośnie.

— No, Mar, ty sobie kupiłeś grób — w pewnej chwili rzucił Bażenow i podniósł szklankę do oczu, jakby chciał zobaczyć Zatokę Pomyślności poprzez szyło i szkło.

A jednak to on pierwszy umarł.

10 grudnia

Dni brudne, śnieg stajał, niebo jak wory pod oczami. Ni pisać, ni czytać, ni żyć się nie chce. Jeno spać. Gęste sny zastępują rozrzedzone życie. Życie jak brudnopis: bazgroły, kleksy, na marginesach esy-floresy — ślad nudy. Życie człowieka — według Nabokowa — przypomina tkaną, w której nici wątku przeplatają się

190

z niemi osnowy we wzór, na pierwszy rzut oka — chaotyczny i pogmatwany, ale wystarczy się wpatrzeć nieco uważniej, by dojrzeć osobliwy deseń: kapryśną linię powtórzeń, tajemniczy temat w jawnej fabule, zygzaki odbić i ech.

W Darze cały świat jawi się bohaterowi tkaniną, którą za życia widzimy tylko od lewej strony (supły, splątane nici, sterczące końce), prawą zaś stronę (wyszukany rysunek, grę motywów i tło) zobaczymy z tamtego brzegu — po śmierci.

Nabokow często powtarzał, że łacińskie słowo textum ma dwa znaczenia: tekst i tkan. Twórca to ten, kto powtarza czynność Stwórcy — na własny użytek... Choćby Puszkina: w jego życiu zewnętrzne wydarzenia tak organicznie wynikały z przeżyć wewnętrznych, że historia jego realnego bytu jest arcydziełem, które wyszło spod jego pióra. Dzieła pełnią rolę jedynie przypisów do życia.

W eseju poświęconym stuleciu śmierci Aleksandra Siergiejewicza Nabokow pisał o nieprawdzie biografii, o niemożliwości przeniknięcia cudzego życia, prześledzenia powtórzeń, wzorów tajemnych, podszeptów fantazji i snów. Jedynym człowiekiem, twierdził Nabokow, który potrafi napisać o sobie —jesteś ty sam!

Z tym większą ciekawością wziąłem do ręki biografię Nabokowa pióra amerykańskiego profesora Briana Boyda. The Russian Years właśnie wyszły w Moskwie, w dziesięć lat po amerykańskiej edycji Princeton University Press. W Narodowej Rosyjskiej Bibliotece w Sankt Petersburgu wystąpił Dmitrij Nabokow. Syn pisarza powiedział tam, że biografia Boyda jest wydarzeniem. Żaden naboko-znawca nie może jej pominąć. Rosyjskie lata Nabokowa Boyd opisał na ponad siedmiuset stronach dużego formatu, drob-

191

nym drukiem. Amerykańskie lata twórcy Lolity liczą drugie tyle.

Boyd imponuje objętością, ale i skrupulatnością wobec detalu rosyjskiego

świata. Zarówno przed rewolucją, jak i na emigracji. Jego książka jest swojego rodzaju encyklopedią tego świata, a zarazem gidem po samym Nabokowie. Boyd bowiem z każdego nieomal jego utworu wyłuskuje epizody autobiograficzne i pokazuje od kuchni sam proces ich przeróbki. Weźmy Podwíg: u małego Martinka nad łóżkiem wisi obrazek, na nim tropa w lesie, takiz sam wisiał nad łóżkiem małego Wołodi w petersburskim mieszkaniu Nabokowów i dużo później, w Drugich brzegach Nabokow wspominał, że wielokroć chciał wyjść tą tropą z pokoju... A raz to mu się nawet udało — w Podwígu.

W ogóle pojęcie tropy dla Nabokowa wiele znaczy, nie przypadkiem u niego na stole, zawsze pod ręką, leżał czterotomowy słownik Dała. Tam można znaleźć inne pojęcie podwígu. Oprócz wyczynu, dawniej to także — droga lub podróż. Podróż, którą Nabokow szeroko rozumie: w przestrzeni tudzież w czasie, z jednej strony zwierciadła na drugą, z tego świata — tam i z powrotem, z obrazka nad łóżkiem do własnej fabuły i z fabuły poprzez grób na prawą stronę, i tak dalej, i tak dalej...

Boyd pisze: „To bardzo złożone uczucie, kiedy cały świat wchodzi w ciebie, a ty sam zupełnie się rozpuszczasz w nim. Raptem ściany więzienia twojego «ja» rozpadają się i «nie ja» wdziera się z zewnątrz, aby ratować więźnia, który i bez tego tańczy już na swobodzie”.

Lecz mimo wszystko wolę czytać Nabokowa niż Boyda.

192

23 grudnia

O, jutro Wilia, a ja jeszcze nie zakończyłem swoich letnich włóczęg po Karelii... Coraz bardziej przypomina to Zimowe zapiski o letnich wrażeniach. Za oknem wali śnieg z nieba, drzewa przysypane, jeno końce

widać, Morze Białe — gdzie okiem sięgnąć... — zamarzło, a ekran wciąż jeszcze ciepły.

Dotarłaś do Kargopola w środku nocy. Białej... Prawdę mówiąc, przysypiałem nad stolikiem w „Kar-gopolance”. Z głośnika za barem snuła się Tawer-na Kruga, mimo uszu — szum ruskiego mata. I oto kargopolski sen trwa nadal.

Cucimy się w Oniedze — pod granitowym pomnikiem Baranowa (pierwszego zarządcy rosyjskich kolonii w Ameryce Północnej). Wokół noc, jakby mleko do rzeki się wylało. Z jeziora Łacza wracają rybacy z nocnej rybałki. O czwartej rano wyruszamy w drogę.

Za cmentarzem skręcamy na pudożski trakt — czyli na jzachód. Szare audi. Clapton gra Reptile. Lekkie wino. *

Pierwsze sioło na trasie — Ladiny. Na przeźroczu nieba znienacka wyskoczyła drewniana dzwonnica i dwie cerkwie za drewnianym płotem — niczym kadr z Tarkowskiego.

Ladiny są starsze niż pierwsze wzmianki o Rar-gopolu. TU były pierwsze osady Słowian w Przy-onieżu. Osadzali się na „mokrym korzeniu”, gdzie „las od wieków nie orany”, i wiedli karczowaną uprawę roli. Najpierw wyrąbywali las i kładli go pokotem — ścielili. Las leżał rok i schnął, potem go podpalali. Popielisko orali, zasiewali i zbierali niezły plon, zwłaszcza w pierwszych latach. Po jakimś czasie, kiedy płodność popiołu i ziemi spadała,

193

I

północni rolnicy porzucali zgorzelisko (zarastało osiną, olchą i drobną brzozą), a sami przechodzili na inny starodrzew. Te opuszczone

zgorzeliska tak i nazywali: ladiny.

W siole dyskoteka się kończy. Podrostki z podlotkami nas otaczają i radzą: co i jak? Że do klubu lepiej nie iść, bo tam teraz draka. Że papierosy można kupić, tylko sklepową trzeba obudzić (była piąta!). Ktoś pobiegł budzić Tamarę Pietrow-nę, ktoś znalazł klucze. Ja nie mogę oderwać oczu od cerkwi. A miejscowe dziewczki nie mogą oderwać oczu ode mnie i wyjść z podziwu, że polski pisarz trafił do nich do Ladin. I że super podróżować we dwoje... Ich ożywione oczy mówiły, że wiedzą, co to kajf. (Kajf to slang. „Pod kajfem” można chodzić po anaszy, czyli po marihuanie, i kajfowo się trachać — nie kochając, kajf można od muzyki doznać i od podróży. Od widoku z okna i od kota w worku — co kto lubi). Ja poczułem kajf od tych chramów i od tej jutrzni w Ladinach (nie mam nic przeciw, aby obrzędy kapłańskie we wszystkich konfesjach świata odprawiały wyłącznie kobiety tudzież dziewczęta). I od ich oczu. Ich chramy — Pokrowo-Wasiljewski i Bogojaw-lenski — to cuda drewniane... O cudach zaś pisać nie sposób, bo co z tego, że jak na Kizach będę opowiadał o ośmiobokach na czworobokach, o dachach namiotowych i o kopułach, kiedy tam życia nie było, a tuje widzę na zewnątrz chramu. Miast „nieba” nad głową (w północnych cerkwiach na sklepieniu malowali „niebo”, czyli postacie świętych, Matkę Boską, Pana Boga i proroków) — mam prawdziwe niebo. Zamiast dusznego kadzidła czu-

ję aromat krótkiego północnego lata, zamiast wysuszonych mnichów i tłustych Finów — ladinki. Ich oczy odprowadzały nas dalej.

A dalej była srebrna gama: od białych tumanów nad łąkami i świecących wyżej do czernidła lasu na obrzeżkach każdej klatki w oknie audi — jak

zza obłoków Antonioniego. Błota się jarzą i przelewają w popielatych torfach, czasem błysnie woda — lub twoje oczy w głębi... Na drogę wybiegło stado łosi. Claptona zmienił David Bowie.

Wjeżdżamy do Parku. Droga na Pudoż odchodzi w lewo, nasza na wprost — do Lokszmowie-ra. To południowy kraniec Kienozierskiego Parku (Kienoziera). Dziesięć lat temu Jelena Szatkowska, córka oficera KGB, a z dziada-pradziada Pomorka, założyła ten Park i rządzi w nim — bezpardonowo. Lena ma w sobie coś z Katarzyny Wielkiej (bynajmniej nie biust) i duże marzycielskie usta. Dwa lata temu, kiedy się poznaliśmy, traktowała robotników Parku jak swoich rabów. Pokazując w krąg, mówiła:

—* Widzisz, my pijemy, a oni nie mogą.

Staliśmy przy ognisku i rzeczywiście, piliśmy wódkę pod smażoną szczukę i marynowane prawdziwki, a muzyki nas obsługiwali. Potem odwieźli nas z powrotem.

Kienozierski Park narodowy należy (bez wątpienia!) do najpiękniejszych w europejskiej części Rosji. Dotrzeć do niego można pociągiem i autem, dalej jedynie na łodziach. Lub pieszo... Najlepsza rybałka bywa tam w listopadzie (na sielawę), miejscowe muzyki są na każdą pogodę.

Kienoziero słynie jako „kraina swobody i głuszy...”, to raj dla kolekcjonerów folkloru, poszukiwaczy ikon. Tutaj pogańskie kulty splotły się z bez-

194

195

popowską odmianą raskołu, dając w efekcie dziwny hybryd: ni to człeka, ni to konia. TU ludzie żyją od wieków prawie bez zmian... W wielu wsiach

prądu nie ma, nie mówiąc o telewizji. Tu wreszcie można żyć bez świadków, skryć się. Naprawdę.

Łokszmozero jeszcze śpi... Nie dojeżdżając do sioła, skręcamy w lewo na Masielgę, dział wodny między Morzem Białym i Bałtykiem. Masielga po karelsku: Góra Ziemską. Jedziemy stromym grzbietem o lesistych zboczach, w dole po prawej migoce jezioro Wileńskie — chełbie wśród drzew — złączone siecią strumieni, rzeczulek i jezior z rzeką Oniegą i Morzem Białym, a z lewej bije światłem po oczach jezioro Morszczychinskie, powiązane wodną pajęczyną z Oniego i z Bałtykiem. Słowem — znaleźliśmy się na granicy dwóch światów. Tu można spać w audi do woli.

24 grudnia

Moja dziesiąta Wilia na Solówkach... Niezły srok, czyli pajda po naszymu. Na Wyspach tylko ja urządzam kolację wigilijną dziś — według katolickiego kalendarza. Pozostali sołowczanie olewają Boże Narodzenie, albo też świętują je 7 stycznia. Co roku zatem trzeba choinkę z lasu szabrować, bo tak zwany bilet na jej wyrąb sołowiecki Leschoz sprzedaje tuż przed Nowym Rokiem.

Z czasem to tu w ogóle są jaja... Zwłaszcza w zeszłym roku się porobiło. Prawosławni świętowali Boże Narodzenie w Jerozolimie pierwsi (zwykle spóźniają się o dwa tygodnie). Jan Paweł II był potem... Do Jerozolimy nawet Borys Jelcyn przyleciał. Aż się chciało zaśpiewać: „Lulajże Jelcuniu”.

196

Po choinkę poszedłem na najbliższy cypel, widoczny z okna. Jak zwykle żał było wyrąbywać zielonego malucha spod poduchy śniegu. Tym razem

— maluchem okazała się strojna i krasiva jołoczka.

Pod choinkę ktoś mi podsunął powieść Jerzego Pilcha Pod Mocnym Aniołem. Może tytułem zmylony...

Na stole wigilijnym pierwszy był kot Grass — biały i puszysty pers.

Opłatek był potem — bez modlitwy.

Wszak modlitwa to całe nasze życie, nieprawdaż?

Dalej dwanaście potraw: gruziński Ararat pod cytrynę, oliwki, brzoskwinie, dynia i śledź, sieja duszona, chała domowego wypieku, kiszony barszczyk (buraki z własnego ogrodu), a zamiast kompotu z suszu — mors z żurawiny tudzież tort od Małgosi z Kir. No, i rzecz jasna — kutia.

Ta kolacja ma dla mnie znaczenie czysto rodzinne, to znaczy jest okazja pogadać przez telefon z najbliższymi: z Rodzicami, z Maisons-Laffitte, dzwonił Jerzy Pomianowski, Grzegorz z Warszawy i Krzych z Toronto, Ryś z Wrocławia i Zdzich z Południowej Afryki oraz Magda, Ania, Natalia... Cała zaś reszta to — ustownost'. Po rosyjsku brzmi lepiej, bo w słowie „usłowność” widać naprawdę słowną naturę tego wszystkiego.

O północy przemówił kot Grass.

Kargopol, 31 grudnia

Usiedliśmy w Kargopolu jak na mieliźnie. Do przyjścia Nowego Roku zostało parę godzin. Pasza z Pietrozawodska po nas wyjechał, lecz jeszcze go

197

nie ma... Pewnie utknął na wołoku. Brakuje kasy i wina. Dobrze choć, że w karmanie jest' paczka sigariet⁹⁷ —jak śpiewa Coj.

Tym razem twoje oczy wybiegły mi na spotkanie już na lotnisku w

Archangielsku. A w Archan-gielsku — ziąb. Grzane wino i cynadry nieco nas rozgrzały i pojechaliśmy taksówką do Oniegi po zimniku. Droga zimową. Faręset wiorst.

Na jodłach czapy śniegu. Księżyc stęzał... Ma zimniku bliki od reflektorów, jak — potem — na dechach dyskoteki w „Onieżance”. Znów grzane wino... Oj, chyba tego wina było nazbyt wiele, bo zrobiliśmy fałszywy krok i wsiedliśmy do auta chłopców, którzy chcieli zarobić sto baksów, nie znając drogi do Pietrozawodska. Błądziliśmy po Przyonie-żu do rana, często lądując w zaspach śnieżnych na poboczu. Raz nas kamazem wyciągali! Aż z głupia frant — okazaliśmy się w Kociewie (rozpoznałem knajpę, w której piliśmy z Loszą, jadąc wtedy do Wierszynina). Osiemdziesiąt wiorst od Kargopola! Ku wielkiemu zdziwieniu naszych kierowców.

W Kargopolu chłopcy zwiali, zostawiając nas na lodzie: bez kasy, bez wina. Bez słowa.

Kargopol w zimie jest jeszcze bardziej nierealny niżli latem: w błękitnobiałych obłoczkach ni to pary z ust, ni to szadzi. Cerkwie ze śniegiem się zlewają w jedną bryłę, na rzece — to tu, to tam — rybacy. Jak kropki na pustej kartce papieru (lub ekranu...). Ludzie w uśmiechy zakutani, już w noworocznym nastroju, a na targu świeże leszcze.

Bierzemy wielkiego jak brytfanna na rybnik, bez specjalnej nadziei, że go dzisiaj zjemy... I w rym momencie nadjeżdża Pasza. Trzy godziny zmitrę-97 w karmanie jest' paczka sigaret — w kieszeni jest paczka papierosów. żył na wołoku, zablokowany przez kamaza, który się wywrócił w poprzek drogi. Ruszamy dalej.

Pietrozawodsk, 2 stycznia 2002

Wątki się splątały jak nitki w twojej osnowie. Wróćmy więc na Maselgę, gdzie nas zostawiłem (na kartkach innego notesu) w szarym, przytulnym audi i...

...w gorzkim zapachu ziół i błot rozgrzanych słońcem. Droga na Chiżgorę parzy w gołe stopy (szare audi zostało na parkingu w lesie), przydrożne osty zaczepiają jak znajomi na ulicy. Chiżgora jest najwyższym wzniesieniem Masielgi — zwieńczeniem Ziemskiej Góry. Na szczycie stoi drewniana cerkiew Aleksandra Swirskiego z odlotowym widokiem z dzwonnicy. Klucz do chramu bierze się u Iwana Głuchego na dole (dom nad brzegiem jeziora). Iwan żyje z żoną Anią i bez światła przez okrągły rok. W ubiegłym sprawiali złote gody. I nigdzie stąd nie zamierzają się ruszać. Na wszelki wypadek, jeśli przyjdzie umierać w archangielskim szpitalu przy dzieciach, przygotował dziesięć litrów spirytusu, by choć jego serce w owym spirytusie przywieźli na Masielgę i tuje pochowali. Na Płakał-nicy pod Chiżgora.

Im bliżej szczytu, tym się robi dziwniej. Mniej więcej w połowie zbocza z lasu wychodzą drewniane krzyże, jedne zmurszałe, drugie nowsze — to Płakalnica. Las tutaj wysoki i krzyże wychodzą z cienia. Wspinamy się wyżej i wyżej, i raptem oślepia światło. Szczyt góry. Chram, dzwonnica. Zadzierasz oczy — jak kieckę — i drapiemy się: pierwsza drabina, druga, trzecia. Wszystkich nie zliczyłem, bo ukazał się prześwit. Wąska szczelina rozszerzyła się na wszystkie cztery strony świata

198

199

I

i widok ukazał się precudny... Mam wrażenie, że patrzę w oczy innego

świata — w oczy jego jezior bez liku.

Niektórzy mówią, iż widok z Chiżgory można porównać do obrazka z sołowieckiej Siekierki. Nie kłóć się, acz sam widziałem jeszcze kilka równie niezłych.

Tymczasem Lokszmoziero przebudziło się — do święta! Wjeżdżamy w sam środek, przecierając oczy ze zdumienia, że zapomnieliśmy — wszak dzisiaj Piotra i Pawła, patronów tutejszej cerkwi (tzw. priestolnyj prazdnik). Wjeżdżamy ostrożnie, trzeba uważać na pijanych, którzy ledwie niosą się na nogach, naprzeciw sunie krokiem nieomal tanecznym korowód bab (w strojach ludowych...), obok cerkwi „lica kaukaskiej narodowości” sprzedają chłam i tanią wódkę, ale największe wrażenie — mimo wszystko! — zrobił na mnie przyjezdny pop, który w jeziorze ochrzcił konia.

Wątpię, żeby taki pomysł przyszedł do głowy samemu Oogolowi (skądinąd mistrzowi w knuciu podobnych hec), do takiego absurdu w Rosji jego czasów było jeszcze zbyt daleko... Sam nie rozumiem, może ten pop tak przed celebrą wypił, że nie odróżnił konia od ludzi, i chrzcząc całe stado pijanych tubylców, wziął białą kobyłkę za miejscowe dziewczę, a może to tygiel różnych wiar taką tu kaszę nawarzył. TUtaj do dziś bowiem jedni wierzą w święte drzewa, na których krasne szmatki zawiązują, inni oddają cześć prawosławnym bogom i ich świętym, tych tu zatrzesienie, a jeszcze inni biją pokłony pozostałym, wszystko jedno: Stalin li to, Breżniew czy Putin, byleby wódka na święta była... No cóż, umysłem Rosji nie pojąć.

Święto trwało tydzień. W tym czasie utonął pacan w jeziorze. Muzyki pili z żalu na brzegu, ale

żaden nie wszedł do wody, żeby topielca wyciągnąć. — Sam wypłynie — mówili i „po chuju” się kłócili: na który dzień? Później poszliśmy do Jewgienija na urodziny.

Żeni stuknęło sorok. Według miejscowych zabobonów muzyk czterdziestki nie wyprawia. Lecz co robić? Czekać na czterdziesty dzień tego pacana z jeziora?

U Żeni na urodzinach — i rojno, i pijano, i ciepło — po domowemu.

Jewgienij się postarał, przyniósł z jeziora parę szczupaków i cały majdan sielawy. Zatem ucha na początek (olbrzymie łby szczuk tylko dla mężczyzn), potem sielawka pod nalewkę (nalewka nasza, stół wasz — tak się z Żenią umówiliśmy). Tania w tym czasie zająca upiekła. Zajac był z borówkami. A potem poszliśmy na smentarz — do rodziców Jewgienija. Najpierw odwiedziliśmy ojca i matkę. Żeńka zapłakał nad grobami... Zapłakał, że pije. Przysiedli-śrtiy, wypiliśmy nalewki, okruchy ptakom rozsypaliśmy. Ptaki przyleciały. Czarne. Później ruszyliśmy między mogiły.

—'Ten się powiesił z powodu dziewczki, suka była. Tamten zapił po śmierci swej Tani, trzy tygodnie pił i umarł. Tego pacana Locha rozjechał, Locha był w dupę pijany. A ten tutaj zastrzelił się z żalu — że pije. Ja też pewnie kiedyś strzelę sobie w łeb.

Przed odjazdem z Lokszmoziera wykąпалиśmy się. Akurat była burza...

Jezioro świeciło się i przesypywało w twoich włosach.

Dalej wołok: siedemdziesiąt wiorst do Pudoża drogą, po której jeśli jechałeś, to rozumiesz, o czym myśleli nieliczni podróżnicy po Karelii, pisząc, że tu nie ma dróg... Tę, po której myśmy jechali — budowali.

Nazywam ten odcinek trasy wołokiem z dwóch

201

przyczyn. Po pierwsze — obok przechodził wołok Nowogrodców przez wododział Bałtyku i Morza Białego. A po drugie — bo sam przewlekałem tędy auto, idąc przodem i udeptując (boso) koleiny po kamazach w szarej mazi gliny i błota, ażeby nisko zawieszone audi — z tobą za kierownicą — nie siadło. Deptałem tak wiorst naście.

3 stycznia

Na Nowy Rok do stolicy Karelii nie zdążyłem, ale kto by się tym przejął, jeśli ty — ze mną... Jak hemingwayowskie święto.

Szampana strzeliliśmy na pierwszej śluzie Kanału pod Powieńcem. Mimo woli wspomniałem, jak przechodziliśmy tędy z Wasią w Karelskiej tropie... Zimą Kanał jest jeszcze piękniejszy.

Piliśmy z gwinta (któż mógł przewidzieć, że Nowy Rok spotkamy w drodze?), patrząc w kierunku Oniego. Za plecami, gdzieś za wododziałem, wisiała czerwona luna... Zupełnie krasna.

Szampana było dużo, bardzo dużo. Potem — dalej na trasie — Pasza chichotał, że go jodły przydrożne za uchem i po karku łaskoczą, nie dając wieść auta.

Dojechaliśmy przed świtaniem... Twarze ludzi, którzy na nas czekali, rozmazują mi się, ale jedno pomnę ostro: to były bardzo smutne twarze. Nic dziwnego, tutaj wystarczy spojrzeć przez okno do studni podwórka, aby zechcieć się w nią rzucić.

Kiedyśmy tu pierwszy raz przyszli z Wasią i Junga na „Anturze” — ciągnąc Karelską tropę — hulało właśnie święto Pietrozawodska. A nawet miasto na święto pięknieje.

Już z daleka — gdzieś spod Wielkiej Klimie-nieckiej — dojrzelismy helikoptery krążące nad miastem, spadochrony, barwne dymy w powietrzu. Piruety i beczki.

Na brzegu także były beczki — z piwem. Z trudem przycumowaliśmy. Przy pomoście — ciasno. Dziewczęta w topless skakały pod jacht, a gdy się wynurzały, to sutki im sterczały z wody — jak spła-wiki. I jak tu się skoncentrować na cumowaniu.

Przez zapach smażonego mięsa i piwa przebijała woń wodorostów.

Pierwsze wrażenie: ależ wszyscy są pijani! Oprócz „lic kaukaskiej narodowości” — ci targują szaszłykami i piwem.

Drugie wrażenie: ile tu ślicznych dziewcząt, alkoholem znieczulonych. Same zaczepiają, proponując bliskie krzaki.

No, a trzecie wrażenie: czemu tu nie ma toalet?

Powoli temat toalet wziął górę nad obserwacją ogólną i jałem śledzić tych, co nerwowo przebierali nogami. Sam w końcu sporo piwa wypilem. A odlać go nigdzie.

TU mała dygresja o rosyjskich toaletach. Był 1991 rok, ledwie przyjechałem do Rosji i pierwszym miastem, dokąd się wybraliśmy z Weroniką — był Petersburg. Wtedy jeszcze Leningrad... Zwiedzaliśmy Carskie Sioło, liceum Puszkina, długo brodziliśmy po parku, aż czuję, coraz wyraźniej, że mi się chce, a nie ma gdzie. Biegiem na dworzec, do toalety, znaki w oczach migają, ruskich bukw nie odróżniam (ruski język ledwo, ledwo) i... wpadam do żeńskiej toalety. I co widzę? Rząd obsra-nych dziur bez przegród (choćby cienia przepierzenia), nad każdą baba okrakiem, kieca zadarta, oko wybałuszone... Jedna mnie ujrzawszy zaczęła

się podnosić i majtki naciągać, nie przestając na moment szczać. Tak mnie to skonfundowało, że zmyliłem słowa i zamiast powiedzieć izwinitie⁹⁸, wybąkałem spasibo".

Powracając na bulwar nadbrzeżny Pietroza-wodska, pytam w końcu jednego ze sprzedawców szaszłyków, gdzie toalety, a on mi na to — wszędzie. I rzeczywiście.

Schowałem się za Melodię Kopalewa, pomnik swego czasu skandaliczny, rzeźbiarz bowiem usadził pupą półgołą muzę ze stali nierdzewnej na ogromnym, płaskim kamieniu, który, według legendy, służył Piotrowi Wielkiemu za ołtarz cerkwi polowej. TU się poznaliśmy — pamiętasz? Potem szło widowisko historyczne po bulwarze, rodzaj teatralizowanego pochodu, w którym kolejni przebierańcy, pieszo i na ciężarówkach, odgrywali sceny z dziejów miasta Pietrozawodska: na czele pochodu kroczył Piotr I Wielki — z wielkim drewnianym mieczem (ten miecz skojarzył mi się — nie wiedzieć dlaczego — z naszymi czołgami ze styropianu, którymi bawiliśmy się w Stoczni Gdańskiej w maju 1988 roku). Za nim podążał poeta Dierżawin, pierwszy gubernator Ołonieckiej guberni, autor poematu Wodospad (o nim rzecz pójdzie dalej). Z Gawriłą szła pod rękę śliczna dziewczyna w czerwonej, przewiewnej sukience (Kariel-skaja Trudowaja Kommuna), a za nimi jechali na półciężarówce „czerwoni Finowie" — w łagiernych buszlatach. Za Finami — Wepsowie z siecią, dalej Karelowie w narodowych strojach i pionierzy metalurgii (Pietrozawodsk powstał wokoło Pietrowskich zakładów metalurgicznych, gdzie odlewano

⁹⁸ izwininltie —przepraszam.

99 spasibo — dziękuję.

armaty i kule na wojnę północną ze Szwecją), traktorzyści (do dziś na miejscu Pietrowskich zakładów stoi fabryka traktorów, jedna z największych w Rosji). Dalej szedł Jurij Andropow (który w stolicy Karelii zaczynał karierę w KGB), za nim szli weterani, a na końcu szedł — jeżeli go z kimś nie pomyliłem — obecny gubernator Katanandow z obstawą. Za Katanandowem parla tłuszcza.

Wróciłem na jacht. Wasia w tym czasie, gdy mnie nie było, jakąś młodą Karelkę (a może We-pskę...?) przygruchał. Ale jak tylko mnie zobaczył, rzucił Jungowi „koniec” do odcumowania. Karelka wyskoczyła za burtę i długo jeszcze widziałem jej sutki, tańczące na wodzie...

To mi przypomniało inny epizod chodzenia z Wasią. Staliśmy pod Kijostrowem na Morzu Białym i zbieraliśmy się do drogi. Junga marudził z „końcami”, Wasia rychtował żagle, a ja coś skrobałem w notesie. A kiedy już w końcu rwaliśmy kolwę, na skały Kijostrowa (krasny granit) wyszły dwie dziewczki. Widząc, że je obserwujemy (Jungi od lornety siłą nie można było oderwać), jęły się rozbierać — dó naga! Co robić? Junga gotów wpław

— do nich, Wasia mówi, że wiatr mamy w żagle i woda poszła... Ja zaś pomyślałem, że lepiej odejść ze smakiem niż zjeść, a potem żałować.

5 stycznia

Potem jeszcze parę razy bywałem w Pietroza-wodsku i sporo kręciliśmy się autem w rejonie Kondopogi i Kiwacza, Elis Clubu i Kalewali. Ta ostatnia w tym miejscu to nie epos karelo-fiński, lecz pensjonat nad Konczozierem. Leży niby senne marzenie, jest sauna i bania, i bar czynny

do rana, las wokół, obsługa dziewczęca i w poke-

204

205

ra grają... Jezioro tam czyste jak oczy przemyte łzami.

W tym czasie poznałem wielu pietrozawod-czan: fanów muzyki etno, studentów i outsiderów, profesorów tutejszego uniwersytetu (m.in. specja od rytów naskalnych na Biesów Nosie, znawcę Klu-jewa oraz kolekcjonera płócien Rericha), trochę dziewcząt lekkiego zarobku i jedną businesswo-man, a także bandytów i księgarzy, rzeźbiarzy i cieśli, redaktora żurnala „Siewier”, dyrektora archiwum i polskiego księdza, kilku poetów i kilkunastu ewidentnych wariatów oraz garść przyjaciół. I parę wiernych ócz.

8 stycznia

Kalitka — w polskim słowniku oznacza „zgrzebną koszulę i także hajdawery”. W Karelii kalitka to rodzaj podpłomyków z żytniego ciasta. Bierzesz mąkę, olej i wodę, mieszasz i na godzinę odkładasz. Dla nadzienia gotujesz pszenną kaszę z masłem lub kartoszkę. Z ciasta formujesz placuszki wielkości dziewczęcej dłoni, kładziesz w nią nadzienie i zlepiasz tak, by gotowy podpłomyk przypominał żeński srom. To narodowa potrawa w Karelii.

Takie kalitki (pierwszy raz w życiu...) jadłem wczoraj na kolację świąteczną. Było Roźdiestwo, czyli prawosławne Boże Narodzenie.

Przy kolacji rozmawialiśmy o Kalewali... Mówisz, że to eros czystej wody, a ja nie do końca pojmuję, czy żartujesz, czy też naprawdę mylisz erosa z eposem? Na kolacji była Świetlana G., miejscowa malarka, którą zajmują wyłącznie tematy z Kalewali. Przyszła z mężem, fotografem Igorem. On w

rozmowie nie uczestniczył, bo jak

206

usłyszał, że mowa o eposie, to się zajął onanizmem — w pokoju obok oglądał swoje slajdy. Gadaliśmy we troje.

W gruncie rzeczy gadaliśmy o... szamanach. O starym Vaino, głównym herosie eposu, i o jego babach, poczynając od Ilmatar — matki, Córy Powietrza, a kończąc na Tuoneli — pani Krainy Śmierci. Święta mówi, że wszystko zaczyna się od kobiety — od jej sromu. I kończy się sromem — Tuoni. A po namyśle dorzuca, że nie tyle się kończy, co zaczyna na kolejnym poziomie spirali. Tak jak w Śmierci Iwana Iljicza Lwa Tolstoja, gdzie bohater, konając, przeciska się głową naprzód w stronę światła.

— A Aino?

— Ona nie chciała wyjść za starucha i wybrała morze. Vaino wprawdzie ją wyłowił pod postacią siomgi (tym, co nie czytali mojego Wilczego notesu, wyjaśnię, że siomga to łoś szlachetny, zwany tu „carską rybą”). Otóż on ją wyłowił i... uronił z powrotem do morza.

— Dlaczego?

— Bo nie rozpoznał w tej rybie Aino. On był już stary, wspomnij: „stary, wierny Vainamóinen” — jego stały epitet. Ręce mu drżały, niedowidział. Aino chciała go wypróbować, a on zamyślił ją zjeść, wzięwszy za zwykłą rybkę. Jej nie pozostawało nic innego, jak mu się wyśliznąć z powrotem do wody. Aino po karelsku to jedyna — sama jedna.

— Co myślisz o Vainamóinenie?

— To Pierwszy Szaman, od niego wszystko się zaczyna.

— W jakim sensie: „wszystko”?

— Kalewala. Przecie to on ją zaśpiewał. A jak skończył, wziął narty i

poszedł dalej, zostawiając pojedynczy ślad. On był Szamanem Słowa, a od Słowa wszystko się zaczyna, nieprawdaż?

— Więc jak: od sromu czy od słowa?

207

— Jeśli srom, to mamy do czynienia z Wielką Matką Ziemią, jeśli słowo

— to mówimy o początkach patriarchatu. Innymi słowy — im bliżej do

sromu, tym człowiek bardziej przypomina zwierzę. Czci zwierzęta,

utrwała ich rysy w naskalnych rytach — pamiętasz rysunek na Biesów

Nosie nazywany przez etnografów Adamem i Ewą? Erotyka ery kamienia

— pierwsza znana pozycja seksualna — od tyłu na czworakach... Jak

zwierz. Im bliżej słowa zaś, tym bardziej sapiens, he, he.

— Okej, a drudzy szamani?

— Myślisz o Ilmarinenie i Lemminkainenie? Oni byli niżej, ich kobiety zajmowały, srom. Pamiętasz, z kim oni się związali?

— Opowiedz.

— Lemminkainen wziął Kyllikki siłą, a potem dureń obiecał, że więcej nie będzie wojował, jeśli ona pozostanie mu wierna. Jak sądzisz, kobieta może być wierna facetowi, który ją bierze siłą i jej się to bardzo podoba, a zaraz potem tenże facet obiecuje, że więcej tak nie będzie?

— Sądzę, że nie.

— No widzisz, dlatego się puszczała. Archetyp kurwy.

— Co w takim razie powiesz o pannie Pohjoli?

— Panna Pohjoli to twoje fatum.

— Nie pojmuję...

— Córa Pólnocy. Jej matką była Louhi, co po karelsku oznacza szczelinę.

Wielu mężczyzn ją chciało, ale tylko Ilmarinen ją posiadał.

— Czym?

— Młynkiem szczęścia — pamiętasz? On był kowalem, pracował w żelazie i tylko on potrafił taki młynek wykuć.

— Co było dalej?

— Panna Pohjoli zamieszkała u kowala Ilmari-nena i stała się gospodynią jego domu. Dlatego

ona nie ma swojego imienia, bo albo jest panną albo gospodynią, zawsze wierna. Jak fatum.

— A Kullervo?

— To rab. On u niej pracował i jej pożądał. Gospodynii domu kowala Ilmarinena, chcąc postawić Kullervo na miejsce, zapiekła kamień w kalitkę i dała mu na drogę, gdy poszedł pasać jej krowy. Kullervo próbował rozciąć kalitkę i złamał swój nóż. Nóż jest archetypem męskiego członka... Pojmujesz?

— Pojmuję.

I tak sobie gwarzyliśmy podczas świątecznej kolacji na prawosławne Boże Narodzenie w Pietro-zawodsku.

9 stycznia

Poeta Gawriła Dierżawin przybył do Pietroza-wodska 17 grudnia 1784 roku. Imperatorowa Katarzyna Wielka specjalnie dla niego utworzyła oło-niecką gubernię. W mieście Pietrozawodsku na gubernatora Dierżawina czekał generał-guberna-tor Iwan Timofiejewicz Tutolmin — namiestnik oło-nieckiej i archangielskiej guberni. W Rosji bowiem, zarówno wtedy, jak i dziś, nie było precyzyjnego rozdziału władzy, a więc odpowiedzialności. Przed senatem i przed Imperatorowa za gubernię odpowiadał gubernator, natomiast w gestii namiestnika znajdowały się

urzędy — tak administracyjne, jak i z wyboru. Często okazywało się, że nie wiadomo, które z nich powinny podporządkować się gubernatorowi, które — namiestnikowi, w efekcie zależały od każdego oddzielnie i od obu razem. Poeta Dierżawin w roli gubernatora był nowicjuszem. Generał-gubernator Iwan Tutolmin zaś — ba!

„W północnej głuszy — pisze Władysław Chodasiewicz w Dierżawinie — pośród przez Boga

208

209

I

i ludzi zapomnianych, częściowo jeszcze półdzikich mieszkańców, przywykłych okrągły rok żywić się sielawą i soloną, cuchnącą sałaką, Tutolmin czuł się nie tyle namiestnikiem Imperatorowej, ile jakby samym Imperatorem". Konflikt był nieunikniony.

Przyjęcie nowo upieczonego gubernatora odbyło się z odpowiednim przepychem. Świątowano ponad tydzień, były modły, kazania, cerkiewny dzwon i armatnia palba. Generał-gubernator Tutolmin wydawał przyjęcia i bale, wygłaszał mowy z wysokości tronu i rozporządził wydać bankiet na publicznym placu... Utworzono także odpowiednie urzędy,znaczono urzędników, jednakże — ironizuje Chodasiewicz — pierwszy dzień nowej guberni stał się ostatnim dniem świata.

Z początku przewagę miał Dierżawin, „osobisty poeta" Imperatorowej, wspomagany dodatkowo na dworze przez paru zauszników. Jedynie księżę Wiaziemski, od samego początku sceptycznie odnoszący się do pomysłu, by z poety robić czynownika w takiej głuszy, powiedział:

— Prędzej robaki popęlną mi z nosa, aniżeli Dierżawin wytrzyma na

gubernatorstwie.

Powoli górę jął brać TUtolmin, po cichu przekupując miejscowych czynowników, którym Dierżawin zrazu się nie spodobał. Gubernator zamierzył utwierdzić praworządność, w ołonieckiej zaś guberni o praworządności miano bardzo „przybliżone” pojęcie, zastępując je plecami i wziętkiem. Wkrótce wokół Dierżawina w Pietrozawodsku opustoszało. Ostała się tylko garstka najwierniejszych.

I oto jeden z nich, porucznik Mołczyn, pozwolił sobie na kawał, który przeszedł do legendy, lecz dla gubernatora Dierżawina był początkiem końca. Porucznik Mołczyn, być może jeszcze pod datą.

210

a może żartowniś z przyrodzenia, idąc rano na posiedzenie sądu ziemskiego, wziął ze sobą małego niedźwiedzia, który mu się przyplątał po drodze... W owych latach w Pietrozawodsku trzymali w obejściu oswojone misie, jak dzisiaj psy rasowe się trzyma — dla szpanu.

Porucznik Mołczyn wprowadził niedźwiadka do sali i przedstawił go jako nowego członka sądu ziemskiego Michajłę Iwano-wicza Miedwiediewa. Co było dalej, nie wiadomo, fama głosiła, jakoby misiek siedział za stołem przewodniczącego i łapą maczaną w atramencie pieczętował papiery, podsuwane mu usłużnie przez sekretarza sądu. Przewodniczącym sądu był Tutol-min, bliski kuzyn generał-gubernatora (tego dnia nieobecny na posiedzeniu...), i obaj TUtolminowie się wściekli. Uznali żart Mołczyna za obrazę władzy namiestnika, a co za tym idzie — w jego majestacie obrazę Imperatorowej. Do Petersburga poleciały donosy.

Dierżawin, widząc nadchodzącą biedę, jak przystało na poetę, wolał się usunąć. Wybrał piękną drogę, postanowił mianowicie objechać swoją

gubernię: od Pietrozawodska do Kiemia nad Morzem Białym (aby Kiem ogłosić miastem) i z powrotem przez Onieję, Kargopol do Pietrozawodska.

Podczas podróży prowadził dziennik (śród specjalistów tematu znany pod skróconym tytułem Podiennaja zapiska). Jedynym opisem Karelii do tej pory było... Opisanije Tutolmina (dotychczas nie wydane z rękopisu!).

Różnica między opisem Karelii TUtolmina i Dierżawina polega na tym, że Tutolmin nosa poza Pietrozawodsk nie wyściubił i opisał Karelię na podstawie tego, co zebrali dlań umyślni słudzy, podczas gdy Dierżawin sam się wybrał w drogę — to wierzchem, to na łodziach.

211

Do Kiwacza podeszli na łodziach rzeką Suną. „Dzikość brzegów — zapisał Dierżawin w dzienniku pod datą 19 lipca 1785 roku — i bezprzerwne zmiany widoków co chwila zajmują wzrok. Po przejechaniu trzech wiorst rzeka pokryła się pianą, w miarę przybliżania się coraz gęściejszą, jakby białe kamienie ukraszały brzeg. Ma wiorstę od progów z prawego boku ukazał się dym, który także się zgęszczał w miarę przybliżania. W końcu, przycumowawszy, wyszliśmy na górę i zobaczyliśmy owe progi. Pomiędzy stromymi obrywami czarnych skał z ciemnoszarego gruboziarnistego gnejsu dyszała gardziel głębokości ośmiu sążni, w którą z gór, leżących od niej na południe i na wschód, padała z wielkim szumem woda, przy padaniu rozbijając się w drobne bryzgi, podobne do rozsypywanej obficie mąki. Słupy wodnego pyłu unosiły się na wysokość dwudziestopięciosążniowych sosen, spowijając je w mokry woal. Czerń gór i siwizna spienionej wody wywołują rodzaj przyjemnej grozy i dają wspaniałe widowisko”.

Po obejrzeniu Kiwacza podróżnicy (gubernatorowi towarzyszył sekretarz Gribowski i egzekutor Jemin) przepłynęli Jezioro Onieżskie w poprzek i wylądowali w rejonie staroobrzędowych skitów Wygorecji. Tam pod datą 7 sierpnia Dierżawin zapisał spostrzeżenie, nie mające sobie podobnych w literaturze o raskole. Otóż autor Wodospadu zauważył, że bogomolcy (pątnicy) wygoreccy dzielą się na dwie kategorie: biednych, którzy tyrają na raskolników w pocie lica, i bogatych, którzy „... mają prawo żyć w żeńskim monastyrze, tam oddają im do dyspozycji piętnastoletnie ponętne kielej-nice (mniszki służące w celi), widocznie po to, by się usilniej modlili”.

Z Wygorecji gubernator Dierżawin dotarł do Powieńca, siecią jezior i rzek, przeszedł wododział

212

w miejscu, gdzie dzisiaj go przecina Biełomorka-nał i na Morze Białe wyszedł w Sum-Posadzie.

Dalej popłynęli wzdłuż Pomorskiego Brzegu (jak to było w zwyczaju Pomorców), zachodząc po drodze do przybrzeżnych osad. Pod datą 18 sierpnia Dierżawin zanotował, że biedni łopianie jedzą chleb z sosnowej kory lub ze słomy i puchną, na oko wyglądając dorodnymi, w istocie są słabosil-ni. Zrobił także pierwszy dokładny opis karelskich nart, nazywając je ze szwedzka szukszi. Po czym spuentował, jakoby Piotr Wielki nazywał łopianów ptakami, latającymi na drewnianych skrzydłach i jedzącymi drewnianą korę.

W końcu podróżnicy dotarli do Kiemia. A tam okazało się, że nie tylko nie ma żadnych — rzekomo gotowych — miejskich urzędów ani urzędników, ale nawet popa trudno znaleźć, popina bowiem kosi siano na jakiejs

przybrzeżnej wyspie. W końcu jednak popa ściągnęli, ten posiołek skropił i „...stało miasto Kiem”.

Po powrocie do miasta Pietrozawodska wyjaśniło się[^] że zarówno sytuacja gubernatora jest niewesoła, jak i obraz guberni z jego Zapiski różni się zasadniczo od wizerunku Karelii w Opisie Tu-tolmina. Dierżawin dokonał jeszcze paru ostatnich czystek, po czym zniknął — po angielsku — mówiąc, że jedzie w objazd południowej części oło-nieckiej guberni. I tyle go widzieli.

Czynownicy pietrozawodscy długo się dziwowali, że Gawriła Romanowicz roztajał, jak senne przywidzenie.

A propos kory drzewnej... Pierwszy raz mnie tknęło w sołowieckiej bani — parę lat temu. Dwa pacany się tam poprztykały, może wypily, a może
213

tak, z niczego. W każdym razie szumu narobili, matem jeden drugiego obtożył, do kułaków do-szto. A starzyk, co obok się wycierał, mruknął pod nosem: „Widać, że kaszy sosnowej nigdy nie chleptali”. Zapadła mi ta kasza sosnowa w głowę.

Później, szykując się do wyprawy karelską tro-pą, czytałem poźółkłe żurnafy z pozaprzeszłego wieku — różne „Zapiski Impieratorskiego Russkogo Gieograficzieskiego Obszczestwa” tudzież „Cztieni-ja w Obszczestwie Istorii i Driewnosti Rossii” — wyszukując szczegóły o bycie ludzi, niegdyś żyjących na terenach, przez które miała wieść nasza tropa, w żurnalach bowiem ubiegłego wieku można znaleźć wyłącznie dane walki klas. Uwagę mą zwróciły wzmianki powtarzające się jak refren, że ludność Karelii żywiła się korą drzewną, zwłaszcza w latach nieurodzaju. Ma przykład Jefimienko, pierwsza w Rosji kobieta doktor historycznych

nauk (z jej prac Marks z Engelsem czerpali wiedzę o ruskich artelach), otóż Aleksandra Jefimienko pisała, że „...w całej Rosji nie ma drugiego tak biednego narodu, jak Karelowie, oni jedzą chleb z sosnowej kory i pochłobkę ze słomy”. Różne były przyczyny tej biedy: trudny klimat dla rolnictwa, nadmierne podatki, brak soli...

Z drugiej strony są przesłanki, aby sądzić, że to nie bieda zmuszała Karełów do jedzenia kory, lecz — po prostu — smak sosny. W runach karelo-fiń-skiego eposu Kalewala można znaleźć taki dwuwiersz:

Rybą smaczną się żywili I korą sosnową mięciutką.

Chleb z sosnowej kory oraz pochłobka ze słomy nieraz zwracały uwagę moich poprzedników, podróżujących po Karelii w XVIII i XIX wieku.

Wspo-

214

I

minali o korze uczony Iwan Lepiechin i akademik Oziereckowski, Szachmatow, Dierżawin i Priszwin... Ba, rzeczony Dierżawin dał nawet parę przepisów kulinarnych z użyciem kory. Na przykład: „Korę po zdjęciu czyszczą, suszą na powietrzu, prażą w piecu, tłuką, dodają mąki, mieszają ciasto i pieką chleb”. Albo: „Biorą i drobno kroją słomę, suszą, tłuką i mielą, przesypują mąką zmieszaną z tłuczoną korą i pieką chleb”. A że i grali na gęślach z drzewa, to dowcipny poeta tak zrekapitulował: „Można więc powiedzieć, że sosna ich ogrzewa, sosna ich karmi, sosna także i weseli”.

(Nawiasem mówiąc. Brat twierdzi, że korę sosnową wprowadzili do północnego jadłospisu pustelnicy prawosławni. W pustelniach Północy ani oliwek nie ma, ani daktyli, jak w Egipcie czy Syrii. Aliści coś przecież

trzeba jeść. Ot, i wynaleźli starcy jadło północne: korę sosny, liść borówki i biały mech).

Kora drzewna i słoma nie wyszły z tutejszego menu i w późniejszych czasach. Stary Wasilicz opowiadał mi w Charłuszynie, jak się robi soczeń, rodzaj placka z "kory sosnowej.

— Najpierw ścinasz młodą sosnę i zdejmujesz z niej zdrewniałą korę, potem struną od gitary alboż bałalajki ściągasz ostatni słój drzewny, soczysty, aż cieknie po brodzie, bo lepiej na świeżo smakuje, resztę suszysz, ubijasz w stępie i dodajesz mąki, zmrożonych bądź zgniłych kartofli, można brzozowych wiórów, kłaczy tataraku lub mech, wszystko razem wyrabiasz jak ciasto, na cienkie placuszki, w nie zawijasz okonia lub leszcza i pieczesz.

Ubiegłą wiosną, wracając z rybakki, Wasilicz się natknął w sołowieckim lesie na kikuty sosen świeżo z kory odartych...

215

i

10 stycznia

Na Kiwacz pojechaliśmy po południu. Po zjeździe z kondoposkiej drogi na wodospad (przed wsią Społochy) zza każdego zakrętu słońce sączyło się złotawo... Ślepiło i jechać nie dawało. Na parkingu przy wodospadzie wesółła grupa w nastrojach jeszcze noworocznych: pieką szaszłyki na mrozie, grzeją szampana przy ogniu, muzyka rżnie.

Wodospad w zimie robi wrażenie, acz inne niż latem. Latem byliśmy tutaj z Jurą Naumowem, rym samym, który po Kizach mnie oprowadzał. Naj-samprzód wykąpaliliśmy się w kipieli, potem arbuz i wino na płytach z gnejsu, „babie słońce” przygrzewało, ech! Teraz, w zimie Kiwacz skrył się

pod lód — niczym pod kołdrę — w jednym jeno miejscu woda się przelewa w kolorze stali i wygląda to, jakby wodny duch przeżył stalową pupkę (wodne duchy w Karelii są rodzaju żeńskiego) — wyraźnie kusi. Dierżawin kazał tu ściąć wielką sosnę i wrzucić ją w wir, żeby zobaczyć, co ta siła może. Sosnę w okamgnieniu potrzaskało w drzazgi. Obraz utrwalił w strofie:

Wietrami I sosny porażenny? — Lomajutsia w tiebie w kuski... 10°

Jednakże zaczął od innego obrazu. Pierwsza fraza Wodospadu wyznacza rytm całego poematu:

Almazna sypletsia góra...101

100 Wietrami I sosny porażenny?...—Wiatrami sosny powalone? — /
Łamię się w tobie na kawałki...

101 Almazna sypletsia góra...—Brylantowa sypie się góra...

I rzeczywiście, latem to iście brylantowy wytrysk.

Potem pojechaliśmy do Kondopogi, aby obejrzyć największą noworoczną choinkę w Rosji (ma 36 metrów, podczas gdy kremlowska liczy zaledwie 33 metry), z czego kondopożanie są bardzo dumni. Ich choinka jest naprawdę niezwykła: wysoka jak góra, wysmukła i w kolczudze ze złotego blasku, tysiące, setki tysięcy maleńkich lampek, pełgających złotym światłem. Nie choina, jeno tro-pa wprost do nieba.

Dyrektor kondoposkiego Leschoza może sobie na to pozwolić, tamtejsze lasy dają największy w Europie eksport drewna... On w ogóle ma niezły odjazd: zamierzył pałac z lodu zbudować i prawdziwe organy w nim postawić. Ponoć akustyka lodowa go fascynuje.

Na pożegnanie Marcjalne Wody, pierwsze uzdrowisko w Rosji, zbudowane na polecenie Piotra Wielkiego. Wody w nim żelaziste, gęste i

szczypią w język. Za to po wypiciu czujesz, że żelazo masz w środku. Na przykład: miecz.

Sołowki, 14 stycznia

Zaczął się Nowy Rok (według prawosławnego kalendarza) — powód dla wielu, aby wczoraj wypić.

Ten „stary” Nowy Rok spotkałem w hotelu „Dwi-na” w Archangielsku. Wieczorem przyleciałem z Pietrozawodska via Petersburg. Rejs na Sołowki nazajutrz. Cóż robić? — Bar.

W „Dwinie” bary są na każdym piętrze. Poszedłem do najbliższego. Za szklanym bufetem czekał na „stary” Nowy Rok wytatuowany gospodarz piętra ze swoją flamą (na tle sieci), przy stoliku pił

216

217

personel piętra: trzy dziewczyny w różnym wieku — od dwudziestu lat w dół...

Siadłem samotnie przy barze z butelką krasnego wina i moim ulubionym serem blue.

Personel piętra był pijany i od razu zwrócił uwagę na cudzoziemca.

Zwłaszcza jedna jęła nachalnie przystawać, dosłownie wyłaziła z siebie — to po fińsku, to po niemiecku, to po angielsku — nie znając żadnego z tych języków. Odganiałem ją, jak namolną muchę, wciąż jeszcze myślami przebywając w Karelii.

Wtedy podeszła najmłodsza, z bardzo długimi nogami i jeszcze dłuższymi włosami. Przysiadła się i spytała, co bym chciał?

— A co umiesz?

— Wszystko.

— Na przykład?

— Tkać. W mojej rodzinie i babka tkala, i matka tkala, i ja tkam. My z Pomorza, z Łopszengi.

— Wytlumacz mi zatem, co to jest „osnowa” i powiedz, jak po rosyjsku będzie to, co się z nią przeplata?

— Osnowa..? To pasmo poziome, na nim wszystko się trzyma, pionowe pasmo to utok. Wątek po waszemu.

W tym momencie gospodarz piętra strzelił szampanem. Zaczął się „stary” Mowy Rok.

17 stycznia

Dwadzieścia lat temu w jednej z moskiewskich psychuszek umarł Szałamow. Umarł na szpitalnej койce, aczkolwiek naprawdę konał na Kołymie. Ręcznikiem szyję obwiązał, by go „suki” nie ukradli, resztki chleba schował pod materac i rozmyślał

218

gorączkowo, jak przedłużyć pobyt w szpitalu, aby go znowu nie wzięli do sztolni złota.

Dziesięć lat temu byliśmy z Weroniką w Wołog-dzie na panichidzie, czyli mszy żałobnej za Szałamowa. We mszy uczestniczyło paru ludzi, którzy go znali osobiście: Dasza S. z domu-muzeum jego imienia, Walerij Jesipow, badacz jego twórczości, z Moskwy przyjechała Irina Sirotinska, opiekunka jego spuścizny. Panichidę odsłużyliśmy w chramie, gdzie przed wieloma laty służył jego ojciec, Tichon Nikołajewicz Szałamow, pop zreformowany.

Po mszy żałobnej odbyły się „szałamowskie czytania”: ni to konferencja naukowa, ni wieczór wspomnień. Po raz pierwszy wystąpiłem na nich

publicznie po rosyjsku, mocno kalecząc język i powiedziałem: Warłam Szałamow to jeden z największych pisarzy XX wieku.

Jestem przekonany, że minione stulecie nazwą kiedyś „epoką Szałamowa”, a wiele minionych sław politycznych i artystycznych przetrwa jedynie w przypisach do jego opowiadań. Dawniej myślałem: Joyce, Beckett.

Zwłaszcza Beckett, zdawało mi się, dotarł do skraju literatury... Dopóki nie poznałem Szałamowa. Tichonowicz zaszedł dalej. Po Szałamowie literatury poważnie uprawiać nie sposób. Po Szałamowie można tylko bawić się literaturą, jeno grać. Nie przypadkiem po Szałamowie nastąpił postmodernizm.

(Różnica pomiędzy Szałamowem a postmodernizmem jest mniej więcej taka, jak pomiędzy prokuratorem, który w momencie agonii Tichonowicza w tej samej psychuszce jadł swój kał, a modnym pisarzem Sorokinem, który chwalił się nie tak dawno w wywiadzie, że „...spróbował własnego gówna i pojął, że mitologia gówna tkwi w jego zapachu, w smaku bowiem gówno jest nijakie”).

219

Szałamow powiedział prawdę o człowieku do końca: „Wszystkie ludzkie uczucia — miłość, przyjaźń, zawiść, życzliwość, żądza sławy, miłosierdzie, uczciwość — odeszły od nas z mięsem, które straciliśmy podczas długotrwałego głodowania. W nieznaczej warstwie mięśni, co zostawała na naszych kościach i jeszcze nam umożliwiała jedzenie, poruszanie się, oddychanie, piłowanie drew, sypanie łopatą kamieni i piachu do tacek, a nawet wożenie tych tacek po niekończących się trapach w wyrobisku złota i po wąskiej drewnianej drodze do płuczki, w tej nieznaczej warstwie mięśni pozostała jedynie złość — najbardziej

długowieczne z ludzkich uczuć".

Szałamowa czytuję w Wielki Post... Jego ascetyczna proza zastępuje mi kanon pokutny św. Andrzeja z Krety, a życie Maszy Krukowej — żywot Marii egipskiej.

Proza Szałamowa trudno się przekłada, jej rytm, wskutek ruchomego rosyjskiego akcentu, jest nieosiągalny w języku polskim. Większość tłumaczy zadowala się łagierną faktografią Opowiadań ko-lymskich, nie zważając na rytm — w nim fraza odbija się w ciszy, jak echo, cho, o...

Szałamow zanotował: „Rytm — to początek poezji i wszystkich innych sztuk: muzyki, rzeźby, malarstwa". Dla Szałamowa rytm był formą opisywanego faktu, bez formy — twierdził — faktu nie ma. Szałamow pisał na głos... Tb jest głośno wybijał każdą frazę, zanim ją zapisał.

Czasami przy tym głośno płakał.

Od paru lat próbuję przełożyć Szałamowowską Bielkę. Próbuję, nie wychodzi, zarzucam na jakiś czas, po czym wracam, ponownie zarzucam, zno-

220

wu wracam, czytam na głos tekst rosyjski i polski. Odkładam, niech się odstoi. I tak bez końca. Pierwszy problem zrodził się w tytule. Rosyjska bielka bowiem składa się z dwóch sylab i szybciej miga po gałęziach niż polska „wiewiórka" — wyraz trzysyla-bowy. Tym bardziej że Szałamow powtarza słowo „bielka" raz po raz — chcąc usilić wrażenie migania... O innych problemach zamilczę, by nie peszyć. A nuż ktoś w Polsce zechce Bielkę przełożyć. Warto.

Bo do tej pory w żadnym ze znanych mi zbiorów Opowiadań kotymskich Warłama Szałamowa, wydanych w Polsce, nawet w tym gdańskim,

aspirującym do miana „pełnego” (Atex, 1991), Bielki nie znalazłem. A przecież to jedno z najlepszych opowiadań z tomu Zmartwychwstanie modrzewia, choć nie dotyczy ni Kołymy, ni łagru w ogóle. Może dlatego zostało pominięte przez tłumaczy, wszak „Szałamow” to łagierny znak jakości. Pojęcia „Kołyma” i „Szałamow” zrosły się w czytelniczej świadomości w sztampę. Tichonowicz dla czytającej publiki jest świadkiem i latopisarzem kołym-skiego koszmaru — i tylko nim! O tym, że autor sześciu tomów Opowiadań kołymskich napisał też sześć tomów Zeszytów kotymskich wierszy, mało kto wie.

„Ja zaczynałem od wierszy, od rytmicznego myczenia — pisał w Czwartej Wotogdzie — od szamańskiego kołysania się, ale była to rytmizowana proza, w najlepszym razie biały wiersz Ojciec nasz”.

Zwracam uwagę na szamańskie korzenie — tak poezji, jak i prozy Szałamowa. Sam on nieraz powtarzał, że jego ród wywodzi się od zyrjańskich szamanów, czego echem jest nazwisko rodowe Szałamowów. Potem, gdy pogaństwo w Kornu wy~

221

parta wiara prawosławna, przodkowie Warłama Szafamowa stali się popami. Magia w rodzie pozostała.

Dopiero czytając eseje Szałamowa, jego zapisy dziennikowe i listy można pojąć, jak wielką wagę autor Opowiadań kołymskich przykładął do rytmu: do aliteracji, asonansów, anafor. W jego niepowtarzalnej, rytmizowanej prozie słychać tętno jego krwi, puls słów powtarza bicie serca, milczenie — oddech.

— Czyżbyście chcieli — mawiał do przyjaciół, którzy zwracali uwagę na niektóre ekscentryzmy jego stylu — abym swoje życie przeżywał w

waszym języku?

Wracając do Bielki. Szałamow opowiada w niej o Wołodzie, miejscu swojego dzieciństwa... To było ciche, prowincjonalne miasteczko, wstające z kogutami, rzeka tam przepływała tak wolno, że czasami nurt stawał i woda ciekła wstecz. W miasteczku były dwie rozrywki. Pierwsza to pożary: sygnały alarmowe, gruchot wozów strażackich, mknących po bruku, konie gniade, bułano-jabłko-wite i karę (w maści jednej z trzech drużyn pożarniczych), każdy spieszył gasić pożar, w domach zostawiali ślepcy i paralitycy.

Drugą rozrywką wołodzkich mieszczuchów były polowania na wiewiórki, które często przebiegały przez miasteczko. Zwykle nocą, gdy ludzie spali.

Była jeszcze trzecia, nietradycyjna rozrywka — rewolucja: w miasteczku zabijali burżujów, rozstrzeliwali zakładników, kopali jakieś rowy i wydawali karabiny. Ale żadna rewolucja na świecie

222

nie mogła stłumić ciągot narodu do tradycyjnych zabaw.

Tytułowa bielka nie знаła o rozrywkach wołodczan i była na tyle nierozważna, że postanowiła przelecieć przez miasto w biały dzień. Piszę „przelecieć”, bo Szałamow, opisując zwinność bielki, porównuje ją do pół ptaka, pół zwierza. To drzewa nauczyły ją latania: puściwszy gałązkę, rozczapierzała pazurki wszystkich czterech łapek i lecąc, chwytła się czegokolwiek twardszego, pewniejszego niżeli powietrze. Zajęta tym swoim lotem, zbyt późno spostrzegła tłuszczę, która zbiegała się ze wszystkich stron.

Każdy w tłumie chciał być pierwszy, pierwszy trafić w wiewiórkę

kamieniem. Zabić wiewiórkę! Goliaci gonili za wiewiórką, gwiżdżąc, szczując i szturchając się nawzajem w gorączce krwi. Był tutaj i wieśniak, który przywiózł na bazar pół worka, żyta, aby to żyto wymienić na fortepian lub lustro (lustra były tanie w owym roku), i przewodniczący riewkoma miejskich warsztatów kolejowych (przybył na bazar baczyć spekulantów), rachmistrz Wsiepotriebsojuza i Zujew, znamienity ogrodnik carskich czasów, i komendant w malinowych bryczesach (do frontu białych zaledwie sto wiorst), i kogo tu tylko nie było.

Kobiety stały u płotów, u furtek, wyglądały z okien i podjudzały mężczyzn, brały dzieci na ręce, by dzieci mogły zobaczyć polowanie. Aby uczyły się zabijać.

Smarki, jeszcze nie dorosłe do samodzielnego pościgu za wiewiórką, podawały kamienie i pałki, mówiąc:

— Na, ojczulku, walnij!

Ojczulek rzucał, tłuszcza ryczała i goniła dalej.

223

r

Gnali hordą po miejskich bulwarach za maleńkim, rudym zwierzątkiem: spotniałe, czerwone gęby, skrzywione żądzą mordy — ojcowie miasta. Biefka mknęła, pojawiwszy ów ryk, ową żądzę, niestety, nie zbiegła. Kamień ją trafił. Upadła na bruk. Jeszcze się podniosła, wskoczyła na drzewo, lecz sił zabrakło, gałązka wymknęła się z łapek i wiewiórka zleciała w sam środek tłumy.

Tłum, zaspokoiwszy żądzę mordy, rozchodził się. nikt jednak nie odszedł, nie upewniwszy się, że wiewiórka jest naprawdę martwa. Że polowanie się udało.

Szałamow kończy opowiadanie, gwałtownie zmieniając perspektywę narracyjną. Ze świata, widzianego z lotu białki, spogląda na martwe ciało wiewiórki oczami chłopca z tłumu: na krew, zapiekłą na mordce, i na jej oczy, spokojnie utkwione w błękitne niebo naszego cichego miasteczka.

18 stycznia

Z Borysem Lesniakiem i Winą Sawojewą znam się od dawna. Trafiłem do nich poprzez Szałamowa, a dokładniej: poprzez jego opowiadania.

Nikołajewicz i Władimirowna są bohaterami paru z nich.

Nina Sawojewą przyjechała na Kołymę dobrowolnie. Po ukończeniu Instytutu Medycyny w Moskwie w 1940 roku sama wybrała kołymskie łagry jako miejsce dla swojej lekarskiej praktyki. Borys Lesniak trafił na Kołymę w 1938 roku z wyrokiem: osiem lat. Cztery z nich odbywał w złotych zabojach, czyli wyrobiskach, pozostałe przepracował jako felczer w centralnym szpitalu Siewłaga „Bie-licze”, siedem kilometrów od posiołka Jagodno-

je. Głównym lekarzem tego szpitala była „Czarna Mama”. Tak zeka nazywali Ninę Władimirownę. I tak ją zwie Szałamow w Rękawiczce. Szałamow trafił na „Bielicze” jako dochodzący i gdyby nie opieka Sawojewej i Lesniaka, kto wie, czy czytlibyśmy dzisiaj Opowiadania kołymskie. Oni nie tylko postawili Szałamowa na nogi, ale ponad dwa lata skrywali go przed zabojem, trzymając w szpitalu w charakterze kultorga, czyli organizatora kultury... Nikołajewicz pokazywał mi zdjęcie Warłama Tichonowicza: sala szpitalna, chorzy na łóżkach, a pośród nich Szałamow w białym fartuchu czyta im na głos „Prawdę”. Oprócz polit-gramoty, do obowiązków kultorga należała redakcja ściennej gazetki w szpitalu.

— Żał, że się nie zachowała, byłby to niezły przyczynek dla badaczy

twórczości autora Opowiadań kołymskich.

Lubię zjadliwy humor Borysa Nikołajewicza i kocham dobroć „Czarnej Mamy”. Ich stół zawsze dla nas nakryty — nalewki, nastojki... Po kolacji zazwyczaj zachodzimy do gabinetu gospodarza domu: a to w archiwum pogrzebać, a to pooglądać zdjęcia, które Borys Nikołajewicz robił na Kołymie, wykorzystując rentgenowskie klisze, lub po prostu pogadać. Nina Władimirowna co rusz jakieś wycinki wyciąga, kołymskie suweniry. Przed odjazdem na Sołowki w 1992 roku podarowała nam solnicz-kę z kołymskiego srebra, abyśmy z niej pud soli zjedli, i czukockiego bożka Pelikiena z mamuciej kości. Z reguły nie zasiadujemy się do późna, bo gospodarze szybko ustają... Z latami Kołyma wychodzi im bokiem. 102 dochodiaga — „dochodzący” więzień, czyli o krok od śmierci. Powoli umierający.

224

225

— Zabawne — zauważył razu pewnego Borys Lesniak — że bohaterowie opowiadań rozmawiają o swoim autorze z przyszłym jego biografem.

Nikołajewicz ma żal do Szałamowa o prawdę łagierną, twierdzi, że Szałamow kołymską rzeczywistość mocno podretuszował pod swą biografię. O „Bieliczach” pisał mało i nie dziwota, ponad dwa lata w niej „przepękał”. Niezbyt to pasuje do portretu dochodiagi od zaboja do zaboja¹⁰³, za kogo się podawał w Opowiadaniach kołymskich.

— Prawdę mówiąc, z siedemnastu lat na Kołymie Warłam przepracował w kopalni dwa lata w „Partyzancie” plus półtora, no, dwa miesiące w „Dżelgale”. Resztę spędził różnie: na kwarantannie tyfusu w Magadanie, w charakterze kipiatisz-czika (przygotowującego wodę) na Czarnym

Jeziorze, potem Arkagała — ale nie szyby węglowe. Jeszcze potem obdzierał kiedracze1M z igły dla łagiernej „fabryki witamin”, stamtąd trafił do nas na Bielicze, gdzie dosiedział do końca 1945 roku. A na początku 1946 doktor Pantiuchow skierował go na kursy felczerskie pod Magadanem. Skończywszy je, Wałam do końca wyroku w 1951 roku nie wychodził już na ogólne roboty.

Pewnego razu Borys Nikołajewicz pokazał mi zdjęcie „Bielicze”: duży kamienny pawilon, z boku widać szklarnie, inspekty, grządki.

— „Czarna Mama” hodowała tam warzywa dla chorych, aby do chudej racji dziennej można było dodać świeże pomidory, ogórki i cebulę. Latem w ogrodzie rosła marchew i rzepa, i kapusta, w rzece Diebin dwoje ludzi łowiło ryby na szpitalny stół,

103 dochodiagi od zaboja do zaboja —umierającego od przodka do przodka. — Chodzi o przodek chodnika w kopalni.

104 kiedracze — limba syberyjska.

226

a chorzy, którzy mogli chodzić, zbierali na zimę borówki, jagody oraz grzyby pod okiem felczera lub sanitariusza. Tymczasem Szałamow powypisywał bzdury, jakoby chorzy w „Bielicze” spali w dziurawych namiotach, a w tych dziurach rzekomo widział gwiazdne niebo.

Lesniak sam napisał książkę o Kołymie pod tytułem Ja k wam przszot. Niestety, przez całe lata nikt jej nie chciał wydać. Dopiero niedawno, w Magadanie, książka wyszła w serii „Archiwum pamięci”. Książka jest niedobra, ale za to ponoć prawdziwa, aczkolwiek Puszkina powiedział: Wsie goworiat: niet prawdy na ziemie, Fio prawdy niet — i wysze. Dla mienia...105

W książce Lesniaka najbardziej zadziwiła mnie sucha informacja, że na Lewym Brzegu w szpitalu Siewwostłagu Szałamow napisał donos na chirurga Siergieja Lunina, tego samego Lunina, który go wyratował w Arkagale z rąk rozwścieczonego naczelnika odcinka.

„Lunin zrobił dla Warłama wiele dobrego, może tylko nie zaopatrywał go w chleb i tytoń, bo sam był na lagrowej racji, a Szałamow odpłacił mu czarną niewdzięcznością: napisał nań donos i ochlapał błotem jego nazwisko w swych opowiadaniach”.

— No więc gdzie jest ta prawda? No gdzie?

19 stycznia

Sześćdziesiąt lat temu Gustawowi Herlingowi--Grudzińskiemu wręczono w jercewskim łagrze za-

105 wsie goworiat: niet prawdy na ziemie... — Wszyscy mówią: nie ma prawdy na ziemi, / lecz prawdy nie ma — i wyżej. Dla mnie...

227

1

świadczanie zwolnienia, następnego dnia wieczorem wyjechał z Jercewa pociągiem relacji Archan-gielsk-Wotogda.

„Z pagórka w pobliżu stacji widać było obóz jak na dłoni. Z baraków unosiły się w górę pionowe słupy dymów, w oknach paliły się już światła i gdyby nie cztery sylwetki «bocianów», siekące noc długimi nożami reflektorów, Jercewo mogłoby uchodzić za cichą osadę tartaczną, zażywającą szczęścia i odpoczynku po ciężkim dniu pracy. Wyteżywszy dobrze słuch, można było bowiem usłyszeć brzęk łańcuchów i kołowrotek studziennych — znamię nie zamaćonego niczym spokoju od niepamiętnych na ziemi czasów”. Tak opisywał Gustaw Herling-

Grudziński sześć lat później w Innym Świecie ostatni widok Jercewa. Dziesięć lat temu (dobrze pamiętam datę, bo to są moje urodziny) przyjechaliśmy późnym wieczorem do Jercewa pociągiem relacji Wołogda--Archangielsk.

Pociąg w Jercewie staje na minutę, ledwie wysiądziesz, rusza dalej. Jercewo wciąż jest „posioł-kiem zamkniętym”, od pięćdziesięciu lat nic się tu nie zmieniło. Żony jak były za Herlinga, tak i teraz są...

Z pagórka w pobliżu stacji widziałem baraki, z których unosiły się w górę pionowe słupy dymów, w oknach paliły się światła i gdyby nie cztery sylwetki „kogutów”, siekące noc długimi nożami reflektorów, Jercewo można by wziąć za cichą osadę tartaczną, zażywającą odpoczynku po ciężkim dniu pracy.

(Notabene, miałem wrażenie, żeśmy się znaleźli w tekście — rozumianym w obu znaczeniach łacińskiego textum — postrealistycznym, jeśli Inny Świat, rzecz jasna, uznajemy za prozę realistyczną).

228

Wyprawę do Jercewa przedsięwzięliśmy w Wo-łogdzie, gdzie przypadkiem rzuciłem okiem na mapę i zdziwiłem się, że z Wołogdy do Jercewa ręką podać. Zdziwiłem się, bo dotąd wierzyłem Herlingowi na słowo, że Jercewo leży nad Morzem Białym. Dasza S. z domu-muzeum Szałamo-wa w Wołogdzie wyjaśniła mi, jak dotrzeć ze stacji w Jercewie do goscinicy (w niej zazwyczaj nocują konwojenci...), aby od razu nie podpaść. Po wyjściu z pociągu postawiliśmy kołnierze, twarze skryliśmy w szalikach, czapki nasunęliśmy głęboko na oczy i ruszyliśmy pewnym krokiem wprost przed siebie, potem na prawo po głównej ulicy posiołka. Było minus trzydzieści parę, nad każdym domem snop dymu, niebo

iskrzaste, księżyc na czubkach brzoź. W ich kępie coś czernieje... —
Czyżby pomnik? Nie, to nie pomnik, a bałwan śniegowy (ze szlifami!).
Śnieg skrzypi. Pacan w uszance zjeżdża na tyłku z lodowej góry i czasem
nas mija człek zakutany jak tłumok, z pustym obłoczkiem pary z ust.
Niczym z komiksu o niemych.

Gościnica dla konwojów przypomniała mi schroniska w*Beskidach lub
Tatrach z połowy lat sześćdziesiątych. Ciepło, zapach dymu z bierwion,
paru muzyków smaży jaja na prymusie w kuchni, w recepcji babula —
ledwie widzi... Weronika daje jej swój paszport i moją akredytację (stoję z
boku, twarzą w szalu), babula nie pojmuje, co oznacza pojęcie inostrannyj
korrespondent, w moim imieniu zaś nie rozróżnia płci. W efekcie wpisuje
nas do książki meldunkowej jako... dwie żurnalistki z Moskwy i daje dwa
oddzielne pokoje, łączone wewnętrznymi drzwiami.

Mamy więc przed sobą całą noc, rano mogą nas stąd wyprosić. Po
rozpaleniu w piecach (pali się od korytarza), kiedy ogień zabuzował,
wycho-

229

I
dzimy z gościnicy w stronę żony, którą widać w łunach reflektorów. Po
kilkudziesięciu metrach po obu stronach wyrastają z ciemności drewniane
zabory z „kogutami” na rogach. Reflektory z „kogutów” raz za razem
omiatają żonę światłem. Idziemy wąskim korytarzem między dwiema
ścianami z desek o wysokości, bo ja wiem, czterech-pięciu metrów i z
kłębami drutu kolczastego po wierzchu. Można więc powiedzieć, że
przeniknęliśmy z posiołka do żony — niczym zjawy do snu —
niezauważalnie.

Dopiero nazajutrz wyjaśniło się, że w nocy szliśmy ulicą rozdzielającą żonę mieszkalną od żony pracy. Ulicą tą mają prawo chodzić wolni mieszkańcy posiołka, chociaż de facto to obszar łagru. Zresztą, granica pomiędzy posiołkiem a żoną to rzecz w Jercewie umowna, o czym też mieliśmy się przekonać nazajutrz. Lecz na razie jest noc.

Zza zakrętu wychodzi patrol, wprost na nas: trzech byków w szynelach i papachach, z automatami i z psami. Śnieg skrzypi, ślisko, pośliznąłem się. Przeszli.

Zatoczyliśmy łuk i wyszliśmy z żony. Do gościnicy wracamy po cięciwie łuku. Wtem zapachniało samogonem i przypomniało mi się, że dzisiaj są moje urodziny, a my nie mamy ani grama alkoholu i kupić go nie ma gdzie, bo sklep w Jercewie po pierwsze — zamknięty, po drugie zaś — sprzedają tylko swoim. Woń fuzla była coraz wyraźniejsza, aż wreszcie zrównaliśmy się z domem, co do którego nie miałem żadnych wątpliwości: to on właśnie fuzlem zionął. Zaryzykowałem i pchnąłem drzwi wejściowe... W sieniach ciemno, z lewej szpara brudnoszarego światła. Po omacku nacisnąłem i znalazłem się w oparach bimbru. Przez chwilę nic nie widziałem, po chwili —jak z tumanu — wyłonił

230

się zapyziały muzyk i podał mi szklankę mętnożół-tej cieczy.

Spróbowałem, żgnęło.

— Pół litra za czerwonec.

— Biorę.

W gościnicy urządziliśmy moje urodziny: Weronika pocięła na plasterki słoninę od Jesipowa z Wołogdy i oczyściła czosnek, ja dorzuciłem dREW do pieca; w numerze zrobiło się żarko. Za ścianą ktoś grał na bajanie i

pijanym tenorem ciągnął błatny romans ze wszech sił. Pierwszy toast wypiliśmy za Herlinga.

Rano stuk w drzwi, otwieram z pochmiela. W drzwiach baba w mundurze (...a może mi się przywidziało, że była w mundurze?). Naczelnik gościnicy.

— A wy kto? — na twarzy zdumienie, wszak oczekiwała dwóch żurnalistek, a tutaj jej otwiera muzyk w gaciach, i w dodatku z kociokwikiem. Próbuję wyjaśnić, ale mi przerywa pytaniem o zezwolenie. Mówię, że przyjechaliśmy w nocy i do komendanta dopiero się wybieram. — Togda %potoropities', skoro obiediennej pierieryw106 — warknęła speszona i huknęła drzwiami.

Przy wejściu do Uprawlenija cerber w szynelu. Biorę rozpęd i wbiegam do środka. Cerber za mną.

— Nielzia107 — ryczy — niezia!

Skręcam w prawo, sekretariat, cerber chwyta mnie za rękaw, ja za klamkę, za biurkiem dziewczę ze szlifami, rzucam na blat moją akredytację, dziewczę gromi cerbera wzrokiem, ten chwost pod

106 Togda potoporopies', skoro obiediennej pierieryw... — 1b się pośpieszcie, wkrótce przerwa obiadowa.

107 niezia — nie wolno.

231

siebie i zamyka drzwi. Dziewczę długo ogląda akredytację (akuratny manicure), ja mówię, że chcę do komendanta. Ona znika w gabinecie obok, po czym wraca i każe czekać.

Przyglądam się jej — ładna. Ciemne, prawie granatowe włosy, skośne oczy, filigranowe usta. Piersi w mundurze.

Tymczasem do gabinetu komendanta jeden po drugim wchodzi oficerowie ochrony. Dostrzegam stopień majora, podporucznika, ba — żebym to ja się znał na pagonach. Po dziesięciu minutach wzywają mnie.

Wchodzę do długiego pokoju, stoły ustawione w ruską bukwę JT, za krótszym ramieniem siedzi szarża w randze pułkownika, za dłuższym sześć szarż niższych rang. Nad główną szarżą wisi portret Dzierżyńskiego (o, i tu rodak na ścianie...), na szafie stoi jego brązowy biust. Siadam na jedynym krześle od wewnętrznej strony bukwy, twarzą do pułkownika Kuzienkowa — tak się przedstawiła główna szarża, mówiąc, że jest komendantem Uprawlenija — i w gabinecie zaległa cisza. — Czto wam nado?108

Wyjaśniam, że równo pięćdziesiąt lat temu został zwolniony stąd polski pisarz Gustaw Gierling--Grudzinskij, a że według ustaw rosyjskich po pięćdziesięciu latach akta mogą być odtajnione, więc po pierwsze, chcę zobaczyć teczkę z jego aktami personalnymi, a po drugie, chciałbym zobaczyć parę łagpunktów, o których Grudziński pisze w swojej książce — Inoj mir — o Jercewie: Kruglicę, Mo-stowicę, Ostrownoje i Drugą Aleksiejewkę.

Druga Aleksiejewka odpadła, tam zimą nie przejechać — to raz, a dwa — tam już nic nie ma.

i08 Czto wam nado? — Czego wam trzeba?

232

Las... Ostrownoje tylko w lecie funkcjonuje, tam w lecie łagier dla dzieci urządzili, kolonie letnie dla dzieci wolnonajomnych. Pozostaje więc Kruglica i Mostowica, po obiedzie major Gusiew nas tam zawiezie. Co do teczki zaś, hm.

— Znajetie nomier zakluczonnogo?¹⁰⁹

— Wosiemnadcat', siemdziesziaf dwa¹¹⁰. Pułkownik Kuzienkow wydał przez telefon

dyspozycje i po dziesięciu minutach mam teczkę Herlinga w rękach, i ręce mi zadrżały... Teczka Herlinga!

Zaczynam ją przeglądać, kartkować.

— Tiu, wot, wasz Oierling był u nas stachanowcom¹¹¹ — rzucił mi przez ramię major Gusiew, pokazując palcem tablicę norm. Normy Herlinga wszędzie przekraczały sto pięćdziesiąt procent, a niekiedy sięgały do dwustu.

Rozbestwiony powodzeniem, zrobiłem błąd. Zamiast od ręki spisywać akta personalne autora Innego Świata, zapytałem, czy mogą mi je tutaj sfotografować?

— A kak że¹¹².

m

m

Umówiliśmy się z Gusiewem, że po obiedzie zajedzie po nas. Mamy dwie godziny na zwiedzanie Jercewa.

Posiołek Jercewo — po prawej stronie, patrząc z okien pociągu jadącego do Archangielska: trzy uliczki równoległe do drogi żelaznej, poprzerastane brzoza-
mi. Uliczki z jednego końca zakręcają do

¹⁰⁹ Znajetie nomier zakluczonnogo? — Znacie numer więźnia?

¹¹⁰ Wosiemnadcat', siemdziesziaf dwa. — Osiemnaście, siedemdziesiąt dwa.

¹¹¹ Nu, wot, wasz Oierling byt u nas stachanowcom... — No, ot, wasz Herling byt u nas stachanowcem.

¹¹² A kak że. — Rzecz jasna.

I

stacji, z drugiego utykają w żonie. Zabudowa mieszana, trochę piętrowych baraków z dwiema, trzema klatkami schodowymi, na każdej klatce cztery mieszkania, dwa na parterze i dwa na piętrze, pośród baraków domy jednorodzinne i bliźniaki, czasem z banią albo chlewem, niekiedy z jednym i z drugim. Pośrodku posiotka barak otoczony zaborem z drutem kolczastym i dwoma „kogutami” na przeciwległych rogach.

— Eto szkoła, myjejo remontirujem¹¹³ — wyjaśnił Gusiew po obiedzie. Okazuje się, że remonty domów w posiołku wykonują zekowiem. Każdy dom do remontu należy najprzód otoczyć zaborem z „kogutami” i naciągnąć drut kolczasty, a dopiero potem można wpuszczać tam brygadę z żony.

— Etot toże remontfrujecie? — zapytałem w Mo-stowicy (obecnie posiołek dla zwolnionych z łagru bez prawa wyjazdu), wskazując niewielki baraczek z zaborem i drutem kolczastym.

— Met, eto miestnyj wytrzezwitiel.

— Czyli izba wytrzeźwień — mruknąłem do siebie.

W Kruglicy nic ciekawego, tam żyją zwolnieni z żony, którzy nie mieli co z sobą zrobić. Żenią się między sobą i płodzą, wolnonajomni i niepotrzebni, wszak kryzys (roboty teraz mało, nawet nie dla wszystkich zeków starcza). Ot, i żyją z ogrodów, niektórzy trzymają krowy, niektórzy świnie i kury. Nieliczni mają szczęście: pracują na lesopowale. Czemu szczęście? Bo zawsze parę rubli wpadnie na lewo. Za drzewo.

¹¹³ Eto szkoła, myjejo remontirujem... — Toshko-fa, myją remontujemy.

³¹⁴ zekowie — odmieniłem zeka, ponieważ określenie dotyczy więźniów

współczesnych. Patrz przypis do s. 47.

234

Po drodze major Gusiew się rozgadał. Opowiadał o ojcu, który stał na wieżyczce strażniczej w czasach, kiedy Gierling tu pracował. Tak, ojciec mógłby o łagrze sporo opowiedzieć, on go widział z góry, a Gierling-Grudzinskij... Cóż, Gierling siedział jako ten królik w klatce i mógł opisać łagier tylko z perspektywy tej króliczej nory.

Droga wiodła raz polem, raz lasem, aż wjechaliśmy do wsi bez nazwy i zobaczyłem dom północny (pierwszy w życiu) i wlubiłem się z miejsca (już o tym pisałem...). Major Gusiew powiedział, że niedaleko, we wsi Tajwenga, można tanio kupić podobny nad jeziorem. Obiecał, że jeśli w lecie przyjadę, to mi pokaże, jak tam trafić, bo w zimie tam dotrzeć nie sposób.

Po powrocie do Uprawlenija — szum... Okazało się, że żadnej teczki nie mieli prawa mi pokazywać bez pisemnego zezwolenia generała Strielkowa. z Moskwy, w ogóle bez jego zgody nie mogę przebywać na terenie Jercewa.

— Mu, ty motodiec — rzekł na pożegnanie pułkownik KuzienKow, wsadzając nas do ekspresu moskiewskiego. — K nam daze russkije korriespon-dienty nie popadajut] 15.

— Dlatego zgłupieli — powiedziałem do Weroniki już w przedziale.

29 stycznia

Z Gustawem Herlingiem-Grudzińskim nie zetknąłem się nigdy osobiście, natomiast nasze tropy przecinały się nieraz: w Jercewie i przez telefon.

115 No, ty motodiec. K nam daze russkije kor-riespondienty nie popadajut — Ho, zuch. Do nas nawet rosyjscy korespondenci nie trafiają.

w jego dzienniku i w moim, w „Kulturze” i na tamach „Plusa-Minusa”, w naszej korespondencji... Można by powiedzieć, że od jakiegoś czasu pletliśmy wspólny tekst — w obu rozumieniach ła-cińskiego textum. Po śmierci Herlinga doplatam go sam.

30 stycznia

Do Jercewa powtórnie przyjechałem w czerwcu 1992 roku. Pół roku dobijałem się do generała Strielkowa, zatrudniając ambasadę Rzeczypospolitej i polskiego attache wojskowego w Moskwie. W końcu doń dotarłem... Strielkow był wtedy naczelnikiem wszystkich łagrów, zajmujących się wyrębem i obróbką lasu. Teczka Herlinga leżała na jego biurku, już na pierwszy rzut oka: skrzętnie wypatroszona... Pozwolił mija sfotografować. A do Jercewa dał przy mnie przez telefon rozkaz, aby nas tam odpowiednio podjęli.

Podjęli nas bez zarzutu. Na stacji czekał gazik, w gościnicy te same dwa numery, połączone wewnętrznymi drzwiami, a kolacja — u pułkownika Kuzienkowa: ucha ze szczuki pod mrożoną wódkę, łosi comber ze smardzami i pieczone jarzabki z borówkowym nadzieniem, solone mleczaje i moczona żurawina, ikra czarna i pomarańczowa (z pi-nagorów), bliny. Do tego nalewki: na pączkach brzozy, na złotym korzeniu, na czarnej jagodzie.

Pułkownik Kuzienkow z każdą szklanką mówił coraz głośniej, że jak tak dalej pójdzie, to przyjdzie łagier prywatyzować i robić fuchy na prywatne zlecenie. Inaczej zeków nie wyżywić.

— Jakie fuchy?

— Domy na dache, meble na wysoki połysk.

I

Nazajutrz objechaliśmy z Kuzienkowem wszystkie łagpunkty na trasie wąskiej kolejki od Jercewa do Kowży (opodal Szybrowa, gdzie Wasilicz walił las). Jechaliśmy w salonce, ciągniętej sapliwą lo-komotywką, na stole wódka, szczuka na zimno, marynowane smardze i kwaszone ogórki. Za Czuz-gą Kuzienkow zatrzymał nasz pociąg i zaprosił mnie na przegląd sieci. Weronika została w salonce, a my spuściliśmy się z wysokiego nasypu w mokry las na tropinkę do jeziora, w szuwarach łódka, wiosła, płyniemy na środek, tam, wśród grzybieni wodnych i grążeli odnajdujemy popławki, w sieciach parę szczupaków, dwa miętusy i pełne wiadro siei. Kowża. Baraki na wpół rozwalone, sterczy dran-ka, osypał się tynk. Zaglądam do jednego, na podłodze zmięte kartki, podnoszę, to wypracowania szkolne, ach tak, likbiez, „likwidacja bezgramotno-ści” — nauka pisania...

Po powrocie do Jercewa zwiedziłem żonę mieszkalną. Więźniów nie było, pracowali. Po żonie snuło się jeno paru dyżurnych i kilku pryduzków. Zaglądnąłem do świetlicy, do biblioteki i do kuchni, gdzie dali mi spróbować bałandy, nie powiem: smaczna.

Potem obejrzałem dom swidani, wyglądał dokładnie tak, jak go opisał Herling, i karcer (wewnętrzny izolator). Z tym ostatnim wyszła heca. Ja od początku mówiłem, iż chcę do izolatora. Oni udawali, że mnie nie słyszą. Ale nie dałem za wygraną i w końcu do izolatora, chcąc nie chcąc, mnie wpuścili. Ba, dyżurujący tak zgłupiał od niespodziewanego gościa, że otworzył klapę jednej z cel i zza grubej kraty wlepiły się we mnie oczy trzech ogolonych głów. Jedna z nich spytała: — Ty kto?

— Koń w palto — rzuciłem jak zawsze, gdy słyszę takie pytanie przez telefon. Klapę zatrzasnęli.

Nazajutrz wybraliśmy się z majorem Gusie-wem do Drugiej Aleksiejewki, w której Herling sam nie był, ale ją opisał w Innym Świecie ze słów B.:

„Mimo dotkliwego mrozu więźniowie byli zupełnie niemal bos i obdarci i ledwie się poruszali z wycieńczenia, ha moich oczach dwóch więźniów upadło i skonało przy bramie. Zgodnie z życzeniem komendanta obozu, Soroki, wychodzącym do pracy przygrywała harmonia. Pierwszego od razu dnia zmarło w naszej brygadzie przy pracy trzech więźniów. W żonie silniejsi mordowali bezkarnie słabszych i zabierali im chleb”.

Do Drugiej Aleksiejewki szliśmy wilczą tropą. Obóz zlikwidowano tam przed laty... Gusiew wziął strzelbę — na wszelki wypadek — i kociołek na czaj. Major jest zapalonym myśliwym, a ze wszystkich zwierząt łownych najbardziej lubi polować na zbiegłych zeków, to chytre zwierzę i bywa uzbrojone. Gusiew lubi ryzyko, to poker: albo ty jego, albo on ciebie.

— Zależy, kto blefuje.

Druga Aleksiejewka. Major Gusiew rozpala ognisko i parzy czaj z liśćmi dzikiej porzeczki, ja brodzę w grząskiej trawie, potykając się o resztki baraków: o zetlały próg, o belkę z okapu, o cegłę od pieca... Powyżej trawy nic się nie ostało. Jeny las. W drodze powrotnej odwiedziliśmy Franka „Żbika”. „Żbik” to akowski pseudonim. Zgarnęli ich w 1944 roku na Wileńszczyźnie. Spali w stodole po akcji. Dostał dychę, którą odsiedział od dzwonka do dzwonka i został w żonie. Nie miał gdzie wracać. Trzydzieści lat przepracował jako prorab

(brygadzysta), ożenił się z rosyjską złodziejką, zbudował dom za zaborem żony i żyje w jej cieniu jak, nie przymierzając, u Pana Boga za piecem. Franek aż zadrżał, kiedy się dowiedział, że rodak, wzruszenie odjęło mu mowę na chwilę. Potem próbował coś po polsku sklecić, ale mu nie wyszło, i przeszliśmy na ruski. Ugościł mnie mlekiem, dodając z dumą, że od własnej krowy, i biały chleb swoim masłem grubo namazał, raptem trzasnął się w czoło i poleciał po samogon. Masza, córka Franka, jęła mnie silnie uwodzić, wypytując przy okazji, czy nie mógłbym załatwić zaproszenia do Polski. Napierała ciężkimi pierściami.

Wrócił Franek z wielką flaszą bimbru. Za nim zjawili się sąsiedzi, fama o Frankowym gościu rozeszła się migiem, zwietrzyli popijawę.

Masza z mamą zakreśliły się wokół stołu i stół zappełnił się zakąskami: słone ogórki, marynaty, szczypior. Za stołem królował Franek: biała broda, orliYios, kowana twarz. Nie skrywał radości, powtarzał, że to ważny dzień w jego życiu. Po raz pierwszy odwiedził go tutaj rodak, co prawda nie z ojczyzny (jego ojczyzną jest Wileńszczyzna), ale po polsku gada... Franek co rusz mnie prosił, żebym coś po naszemu powiedział i łzy mu kapały do samogonu.

Herling i Franek... — pomyślałem, patrząc.

Po powrocie do Moskwy zadzwoniłem do Her-linga, przypomniałem się Konspirą i powiedziałem, że dzwonię z Rosji. Herling się ożywił.

Zacząłem o Jercewie, chciałem o Franku, ale mi przerwał i dopytywał się, jak idzie Inny Świat w księgarniach Moskwy.

— Trudno powiedzieć, dopiero co wyszedł. Potem napisałem do niego list, już z Sołówek. Herling go włączył do Dziennika pisanego nocą.

I

komentując, że to drugi epilog Innego Świata, i odpisał, że mnie zapraszają z Giedroyciem do współpracy z „Kulturą”.

Przyszedł też list od Redaktora, ale to już inna nić.

6 lutego

Wsi Tajwenga na mapie wołogodzkiego obwodu nie znaleźć. Należy szukać rzeki Wożega (od stacji Wożega na trasie kolei żelaznej Wołogda-Archangielsk w lewo) i dalej, sunąc palcem wzdłuż rzeki jakieś sześćdziesiąt wiorst, dotrzeć do sioła Ogibałowo. Za nim na mapie jest duża niebieska plama — to jezioro Wożę. Tajwenga leży między Ogibałowem i Wozem.

Tajwenga jest sporą wiochą, rozrzuconą na przestrzeni wielu wiorst. Powstała w latach sześćdziesiątych w procesie tak zwanego ukрупnienia (łączono wtedy małe sielskie kołchoziki w duże sowchozy) z szesnastu siół, z których pięć zrazu wymarło, reszta powoli wymiera do dziś. Wieś nazwali Tajwenga, a sielchoz Siewier, czyli Północ.

Do Tajwengi trafić niełatwo. Zwłaszcza obcemu... Sam tam dotarłem jedynie dzięki majorowi Gusiewowi z łagru w Jercewie. Było tak.

Nazajutrz po odwiedzinach u Franka wczesnym rankiem major wsadził nas do wagonu wąskiej kolejki (tym razem nie była to salonka, lecz cuchnący wagon wolnonajomnych, którzy jechali do pracy na lesopowal), tłumacząc, gdzie wysiąść i jakiej tropy się trzymać, by dojść do Tajwengi, nie błędząc. Na drogę życzył nam powodzenia.

W wagonie: woń potu, mat i bura 116. A za oknem poranna zieleń — jakby namydlona.

Wysiadamy przed Czużgą: wokoło tajboła, drewniane mostki, odurzający

zapach wiosennych błot. Krzewy dzikiej porzeczki wychodzą na tropę i ocierają się o ręce. Z głębiny lasu ptaki się drą. Po paru wiorstach odpoczynek: ognisko na polanie z widokiem na jezioro, czaj z leśną porzeczką i skręt na dwoje.

Przed nami, według mapy, wieś Zaozierna-ja: szerniałe drewniane domy — bez okien, bez drzwi... — w kępach biało kwitnącej czeremchy. Do każdego domu można zajrzeć, w każdym zamieszkać.

Jezioro łuszczy się w słońcu. Na brzegu muzyk od rana pijany. Rybacz i płacze.

— Do Tajwengi daleko? — pytam.

— Wy otkuda?¹¹⁷ — przestaje chlipać.

— Iz Jercewa, iz Uprawlenija¹¹⁸.

— Wot wam Thjwenga — kłania się. — Dobro pożałował' k nam¹¹⁹.

— Spasibo.

Do Tajwengi więc wchodzimy od zachodu — od strony Wożą. Wymarła wieś Zaozierie to początek Tajwengi. Dalej pięć wiorst przez las i byle jak zaorane pola. Ogromne pola — w życiu takich nie widziałem! Potem mijamy parę wsi żywych na oko, acz zupełnie pustych. Ni człeka, jeno psy na drodze. Czasem wprowadzie zamajaczy za zasłonką w oknie jakieś starcze lico, ale gdy spojrzeć w jego

¹¹⁶ bura —jedna z bardziej rozpowszechnionych w tagrach hazardowych gier karcianych.

¹¹⁷ Wy otkuda? — Skąd idziecie?

¹¹⁸ Iz Jercewa, iz Uprawlenija. — Z Jercewa, z administracji.

¹¹⁹]/[ot wam Tajwenga. Dobro pożatował' k nam. — Ot, Tłajwenga przed wami. Witamy u nas.

240

241

stronę, znikła tak szybko, że mam wrażenie zwidów. W końcu wieś Koriakinskaja — centrum siel-chozu Siewier.

Jest późne popołudnie, ba — może już wieczór, trudno się rozeznąć, bo to czerwiec, białe noce, a my zegarków nie mamy. Warto by się o nocleg dowiedzieć, ale kogo spytać, gdy nikogo nie widać? Idziemy wolno, zwidy w oknach, psy za nami gonią, na drodze błoto, choć skwara. Wreszcie jakiś ruch, drzwi sielskiego klubu znienacka się rozwarły i chlusnęło z nich na drogę, wprost pod nasze nogi: zielono-tęczujący paw... Za nim na przyzbę wytoczyła się z trudem ruda dziewczka, ob-cierając krasne usta.

Zarządzająca klubem, jak się wyjaśniło. Bełkotliwie poradziła, byśmy się zwrócili do Zachara Iwanycza, głowy sielsowietu (tj. przewodniczącego sielskiej rady). Tylko jego zastaniemy w domu, bo pijany w dupę śpi.

Okazuje się, że trafiliśmy na posiewnuju, to znaczy: na święto posiewu. Innymi słowy, po sianiu cała wieś hula, oj dana, dana... Jedynie staruchy siedzą po domach, ale te nie wpuszczą cudzego za próg za żadne skarby świata. Boją się, bo żony blisko i często bywa, że zbiegli zekowie buszują po okolicy, kradną co się da, czasami też zabijają. Natomiast reszta, kto żyw, poszli na uchę nad jezioro.

Do Zachara Iwanycza długośmy walili, w końcu drzwi otworzyła bojaźliwa starucha i oczy wytrzeszczyła.

— My iz Uprawlenija iz Jercewa — mówię, nie dając jej przyjść do siebie — gtawa sielsowietu doma?¹²⁰

¹²⁰ My iz Uprawlenija iz Jercewa, glawa sielsowietu doma? — Jesteśmy z administracji z Jercewa, zastaliśmy w domu przewodniczącego sielskiej

radę?

242

Zamamrotała pod nosem, że syn pijany śpi, i pobiegła go budzić, ostawiając drzwi otwarte. Weszliśmy do kuchni: makaty na ścianie, bufet, duży stół i ława pod ścianą, z okna widok na jezioro Swietłoje. Po jakimś czasie do kuchni chwiejnie wszedł Zachar Iwanycz, a z nim woń pochmie-
la. Bez słowa dałem mu akredytację. Aż przysiadł z wrażenia. Czytał z piętnaście minut, chociaż tam wszystkiego słów dziesięć. W końcu podrapał się w głowę, podumał i poszedł dzwonić po szofera, by ten dowiózł do Koli, przedstawiciela kołchozu. Kola wszystko wyjaśni. Szofer przyjechał w cztery dupy pijany. Po drodze do jeziora, gdzie Kola i kołchoz warzyli uche, wpadliśmy na drzewo —jedno, jedyne drzewo w całym, szerokim polu —jakby go pociągnęło.

Nad jeziorem ogniska jak z filmu o Andrieju Rublowie i atmosfera, przykładowo, takąż. Dziewki i baby w białych koszulach, niektóre półgołe w po-maVańczowych odbłaskach ognia. Muzyki rzędem stoją w jeziorze i wybierają niewód. Wszyscy dupsko pijani.

Jak*usłyszeli, że obcokrajowiec, to osłupieli... Byłem pierwszym obcokrajowcem w tej wsi. Oto, co znaczy ruska głębinka. Pytaniom nie było końca i bez przerwy raczyli nas samogonem, potem ucha i orgia (w ich języku: walanije), najprawdziwsza sielska orgia pod słońcem. Noc była biała.

Rano zdziwienie! Budzę się w czyjejs kuchni, w kącie ktoś jęczy. Zza ściany dobiega głośnie chrapanie. Powoli mi się rozjaśnia: to jest kuchnia Koli. Kola to przedstawiciel kołchozu. Wczora była po-siewna, ognisko i orgia a la russe. Strzępami wraca rozmowa przy ognisku. Dlaczego

zostawili kołchoz, zamiast rozdzielić ziemię? Bo u nich trzech, no, może czterech muzyków i parę bab potrafi sa-

243

I

mym wyżyć. Reszta pije i bez kołchozu nie wyżyje. Zresztą, by rozdzielić kołchoz, trzeba by zrobić głosowanie... A samych staruch w kołchozie jest sto (na stu siedemdziesięciu sześciu kołchoźników), więc tak czy tak będą przeciw. Staruchom bez kołchozu gorzej niż opilcom. A jak podzielić trzy traktory? Po części rozdać?

Hasze gadanie było chmielne, ale więcej zeń pojąłem o problemie ziemi w dzisiejszej Rosji niż z dziennikarskich komentarzy i uczonych analiz.

Wspomniałem też, że Kola obiecał mi dziś pokazać ichnie tradycje ludowe, bo święto dopiero się zacznie. Wczoraj była próba generalna.

Wstałem, wyszedłem przed dom, rozejrzałem się. Było około południa.

Przede mną droga do jeziora, zarośnięta trawą i miętą, opadała w dół. Przy drodze trzy domy w krzewach czeremchy i kępa topoli nieco wyżej. W tych topolach — przypomniało mi się, że Kola w nocy pokazywał — stała kiedyś cerkiew, jak w Ogibałowie, ale ją rozebrali na piece z głupoty, bo teraz nie mają gdzie zboża składować i muszą je odwozić do Ogibałowa, a drogi, sam widzisz, jakie u nas drogi: ciągle błoto.

Ojojjoj! Kręci mi się w głowie po wczorajszym. Za jeziorem sine pasmo lasu, na jeziorze złote chelbie, trawa ciepła, można przyleć, oczy w niebo wbić — jak gwoździe. Byleby nie kołysało, niestety, wydarzenia potoczyły się inaczej. Pod dom Koli zajechała ciężarówka z muzykami, skrzynką wódki i paroma kartonami piwa. Jedziemy nad rzekę, tam ucha dochodzi, ruda z klubu w wielkim garze ją miesza. Siadamy u ogniska.

Rozpoznaję parę wczorajszych twarzy. W większości muzyki. Baby po wczorajszym ponoć nie mogą się jeszcze pozbierać.

244

Ledwie siedliśmy, zaczęła się ichnia tradycja: każdemu szklanka wódki i butelka piwa. Raz, dwa, trzyyyy! Wypijają wódkę do dna i „zakaszają” piwem — też do dna. Przerwa na papierosa i powtórka. Druga runda nokautuje niektórych. Po trzeciej wszyscy są gotowi... Ktoś za mną porzygał się w trawę, paru wzięło się za łby i wywaliło uchę do ogniska, a potem sami w nie wpadli. Do mnie przyczepiły się pobielełe oczy, żem szpieg... Próbuję wytłumaczyć, na próżno. Pytam więc: co tu szpiegować? W odpowiedzi bełkot o Niemcach, jakoby w czasie wojny desant tutaj rzucili, ale w końcu się rozmyło, pobielełe oczy się zamknęły i ich właściciel runął na murawę jak kłoda.

Dalej tylko majaczy mi się: pojechaliśmy na motorach na cmentarz, tam słońce podobijało wielu, padali śród mogił na ziemię, niczym się nie różniąc — jeśli idzie o świadomość — od leżących pod ziemią.

*O kupnie domu mogliśmy porozmawiać — mniej więcej na trzeźwo... — dopiero na trzeci dzień. Problemów żadnych. Kola pomógł nam wybrać zdrowy zrąb, w najlepszym stanie była dawna stacja unasienniania krów, wielki „pięciościan”, dom o pięciu ścianach: czterech zewnętrznych i piątej dzielącej całość na dwie izby, plus mansarda. Wybraliśmy też miejsce nad samym jeziorem we wsi Piaski, skąd można na łódce dopłynąć do Morza Białego: najpierw Wożegą do jeziora Wożę, dalej rzeką Swidź do jeziora Łacza, potem Kargopol, Oniego, Morze Białe... Do kasy kolchozu wpłaciłem sto pięćdziesiąt rubli (pięć dolarów w tamtym czasie...) jako podatek za ziemię na najbliższe pięć lat. Brygadzie

cieśli postawiłem dwie skrzynki spirytusu Royal na zachętę do pracy.

Royal okazał się fatalny. Muzyki

245

tak się popili, że jeden drugiemu w białej gorączce odciął rękę benzynową
pitą powyżej łokcia.

Odechciało mi się tego domu. Chociaż pozostało piec postawić i przykryć
dom dachem.

28 lutego

Paweł Huelle jest wielkim szamanem polskiej prozy, co do tego nie mam
żadnej wątpliwości. Mercedes-Benz to potwierdził. Sam tętent tej
niezwykłej prozy, bezprzestanny (bez podziału na akapity), niby
monotonny, a oczarowujący, przypomina werbel bębnów szamańskich,
przywołujących duchy z zaświatów.

Duchem owej prozy jest Bohumil Hrabal! Huelle przywołuje Hrabala raz
po raz: „kochany panie Bohumilu”, „drogi panie Bohumilu” — powtarza
co parę fraz, niczym magiczne zaklęcie. Hrabal zaś odpowiada, czasem
dosłownie, jak w tym liście, w którym odpisał Pawłowi, że „prawdziwy
koneser i artysta nie rozpoznaje kobiety wedle rozmiarów piersi i
pośladków, lecz właśnie po dłoniach...”, innym razem pośrednio, w
aluzjach do swoich tekstów, których wątki przeplatają się w osnowie
opowieści Pawła, aż w końcu czytelnik się łapie, że obcuje z duchem
Hrabala w każdym jej pięknym, długim zdaniu („zawijany jak
wstążki na świętym drzewie”) i tym samym jest gotów do finału w pubie
„U Irlandczyka” na Grunwaldzkiej w Gdańsku-Wrzeszczu, gdzie zwykła
biesiada przy piwie przemienia się raptem w „prastary obrzęd
wywoływania duchów”. Obrzęd szamański.

Jak zaklinanie brzmi też formuła o życiu, które „znów zatoczyło niesamowitą pętlę”, formuła otwierająca opowieść i powtórzona kilkakrotnie w tekście,

246

by w końcu wybrzmieć i wrócić do początku, zatoczywszy magiczny krąg. Słowem — tworzyć światy wciąż od nowa... słowem. Słowem szamańskim.

Mie od rzeczy są także wzmianki o świętym ziele w opowieści Pawła. Tradycja „chodzenia w dymie” sięga głębokiej przeszłości, wzmiankują o niej pisarze greccy, znali ją i Goci, i Scytowie, i Sarmaci. Irańskie słowo bangha, czyli konopie, w wielu językach ugrofińskich oznacza szamańskiego grzyba *Agaricus muscarius*, który pomaga wejść w ekstatyczny trans... Nie przypadkiem panna Ciwle, instruktorka jazdy (!) Pawła, objaśniając mu tajemnice trawy, napomyka o świętych czarownicach i o nadprzyrodzonej mocy ducha, którą można osiągnąć na drodze praktyki. Praktyki szamańskiej.

(Nawiasem mówiąc, z dużą satysfakcją przeczytałem w „Rzeczy o książkach”, że rzecznik dyscyplinarny Akademii Medycznej w Gdańsku bada sprawę lekarza-łapówkarza opisanego w powieści jako dr Elefant. Ot, co znaczy moc szamana — wymamrotywaniem słów może rzeczywistość pokoszyć!)

Drogi Pawle, Twój Mercedes-Benz urzekł mnie. Czytam go i czytam, już któryś raz z kolei, bo dochodzę do ostatniego zdania i jak urzeczony zaczynam od początku, nie mogąc się oderwać od zapachu skrętów panny Ciwle, od tętentu Twojej prozy. I wspominam, jak przed laty siedzieliśmy w budynku MKZ-u przy Grunwaldzkiej — Ty na czwartym piętrze, ja na

trzecim — obaj w „Solidarności” po uszy. Któż mógłby wtedy pomyśleć, że ta dziesięciomilionowa kupa rozsypie się jak w bier-kach i że po latach będziemy siedzieć osobno — Ty nad Bałtykiem, ja zaś nad Morzem Białym — każdy zajęty swoim kamłaniem.

247

8 marca

Nocny mróz oszronił drzewa. Gałązki w pióropuszech szadzi, przez które prześwituje lazuryt nieba.

Parę lat temu ojciec Jeleazar, sołowiecki mo-nach nieuleczalnie chory na leukemię (której nabawił się podczas służby wojskowej na poligonie jądrowym), przyszedł na nasz cypel, aby popatrzeć na te pióropusze, na morze pod lodem, w dal. Potem, z właściwą sobie ironią, zauważył:
— Ot, swoje moszczi przewietrzam przed śmiercią.

Dwa tygodnie później umarł.

Tenże Jeleazar spotkał mnie kiedyś nad Świętym Jeziolem, kilkadziesiąt metrów przeszliśmy razem, pytał o „Solidarność”, czy nie żałuję... Raptem potknąłem się i gdyby nie jego ramię, byłbym upadł.

— Widzisz, Mar, niekiedy trzeba upaść, żeby się obudzić — powiedział ze śmiechem.

13 marca

Wczoraj zaprosiłem sołowieckich znajomków, chcąc zrobić ich portret zbiorowy — w dzienniku — na pożegnanie. Opiszę każdego po kolei, jak przychodzili na kolację i siadali od lewej, niby na grupowej fotografii.

I tak: siedzimy za stołem w kuchni mojego domu nad Zatoką Pomyślności, twarzą do mniemanego obiektywu, zdejmującego nas od wejścia, plecami do okna (...wjego ciemni odbija się twarz robiącego to zdjęcie). W tle

słyszeć Rosensfole Agnes Buenas Garnas i Jana Garbarka. Pieśni średniowieczne z Norwegii.

248

Skrajni od lewej: Wasilicz z Kiriłłówną. O Wasi-liczu już pisałem, więc tylko dodam, że ma twarz jak spod topora, krzaczaste brwi i życzliwe oczy. Nadzieja Kiriłłówna, moja przybrana mama, na zdjęciach zawsze wychodzi pulchna i rzeczywiście można się w nią zapaść — i z radości, i od łez. Kiriłłówna jest tłusta jak słonina z Chochlandii (tak się tutaj mówi o Ukrainie, skąd Kiriłłówna pochodzi) i zawsze serce ci namaści.

Zwłaszcza w biedzie.

Obok nich siedzi Doncow z Michajłówną. Na zdjęciu wyglądają jak białe grzyby, czyli prawdziwki. Oboje po siedemdziesiątce, czerstwi, chociaż pobrużdzeni, on często na rybakę chodzi — latem na dorsza daleko w morze, zimą na okonia spod lodu. Ona pyszne rybniki piecze i głosem wciąż jeszcze dźwięcznym śpiewa o Pólnocy, o czajkach.

Spotkali się na Żyżginie, niewielkiej wyspie Morza Białego, on się tam urodził w rodzinie kułaka zesłanego z Ukrainy, ona w latach pięćdziesiątych za „długim rublem” tam pojechała. Stary Doncow nie znosi monachów (mówi o nich: darmożjady!), nie wierzy politykom (często się kłóć z Wasili-czem) i mnie objechał, gdyśmy się poznali. Rozeźlił go mój toast: „za życie”.

— Jak można pić za taką suczą mękę? — krzyczał.

Dalej Swieta, córka wybitnego profesora chińsz-czynny z Leningradu, który przepadł bez wieści w łagrach pod koniec lat trzydziestych. Świetlana na Wyspy przyjechała wiele lat temu w nadziei, że może tu na jakiś ślad papy trafi, i choć niczego nie znalazła, została, bo takiej krasy w życiu nie

widziała, ani na Uralu, gdzie żyła z mamą na zesłaniu, ani w Adżarii, dokąd ją wywiózł pierwszy mąż — wojskowy, który zawsze po pijaku puszczał w ruch

249

I

kułaki, ani pod Katugą, tam żyta z drugim mężem, inżynierem, nie przepuszczającym żadnej kiecce. Słowem, życie jej nie pieściło.

Na Wyspach Swieta dożywa lat sama. Latem pomaga w monastyrskiej kuchni, zimą wyszywa monachom, lubi też śpiewać w cerkiewnym chórze, ogląda brazylijskie seriale w TV (z czego się potem spowiada) i boi się biesa. Pożyczyła mi książkę Lichaczowa, w której słowo „bies”, ilekroć się pojawiał, było zamazane na czarno.

Zza Swiety wygląda Walentina Wasiljewna. Babinka ledwie chodzi, ale za moroszką potrafi na Muksalmę poczłapać, tam na błotach zbiera jagody i z dwoma pełnymi wiadrami z powrotem: razem ponad czterdzieści wiorst... A wszystko po to, aby się cieszyć, że jej synkowie (obaj piją „na czarno”) na kaca moroszki pojedzą. Na barkach matki cztery krowy i dwa byki, całe gospodarstwo, a sy-nalkowie jeno myślą, jak kartoszkę wynieść i sprzedać tak, by mać nie zauważyła. W zeszłym roku nawet siew sprzedali i Wasiljewna musiała u sąsiadów prosić.

Wasiljewna sama na rybałkę chodzi, by synkom świeżą rybką dogodzić i przy okazji nakarmić dziewięć kotów. W Boga nie wierzy, wierzy, że umrze, i że żadnego tam życia po życiu nie będzie. Żyje dla synów, acz to gówniuki, marzy o wnukach, a na choroby nie ma czasu... U Wasi(jewny co jesień kupujemy byczy język.

Na wejście ikra z miętusa i braga z czagi. Potem przyszła Nadieżda

Aleksandrowna i siadła obok Walentyny Wasiljewny. Nadieżda Aleksandrowna ostała się starą panną z pretensjami. Córka dyrygentki petersburskiej filharmonii, zesłanej w 1934 roku na Biełomorkanał i tam dyrygującej orkiestrą łagrową, której pierwsze skrzypce grały

250

kiedyś w Wiedniu. W muzeum Miedgory widziałem afisze jej koncertów. Nadieżda Aleksandrowna urodziła się na Wyspach, mamcia uczyła tu śpiewu w szkole — do samej śmierci (dwa lata temu), tu się wychowała pod srogim okiem mamci i tu pracuje w bibliotece, stąd nasza bliskość. Aleksandrowna raz na dwa lata jeździ w Piter, aby — jak mawia — nadrobić zaległości: koncerty, wystawy... Potem wraca i opowiada, opowiada, opowiada. Słowem, żyje tym, co widziała nad Newą, do następnego wyjazdu.

Pinagorski przyszedł z żoną, myszką w jego łapach. Pinagor jest jednym z „zaszytych” deputowanych naszej Dumy Sołowieckiej, inaczej mówiąc: siedzi na torpedzie. I jak każdy „zaszyty” alkoholik jest zły jak czort, zwłaszcza gdy przy nim piją... Niedawno Pinagor zbierał podpisy pod petycją o likwidację samorządu terytorialnego na Wyspach, bo lepiej być sytym i nie myśleć, niż główkować o pustym brzuchu. Pinagor na polityce zęby zjadł.

Na chwilę zajrzał też Fokin. Na chwilę, bo spieszył się, « jak zwykle. Fokin jest trudogolikiem, to znaczy człkiem uzależnionym od pracy. Raz go poprosiłem, by starą szopę rozebrał, i obiecałem zapłatę za godziny, to sobie zegarek na szyi przywiązał na gumce i jął deski łamać. Po kwadransie żyły mu na szyi spęczniały, twarz zsiniała, oczy z orbit lazły i gdyby nie Weronika, to kto wie, może by się i zadusił.

Foka jest chytry. Kiedyś przybiegł do mnie z nowiną, że się będzie chrzcił.
Zrobiłem kwadratowe oczy.

— Po co, Foka?

— Bo za darmo.

Z zaproszonych tylko Brat nie przyszedł. Brat teraz krzyże rżnie za dolary
dla nowych Ruskich,

251

bo trzeba wam wiedzieć, że wśród nowych Ruskich nowa moda panuje,
moda na krzyże pokłonne w ogrodzie. Kto większy postawi, ten bardziej
się liczy. Brat się ceni, za dziesięciometrowy krzyż bierze piętnaście
tysięcy baksów, w przeliczeniu: tysiąc dolarów za metr bieżący krzyża.
Nie dziw, że na bankiety nie ma czasu.

Pietrowicza nie zapraszałem, Pietrowicz od wielu dni tkwi w zapoju po
uszy. Nikołaszyn może by sam przyszedł, bieda w tym, że Nikołaszyn z
zapo-ja nie wyszedł, a raczej wyszedł, tyle że na tamtą stronę... Morozow
pewnie też by wpadł, gdyby nie to, że na Sylwestra „spadł z torpedy” i
serce mu nie wydzierzało. Teraz na sołowieckim smentarzu leżą obok
siebie i czekają na Pietrowicza, tak jak za życia pili na trzech.

Na koniec pojawiła się Szabunia, nasza nowa Głowa Administracji.

Szabunia jest Głową od dwóch lat, wcześniej uczyła geografii w szkole. Ze
względu na tuszę za stołem zawsze zajmuje najwięcej miejsca i uwodzi
cudzych mężów (własny ją rzucił) na złość żonom.

— Znowu się poprawiłaś — przywitał ją Pi-nagor.

— Mój drogi, już caryca Katarzyna Wielka zauważyła, że u kobiety liczy
się wzrost, waga i biust.

na stole tymczasem pojawił się śledź „pod szubą”, uszka z ukraińską

słoninką i miętus zapiekany z czosnkiem, i wódka, i wino — co kto lubi...
Tudzież chruszcze solone, kapusta po prowansal-sku i po azerbejdżańsku
(na ostro), i byczy język ze śliwkami. Na deser ser z oliwkami i kwas
chlebowy oraz konfitury z żurawiny i czaj.

Za stołem się spierali, co szybciej się starzeje: ciało czy duch?

Później zaczęli śpiewać.

252

31 marca

Dzień wyraźnie robi się dłuższy. O ósmej za oknem się rozjaśnia, wpół do
dziewiątej widać już Babią Ludę: zarys czerni drzew na wyspie i białe tło
Morza Białego. Później biel się rozlewa, rozlewa, aż po widnokrąg i zlewa
z niebem jakby w bańkę z mlecznego szkła. A w bańce tej — Sołowki —
widoczek w szklanej kuli, suvenir z Rosji: drzewa osędziałe i zaspy po
pas, wałuny monastynu szklą się od mrozu, płaty śniegu padają na twarz
i... nie tają.

Wałuny to wielkie głazy jak wyłupane oczy ziemi.

Notka wydawnicza

Spis treści

Zebrane w niniejszym tomie teksty były drukowane w „Kulturze”
paryskiej w latach 1998-2000 oraz na tamach „Plusa-Minusa” (dodatku do
„Rzeczpospolitej”) w latach 2001-2002.

Zapiski sotowieckie (1998-1999) 7 Karelska tropa (1999-2000) 59

Dziennik północny (2001-2002) 139

Notka wydawnicza 254

© Les Editions Noir Sur Blanc/Mariusz Wilk © for this edition

Wydawnictwo Literackie

Redaktor prowadzący Anita Kasperek

Redakcja Roman Wtodek

Opracowanie graficzne Tomasz Lec

Opracowanie mapy Mariusz Rutkowski

Redaktor techniczny Bożena Korbut

Wydanie pierwsze, dodruk

Printed in Poland

Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o., 2006

ul. Długa 1, 31-147 Kraków

bezpłatna linia telefoniczna: 0 800 42 10 40

księgarnia internetowa: www.wydawnictwoliterackie.pl

e-mail: ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl

fax: (+48-12) 430 00 96

tel.: (+48-12) 619 27 70


Skład i łamanie: TEXTUS s.c.


Druk i oprawa: Drukarnia Lega, Opole

ISBN 83-08-03774-7

Legenda

droga kanał

jezioro  granica

rzeka  wilcza tropa